



Radleyowie

Pragnienia nie można ugasić – ukryte
gdzieś głęboko jest źródłem wszystkiego

MATT HAIG

Świat Książki

PIAŁTEK

Instynkt was zwodzi. Zwierzęta polegają na instynkcie, żeby przeżyć, ale my nie jesteśmy zwierzętami. Nie jesteśmy lwami, rekinami ani sępami. Jesteśmy ucywilizowani, a cywilizacja polega na stłumieniu instynktu. Miejcie więc na względzie dobro społeczne i zignorujcie swoje mroczne pragnienia.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 54

ORCHARD LANE 17

To spokojne miejsce, zwłaszcza w nocy.

Można by pomyśleć, że zbyt spokojne, aby na którejś z miłych alejek skrytych w cieniu drzew mógł mieszkać potwór.

W rzeczy samej, o trzeciej rano w Bishopthorpe łatwo uwierzyć w kłamstwo podtrzymywane przez mieszkańców - jakoby było to miejsce, w którym dobrzy i spokojni ludzie prowadzą dobre i spokojne życie.

O tej porze słyhać tylko dźwięki przyrody. Pohukiwanie sowy, szczekanie psa w oddali czy w wietrzną noc, taką jak ta, enigmatyczny szept wiatru między jaworami. Nawet gdybyście stanęli na głównej ulicy, zaraz obok sklepu z kostiumami, pubu albo delikatesów Żarłok Zgłodniał, nie usłyszelibyście hałasu samochodów, nie zobaczylibyście wulgarnego graffiti, które zdobi dawną pocztę (choć moglibyście, wyteżywszy wzrok, dojrzeć wyraz DZIWOŁĄG).

Gdybyście wybrali się na nocną przechadzkę z dala od głównej ulicy, alejką taką jak Orchard Lane, wzdłuż stylowych domków jednorodzinnych zamieszkiwanych przez prawników, lekarzy i menedżerów, to zauważylibyście, że wszyscy oni odcinaliby się od nocy zgaszonym światłem i zaciągniętymi zasłonami. W każdym razie tak by było do numeru siedemnaście, gdzie dostrzeżlibyście poświatę sączącą się spomiędzy zasłon w górnym okienku.

I gdybyście się zatrzymali, zaczerpnęli chłodnego i orzeźwiającego nocnego powietrza, doszlibyście przede wszystkim do wniosku, że dom numer siedemnaście, pomijając kwestię zapalonego światła, nie wyróżnia się specjalnie. Może nie jest tak wystawny jak dziewiętnastka - sąsiadujący z nim elegancki dom z szerokim podjazdem - ale i tak nic mu nie brakuje.

To typowy domek jednorodzinny w małym miasteczku - dość duży, ale nie za duży, wszystko ma na swoim miejscu, nic nie rzuca się w oczy. Pod wieloma względami to dom wymarzony, jak powiedziałby wam agent nieruchomości, i z całą pewnością idealny do wychowania dzieci.

Jednak po chwili dostrzeżlibyście, że coś jest nie tak. Nie, „dostrzeżlibyście” to chyba za dużo powiedziane. Być może nie zauważylibyście, że nawet przyroda milknie wokół tego domu, że nie słyhać tam ptaków, że w ogóle nie słyhać tam niczego. A mimo to wasze myśli zaczęłyby krążyć wokół tej bijącej od domu poświaty i poczulibyście chłód, który nie byłby spowodowany nocnym powietrzem.

To nasilające się uczucie mogłoby przerodzić się w lęk, który może by was stamtąd przepędził, a może i nie. Przyjrząwszy się miłemu domkowi i minivanowi na podjeździe, pomyślelibyście, że to własność zupełnie zwyczajnych ludzi, którzy nie stanowią zagrożenia dla reszty świata.

Gdybyście tak właśnie pomyśleli, byłibyście w błędzie. Ponieważ przy Orchard Lane numer siedemnaście stoi dom rodziny Radleyów, która, pomimo usilnych starań, ani trochę nie przypomina zwyczajnej rodziny.

SYPIALNIA DLA GOŚCI

- Musisz się wyspać - tłumaczy sobie, ale to na nic.

Włączone światło w piątek o trzeciej nad ranem - to Rowan, starszy z dwójki dzieci Radleyów. Jest zupełnie rozbudzony, mimo że wcześniej wypił sześciokrotność zalecanej dawki Night Nurse.

Nigdy o tej porze nie śpi. Jeżeli ma szczęście i noc mu sprzyja, to zasypia koło czwartej, a potem budzi się o szóstej lub trochę później. Dwie godziny udręczonego, niespokojnego snu, pełnego niezrozumiałych koszmarów. Ale dzisiejsza noc mu nie sprzyja - dokucza mu wysypka, a w okno wieje wiatr. Chłopiec wie, że pewnie będzie musiał pójść do szkoły, nie zmrużywszy nawet na chwilę oka.

Odkłada książkę: *Wiersze zebrane* Byrona. Słyszy, jak ktoś idzie korytarzem, nie do toalety, tylko do sypialni dla gości.

Otwierają się drzwiczki do suszarki na bieliznę. Słyszą przytłumione szperanie, a potem przez chwilę jest cicho, matka wychodzi z pokoju. W tym również nie ma nic wyjątkowego. Często słyszy, jak matka wstaje w środku nocy i idzie do sypialni dla gości w tajemniczym celu, o który nigdy nie zapytał.

Potem matka wraca do łóżka i przez ścianę słyszą niewyraźne mruczenie rodziców.

SNY

Ciało Helen, kiedy wchodzi do łóżka, jest spięte od tajemnic. Jej mąż wydaje dziwne, tęskne westchnienie i wtula się w nią.

- Co ty wyprawiasz?
 - Chcę cię pocałować - mówi.
 - Peter, proszę - odpowiada, ból głowy napiera jej na oczy. - Jest środek nocy.
 - To rzeczywiście fatalna pora na pocałunek męża.
 - Myślałam, że śpisz.
 - Spał em. Miałem sen. Całkiem podniecający. Nostalgiczny.
 - Peter, obudzimy dzieci - mówi, choć wie, że Rowan ma zapalone światło.
 - Daj spokój, chcę cię tylko pocałować. To był taki piękny sen.
 - Nie. Chcesz czegoś więcej. Chcesz...
 - Czym się przejmujesz? Pościelą?
 - Chcę po prostu spać.
 - Co robiłaś?
 - Byłam w toalecie. - Tak przyzwyczała się do tego kłamstwa, że wypowiada je bezwiednie.
 - Coraz słabszy ten twój pęcherz.
 - Dobranoc.
 - Pamiętasz tamtą bibliotekarkę, którą zabraliśmy do domu?
- W jego pytaniu Helen słyszy uśmiech.
- Jezu, Peter. To było w Londynie. Nie rozmawiamy o Londynie.
 - Ale kiedy myślisz o takich nocach, to nie masz ochoty...
 - Nie. To było wieki temu. W ogóle o tym nie myślę.

GWALTOWNY BÓL

Rano, zaraz po przebudzeniu, Helen podnosi się i popija wodę. Odkręca opakowanie ibuprofenu i kładzie sobie jedną tabletkę na języku, ostrożnie, niczym hostię.

Połyka ją i w momencie, kiedy ibuprofen trafia do gardła, jej męża - tylko parę kroków dalej w łazience - przesywa gwałtowny ból.

Zaciał się przy goleniu.

Patrzy, jak krew lśni na wilgotnej, nakremowanej skórze.

Piękna. Ciemnoczerwona. Peter ściera ją, przygląda się plamie na palcu i czuje, jak przyspiesza mu tętno. Palec coraz bardziej zbliża się do ust, ale za chwilę słyhać hałas. Szybkie kroki, potem próba otwarcia drzwi.

- Tato, wpuść mnie, proszę - krzyczy Clara, jego córka, i mocno uderza w grube, drewniane drzwi.

Peter otwiera. Clara wpada i nachyla się nad muszlą klozetową.

- Claro - mówi Peter, kiedy ta wymiotuje. - Claro, co się stało? Dziewczyna wstaje. Jej blada twarz spogląda na niego znad szkolnego mundurka. W jej oczach za okularami widać desperację.

- Boże - dyszy i znów się nachyla. Ma dalej mdłości. Peter czuje zapach wymiocin i dostrzega, jak wyglądają. Wzdryga się, nie z ich powodu, tylko tego, co oznaczają.

Kilka sekund później wszyscy tam są. Helen przykuca obok córki, głaszcze ją po plecach i mówi, że wszystko jest w porządku. Ich syn, Rowan, stoi w drzwiach, olejek do opalania o fakturze 60 ciągle czeka na wtarcie.

- Co jej jest? - pyta.

- W porządku - mówi Clara, niechętna gapiącej się na nią rodzinie. - Serio, już wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

Ostatnie zdanie zastyga w powietrzu, tworząc mdlą atmosferę fałszu.

POZORY

Clara cały ranek robi, co może, żeby zachować pozory. Szykuje się do szkoły jak gdyby nigdy nic, mimo posmaku zgnilizny w żołądku.

Tak się składa, że w zeszłą sobotę, żeby zaskarbić sobie sympatię zwierząt, Clara podniosła sobie poprzeczkę, przerzucając się z wegetarianizmu na całkowity weganizm.

Kaczki, które nie chciały od niej chleba, koty, które nie dawały się głaskać, konie na polach przy Thirsk Road, które wariowały zawsze, kiedy przechodziła. Nie mogła zapomnieć wycieczki szkolnej do Krainy Flamingów, podczas której każdy flaming uciekał w panice, zanim doszła do jeziora, albo krótkiego żywotu jej złotych rybek, Rhetta i Scarlett - jedynych zwierząt domowych, na jakie jej pozwolono. Pamięta przerażenie pierwszego ranka, kiedy znalazła je z wyblakłymi łuskami, unoszące się do góry brzuchami na powierzchni wody.

Teraz, wyciągając mleko sojowe z lodówki, czuje na sobie wzrok matki.

- Wiesz, gdybyś przerzuciła się na normalne mleko, czułabyś się dużo lepiej. Nawet odtłuszczone.

Clare zastanawia, w jaki sposób odtłuszczenie mleka miałoby uczynić je zdatnym dla weganki, ale zdobywa się na uśmiech.

- Nic mi nie jest. Proszę, tylko się nie martw.

Teraz w kuchni są wszyscy. Ojciec pije świeżą kawę, brat wcina poranną porcję wędlin delikatesowych.

- Powiedz jej coś, Peter. W ten sposób się rozchoruje.

Peter odczekuje chwilę. Słowa żony muszą przedrzeć się przez szeroką, czerwoną rzekę myśli w jego głowie i ociekając, wywlec się z wielkim trudem na wąski brzeg ojcowskiego obowiązku.

- Matka ma rację - mówi. - Rozchorujesz się.

Kiedy Clara zalewa mlekiem musli z orzechami i ziarnem, z każdą chwilą coraz bardziej zbiera jej się na mdłości. Chce poprosić, żeby przykręcili radio, ale wie, że zdradzi tym swój stan. Przynajmniej Rowan, na swój irytujący sposób, jest po jej stronie.

- Mamo, to jest soja - mówi z pełnymi ustami. - Nie heroina.

- Ale powinnaś jeść mięso.

- Nic mi nie jest.

- Posłuchaj - mówi Helen. - Naprawdę myślę, że nie powinnaś dzisiaj iść do szkoły. Jak chcesz, to zadzwonię i cię usprawiedliwię.

Clara kręci głową. Obiecała Eve, że pójdzie dzisiaj na imprezę Jamiego Southerna, i żeby uzyskać zgodę rodziców, będzie musiała pójść do szkoły. Poza tym cały dzień słuchania antywegetariańskiej propagandy nie wyjdzie jej na dobre.

- Naprawdę jest mi już dużo lepiej. Nie będzie mnie więcej mdliło.

Jej mama i tata jak zawsze wymieniają się spojrzeniem z zaszyfrowaną wiadomością, której Clara nie potrafi przetłumaczyć.

Peter wzrusza ramionami. („Tata to jest taki - powiedział kiedyś Rowan - że właściwie wszystko ma w dupie”).

Helen poddaje się, tak jak kilka dni temu, gdy włożyła do koszyka mleko sojowe, sterroryzowana groźbą Clary, że ta zostanie anorektyczką.

- Dobrze, możesz iść do szkoły - mówi jej w końcu mama. - Tylko proszę cię, uważaj na siebie.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Człowiek dochodzi do pewnego wieku - czasami jest to piętnaście lat, czasami czterdzieści sześć - kiedy uzmysławia sobie, że kłamstwo, w które chce wierzyć, nie działa. Właśnie tego doświadcza teraz Peter Radley, przeżuwając posmarowany masłem tost wieloziarnisty i wpatrując się w pogniecioną przezroczystą folię z resztą pieczywa.

Racjonalny, uczciwy dorosły mężczyzna z żoną, samochodem, dziećmi i poleceniem przelewu na WaterAid¹.

Zeszłej nocy chodziło mu tylko o seks. Niegroźny, ludzki seks. I czym był seks? Niczym. Ruchome wtulenie się. Bezkrwawe ocieranie się o siebie ciało. Zgoda, być może korciłoby go, żeby skierować to na inne tory, ale na pewno potrafiłby się opanować. W końcu opanowywał się przez siedemnaście lat.

Jebać to, myśli.

To miłe uczucie przeklinać, nawet tylko w głowie. Czytał w „British Medical Journal”, że znaleziono nowe dowody na hipotezę, że przeklinanie uśmierza ból.

- Jebać to - mruczy, zbyt cicho, żeby Helen usłyszała. - Jebać. To.

¹ WaterAid – międzynarodowa organizacja charytatywna (przyp. Red.).

REALIZM

- Martwię się o Clare - mówi Helen, podając Peterowi pudełko z drugim śniadaniem. - Jest weganką dopiero od tygodnia i coś jej wyraźnie dolega. Co będzie, jak się wpędzi w jakąś chorobę?

Mąż słucha jej jednym uchem. Patrzy w dół, kontempluje mroczny chaos w teczce.

- Tyle tu barachła.

- Peter, martwię się o Clare.

Peter wyrzuca do śmieci dwa długopisy.

- Też się o nią martwię. Bardzo się o nią martwię. Ale chyba nie wolno mi zaproponować oczywistego rozwiązania, prawda?

Helen kręci głową.

- Nie to, Peter. Nie teraz. To poważna sprawa. Chciałabym, żebyśmy spróbowali podejść do tego jak dorośli. Chcę wiedzieć, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić.

Wzdycha.

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć jej prawdę.

- Co?

Głęboko wdycha zatęchłe kuchenne powietrze.

- Według mnie to właściwy moment, żeby powiedzieć dzieciom.

- Peter, musimy dbać o ich bezpieczeństwo. Musimy dbać o bezpieczeństwo wszystkich. Wolałabym, żebyś wykazał się odrobiną realizmu.

Peter zapina teczkę.

- Ach, realizm. Nas to chyba nie dotyczy, prawda? Zatrzymuje wzrok na kalendarzu. Balerina Degasa i kratki dat wypełnione pismem Helen. Przypomnienie o spotkaniach kółka czytelniczego, wyjściach do teatru, meczach badmintona, zajęciach z robótek ręcznych. Niekończący się zapas Spraw do Załatwienia. Także dzisiaj: „Feltowie - kolacja u nas - 19.30 - Lorna robi przystawkę”.

Peter wyobraża sobie siedzącą naprzeciwko atrakcyjną sąsiadkę.

- Przepraszam - mówi. - Jestem trochę rozdrażniony. Niski poziom żelaza. Czasami mam po prostu dosyć tych wszystkich kłamstw, wiesz?

Helen przytakuje. Wie.

Świadomy czasu Peter rusza korytarzem.

- Dziś zabierają śmieci - mówi Helen. - I trzeba wynieść odpady do segregacji.

Segregacja odpadów. Peter wzdycha i podnosi pudło pełne słoików i butelek. Puste pojemniki oczekujące ponownych narodzin.

- Martwi mnie, że im dłużej nie będzie jadła tego, co powinna, tym bardziej będzie łaknąć...

- Wiem, wiem. Coś wymyślimy. Ale naprawdę muszę już iść - i tak jestem spóźniony.

Otwiera drzwi i oboje widzą lśniący ostrzegawczo żłowieszczy błękit nieba.

- Kończy nam się ibuprofen?

- Tak, chyba tak.

- Po drodze z pracy zajrzę do apteki. Głowa mi pęka.

- Mnie też.

Całuje ją w policzek i gładzi po ręce z przelotną czułością - mikroskopijne wspomnienie tego, jak było im kiedyś - i zaraz wychodzi.

Dumnie naśladowcie zwykłych ludzi. Prowadźcie dzienny tryb życia, pracujcie na etacie, obracajcie się w kręgu ludzi z klarownym systemem wartości.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 89

ŚWIAT MARZEŃ

Na mapie Bishopthorpe przypomina szkielet ryby: kręgosłup głównej ulicy z cienkimi odnogami alejek i zaułków, które prowadzą donikąd. Martwe miejsce, które nie spełnia pragnień młodzieży.

Jak na miasteczko jest całkiem spore, na głównej ulicy jest nawet parę sklepów. Ale w świetle dnia ujawnia się ich brzydota - to eklektyczna zbieranina niszowych projektów, które nijak do siebie nie pasują. Na przykład snobistyczne delikatesy znajdują się tuż obok Świata Marzeń, sklepu z kostiumami, który, gdyby nie przebrania na wystawie, można by pomylić z sex-shopem (i który, w rzeczy samej, ma na zapleczu kącik, gdzie sprzedaje się „akcesoria dla dorosłych”).

Miasteczko nie jest do końca samowystarczalne. Poczta zamknięta, a pub i smażalnia ryb swoje najlepsze czasy już dawno mają za sobą. Obok przychodni jest apteka i sklep z obuwem dziecięcym, który, podobnie jak Świat Marzeń, jest nastawiony na przyjezdnych z Yorku albo Thirsk. I to wszystko.

Rowanowi i Clarze Bishopthorpe wydaje się „półmiejscem”, zdanym na autobusy i internet oraz inne formy eskapizmu. Miejscem, które podtrzymuje na własny użytek wizerunek uroczej angielskiej miejsciny, ale, jak większość podobnych mu zakątków, jest w istocie jednym wielkim balem przebierańców, tylko stroje są subtelniejsze.

Po jakimś czasie trzeba podjąć decyzję. Kupuje się kostium i udaje szczęśliwego. Albo stawia się czoło prawdzie o tym, kim się jest.

FAKTOR 60

W świetle dnia Rowan nie może uwierzyć, jak bardzo blada jest jego siostra.

- Jak myślisz, co ci jest? - pyta ją, kiedy mijają pudła z odpadami, wokół których roi się od much. - W sensie, co ci dolega.

- Nie wiem... - Jej głos milknie, jak śpiew ptaków przestraszonych jej nadejściem.

- Może mama ma rację - mówi Rowan. Jego siostra milczy, zbiera siły.

- I to mówi chłopiec, który codziennie je czerwone mięso.

- Zanim zaczniesz mi tu odstawiać Gandhiego, to powinnaś wiedzieć, że nie ma czegoś takiego, jak prawdziwy weganizm. Wiesz, ile żyłatek jest w marchewce? Miliony. Warzywo jest jak metropolia mikrobów, więc za każdym razem, kiedy gotujesz marchewkę, unicestwiasz całe miasto. Przemysł to sobie. Każdy talerz zupy to apokalipsa.

- To... - znowu musi urwać.

Rowana gryzie sumienie, że jej dokuczają. Siostra to jego jedyny przyjaciel. I z całą pewnością jedyna osoba, przy której może być sobą.

- Clara, jesteś bardzo, bardzo blada - szepcze. - Nawet jak na siebie.

- Chciałabym tylko, żeby wszyscy przestali o tym gadać - mówi i układa w głowie wiadomości, które znalazła na forum na stronie vegan-power.net. O tym, że weganie żyją do osiemdziesięciu dziewięciu lat i nie chorują tak często na raka, jak niektóre bardzo zdrowe aktorki w Hollywood, np. Alicia Silverstone, Liv Tyler i, faktycznie nieco niemrawa, ale mimo to promienna Zooey Deschanel, które nie spożywają żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego. Ale wyartykułowanie tego kosztowałoby ją zbyt wiele wysiłku, więc daje sobie spokój.

- To ta pogoda tak na mnie działa - mówi, czując, że kolejna fala mdłości nieco słabnie.

Jest maj i lato przyszło wcześniej, więc może ma rację. Rowan sam cierpi. Światło drażni mu skórę, jakby była z gazy, nawet przez ubranie i faktor 60.

Rowan dostrzega w oku siostry połyskujący owal łyzy, która może być sprawką promieni słońca, ale może być też znakiem rozpaczki, więc odpuszcza sobie antywegańską tyradę.

- Może masz rację - mówi. - Ale wszystko będzie okej. Serio. I dobrze wyglądasz w rzeczach z konopi.

- Śmiesznie - udaje jej się odpowiedzieć.

Mijają zamkniętą pocztę. Rowana martwi, że graffiti ciągle tam jest: „ROWAN RADLEYTO DZIWOŁĄG”. Potem Świat Marzeń, gdzie piratów zastąpiły manekiny w skąpych odbłaskowych ciuchach dla „dyskomułów”, pod transparentem z hasłem: „Słońce wzywa”.

Kiedy mijają Żarłoka, przychodzi ulga: Rowan zagląda do środka i uspokaja go widok podświetlonej w ciemnym pomieszczeniu sklepowej lodówki. Szynki Serrano i Parma czekają na zjedzenie. Tylko delikatny powiew czosnku zmusza go, żeby odwrócił wzrok.

- To idziesz dzisiaj na tę imprezę? - pyta siostrę Rowan, przecierając zmęczone oczy.

Clara wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Eve chyba chce, żebym poszła. Zobaczę, jak się będę czuła.

- Jasne, powinnaś iść, tylko jeżeli...

Rowan dostrzega przed sobą chłopca. To ich sąsiad, Toby Felt, który zmierza do tego samego przystanku. Z plecaka sterczy mu rakietka do tenisa, jak strzałka w symbolu mężczyzny.

Ten szczupły chłopiec o ciele łasicy kiedyś - trochę ponad rok temu - obsikał nogę Rowana, który stał przy pisuarze obok i nie mógł zmusić się do oddania moczu.

- Ja jestem psem - powiedział wtedy, z drwiącym chłodnym spojrzeniem, kiedy kierował na Rowana złocisty strumień. - A ty latarnią.

- Wszystko w porządku? - pyta Clara.

- Tak.

Widzą teraz smaźalnię ryb Millera i brudny szyld (zadowolona ryba trzyma patelnię, na której ma się smażyć, i śmieje się z ironii losu). Przystanek jest naprzeciwko. Toby już tam stoi i rozmawia z Eve, która uśmiecha się, słuchając go. Rowan zaczyna nieświadomie rozdrapywać skórę na ręce, co tylko zaognia wysypkę. Słyszy, jak Eve się śmieje, a żółte słońce wychodzi znad dachów i dźwięki pieką jak światło.

RUDA SETERKA

Peter niesie po żwirze puste słoiki i butelki w stronę chodnika, kiedy widzi Lornę Felt wracającą do domu z numerem dziewiętnaście.

- Cześć, Lorna - mówi. - Dzisiaj wieczorem to nadal aktualne?

- A, właśnie - odpowiada Lorna, jakby dopiero teraz sobie przypomniała.

- Kolacja. Nie, nie zapomnieliśmy. Przyrządzam małą sałatkę tajską.

Lorna nie jest dla Petera prawdziwą osobą, tylko zbiorem koncepcji. Zawsze ogląda jej cudownie lśniąca rude włosy, zadbaną cerę, drogie, stylizowane na bohemę ubrania i w jego umyśle pojawia się koncepcja życia. Koncepcja podniecenia. Koncepcja pokusy.

Koncepcja winy. Przerażenie.

Uśmiecha się do niego kokieteryjnie. Reklamówka przyjemności.

- Och, Gałka, przestań. Co ty wyprawiasz?

Dopiero wtedy Peter dostrzega, że Lorna jest ze swoją rudą seterką, choć ta walczy na niego już od jakiegoś czasu. Patrzy, jak Gałka odsuwa się i bezradnie usiłuje wydostać się ze swojej obroży.

- Już ci tłumaczyłam, Peter to bardzo porządny pan. Bardzo porządny pan.

Na widok ostrych psich kłów, których kształt kojarzy mu się z pradziejami i dziczą, zaczyna kręcić mu się w głowie. Zawroty być może wywołuje wschodzące właśnie słońce albo zapach, który niesie w jego stronę wiatr.

Coś słodsze i subtelniejsze niż jej perfumy. Coś, co jego stępione zmysły przestały wyłapywać.

To coś ciągle tam jest, całkiem realne.

Fascynująca woń jej krwi.

Peter trzyma się możliwie blisko żywopłotu, żeby skorzystać ze skrawka cienia. Stara się nie wybiegać myślami ku nadchodzącemu dniu ani niememu wysiłkowi, jaki będzie go kosztować przeżycie kolejnego piątku, praktycznie nie do odróżnienia od ostatniego tysiąca piątków. Piątki wyzute z emocji, od kiedy przeprowadzili się tu z Londynu, żeby odciąć się od przeszłości i weekendów pełnych dzikiej, krwawej pasji.

Czuje, że jest uwięziony w jakimś schemacie, odgrywa rolę, która do niego nie pasuje. Mężczyzna w średnim wieku, z klasy średniej, z teczką w dłoni, przytłoczony ciężarem grawitacji i moralności reszty napierających wektorów społecznych. Nieopodal głównej ulicy jeden z jego pacjentów w podeszłym wieku mija go na elektrycznym skuterze. Starszy mężczyzna, którego imię powinien pamiętać.

- Witam, doktorze Radley - mówi staruszek i uśmiecha się niepewnie. - Dzisiaj się widzimy.

Peter udaje, że informacja nie jest dla niego zaskoczeniem i ustępuje skuterowi z drogi.

- A, tak. Nie mogę się doczekać.

Kłamstwa. Zawsze te cholerne kłamstwa. Ciągłe te same płochliwe konwenanse ludzkiej egzystencji.

- Zdrowia życzę.

- Do zobaczenia.

Kiedy Peter sunie przy samym żywopłocie i jest już niedaleko przychodni, z naprzeciwka w jego stronę powoli wyjeżdża śmieciarka. Kierunkowskaz miga przed zakrętem w lewo, w Orchard Lane.

Peter spogląda od niechcenia w górę na trzech mężczyzn na przednim siedzeniu. Widzi, jak jeden z nich, siedzący od strony chodnika, bacznie mu się przygląda. Peter posyła mu uśmiech a la Bishopthorpe, ale mężczyzna, którego Peter nie kojarzy, tylko wpatruje się w niego z nienawiścią.

Kilka kroków dalej Peter się zatrzymuje. Śmieciarka skręca w Orchard Lane, a on uświadamia sobie, że mężczyzna nadal się w niego wpatruje, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że przejrzał jego tajemnicę. Peter kręci nieznacznie głową, jak otrzepujący się z wody kot, i idzie wąską ścieżką do gabinetu.

W przychodni jest już Elaine. Siedzi za szklanymi drzwiami i segreguje teczki pacjentów. Peter otwiera pchnięciem drzwi, zaczynając w ten sposób kolejny bezsensowny piątek.

„NAD RANNYM I ZABITYM ŚWIECI GWIAZDA DNIOWA”

Zwykle zmęczenie dopada Rowana falami narkolepsji. Właśnie w tej chwili uderza w niego jedna z nich. Zeszłej nocy spał około dwóch godzin - to więcej niż zwykle. Gdyby tylko mógł teraz czuć się tak rozbudzony, jak o trzeciej rano. Powieki coraz bardziej mu ciążyą i wyobraża sobie, że jest na miejscu siostry, że swobodnie rozmawia z Eve, tak jak normalna osoba.

Słyszysz szept dochodzący zza pleców.

- Siemka, łajzysynu.

Rowan nie odzywa się. Teraz już nie zaśnie. A zresztą sen jest zbyt niebezpieczny. Przeciera oczy i wyciąga tomik Byrona. Próbuje skoncentrować się na dowolnym wersie. Którymś z Lary.

Nad rannym i zabitym świeci gwiazda dniowa².

Czyta w kółko to zdanie, usiłując zagłuszyć nim wszystko inne. Wtedy autobus zatrzymuje się i wsiada Harper - druga w kolejności osoba, której Rowan boi się najbardziej. Harper to naprawdę Stuart Harper, ale imię zgubił w gimnazjum, na boisku do rugby.

Nad rannym i zabitym świeci gwiazda dniowa.

Gigantyczne cielsko Harpera sunie ociężale między siedzeniami i Rowan słyszy, jak siada obok Toby'ego. W pewnej chwili Rowan czuje klepanie po głowie. Po kilku pacnięciach dociera do niego, że to rakietka tenisowa Toby'ego.

- Hejka, łajzysynu. Jak się miewa wysypka?

- Łajzysyn - śmieje się Harper.

Clara i Eve, ku uldze Rowana, jeszcze się nie obejrzały.

Czuje oddech Toby'ego na karku.

- Heja, dziwoląg, co czytamy? Ej, Roman Plamiasty... Co tam czytasz?

Rowan obraca się do niego.

- Mam na imię Rowan - poprawia nieśmiało. Z „mam na imię” wychodzi coś między szepem a chrypieniem, gardło chłopca nie uruchamia w porę strun głosowych.

- Pierdyłyn - przedrzeźnia Harper.

Rowan usiłuje skoncentrować się na wersie.

Nad rannym i zabitym świeci gwiazda dniowa.

Toby nie daje za wygraną.

- Co czytasz? Roman, zadałem ci pytanie. Co czytasz?

Rowan niechętnie podnosi książkę, którą Toby natychmiast wyrywa mu z dłoni.

- Homo.

Rowan odwraca się na siedzeniu.

² G. Byron, *Lara*, przeł. Julian Korsak, w: G. Byron, *Poemata*, S. Lewental, Warszawa 1895, s. 427.

- Oddaj mi ją. Proszę. Po prostu... mógłbym dostać moją książkę z powrotem?

- Okno. - Toby trąca Harpera.

Harper albo rzeczywiście nie jest pewien, co ma zrobić, albo nie ma na to ochoty. Wstaje jednak i odsuwa górną szybę.

- Dajesz, Harper. Dajesz.

Rowan nie zauważa, kiedy książka przechodzi z rąk do rąk. Widzi już tylko, jak tomik pikuje na jezdnię niczym zestrzelony ptak. Wystarczy chwila i jest już po Childe Haroldzie, Manfredzie i Don Juanie.

Chce im się postawić, ale jest zbyt słaby i zmęczony. Poza tym Eve nie zauważyła jeszcze jego upokorzenia i chciałby, żeby tak zostało.

- Och, Romanie, jakkolwiek żal mój nie zna granic, twa księga pedalskiej poetyki zdała się ulec zagubieniu - deklamuje Toby falsetem.

Dzieci na siedzeniach obok śmieją się ze strachu. Clara odwraca się zaciekawiona. Eve tak samo. Widzą, że inni się śmieją, ale nie wiedzą dlaczego.

Rowan zamyka oczy. Chciałby być teraz w 1812 roku, w ciemnym powozie, siedzieć razem z Eve w czepku na głowie.

Nie patrz na mnie. Proszę cię, Eve, nie patrz na mnie.

Kiedy znowu otwiera oczy, jego życzenie się spełnia. W każdym razie częściowo. Nadal jest w dwudziestym pierwszym wieku, ale jego siostra i Eve rozmawiają, nieświadome tej upokarzającej sytuacji. Clara ściska poręcz siedzenia, wyraźnie źle się czuje. Rowan ma nadzieję, że siostra nie dostanie mdłości w autokarze. Nie znosi wprawdzie być obiektem drwin Toby'ego i Harpera, ale nie chciałby, żeby dobrali się teraz do Clary. Ci jednak, jakby za sprawą niewidzialnego sygnału, wyczuwają jego lęk i zaczynają rozmawiać o dziewczynach.

- Eve jest dziś moja, Harps. Przegwizdam jej fikawkę, stary, możesz mi wierzyć.

- Tak?

- Bez obaw. Tobie też się coś ostanie. Siostra pierdyłyna na ciebie leci. I to z górki.

- Co?

- Jasna sprawa.

- Clara?

- Zdziebko ją opalić, zdemontować pingle, będzie jak ta lala.

Rowan czuje, jak Toby nachyla się i szepcze.

- Mamy taką sprawę. Harper się podjarał na twoją siorkę. Ile bierze za noc? Dychę? Mniej?

W Rowanie wzbiera gniew.

Chce coś powiedzieć, ale nie może. Zamyka oczy i przeraża go to, co widzi - Toby'ego i Harpera, siedzących na swoich miejscach w autobusie, ale czerwonych i obdartych ze skóry, jak schematy anatomiczne do nauki o budowie mięśni, z trzymającymi się jeszcze gdzieś kępkami włosów.

Mrugnięcie - i wizja znika. Rowan nie staje w obronie siostry. Siedzi, przełyka pogardę dla samego siebie i zastanawia się, jak na jego miejscu zachowałby się lord Byron.

ZDJĘCIE

To tylko zdjęcie.

Zastygła chwila z przeszłości.

Przedmiot, który może wziąć do ręki, coś sprzed epoki cyfrówek, czego nigdy nie odważyła się zeskanować na swojego iMaca. Na odwrocie widnieje napis ołówkiem: „Paryż, 1992”. Jakby trzeba było to pisać. Wolałaby, żeby zdjęcie nie istniało. Wolałaby, żeby nie poprosili wtedy biednego, nieświadomego przechodnia, by ich sfotografował. Ale zdjęcie jest, i jak długo ma tego świadomość, nie potrafi się zdobyć na to, żeby je podrzeć albo spalić, albo chociaż powstrzymać się przed spoglądaniem na nie.

Ponieważ na zdjęciu jest on - jej inicjator.

Myśląc o tej niezapomnianej nocy, przypomina sobie uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć. Widzi siebie: roześmiana, szczęśliwa aż nie do poznania, beztrocka, stoi na Montmartre w spódniczce mini, z krwistoczerwonymi wargami i wyzywającym spojrzeniem.

- Ty durna wariatko - mówi do siebie z tamtych czasów I myśli: Nadal mogłabym tak wyglądać, gdybym chciała, albo niewiele gorzej. Mogłabym być taka szczęśliwa.

Choć zdjęcie wyblakło od upływu czasu i ciepła kryjówki, nadal daje ten potworny, błogi efekt.

- Weź się w garść.

Chowa fotografię z powrotem do suszarki. Opiera rękę o grzejnik i przytrzymuje ją. Woda jest gorąca, ale za mało. Żałuje, że nie jest tak gorąca, by ją poparzyć, wywołać ból, który pozwoliłby jej zapomnieć ten piękny, dawno utracony smak.

Bierze się w garść i schodzi na parter.

Obserwuje przez drewniane listwy okiennic, jak śmieciarz wchodzi na podjazd, żeby zabrać odpady. Tylko że wcale tego nie robi. Przynajmniej nie od razu. Otwiera pokrywę śmietnika, wyciąga czarny worek i grzebie w nim jakiś czas.

Helen widzi, jak jego kompan coś do niego mówi i zamyka pokrywę, turla pojemnik do śmieciarki.

Unosi, przechyla, opróżnia.

Śmieciarz patrzy na dom. Kiedy ją widzi, nie drży mu nawet powieka. Zapatrzony stoi w miejscu.

Helen robi krok w tył, odsuwa się od okna. Minutę później, kiedy sapiąca śmieciarka odjeżdża, czuje ulgę.

FAUST

Uczą się niemieckiego w olbrzymiej starej sali z wysokim sufitem, na którym wisi osiem świetlówek. Dwie z nich, zepsute, migotają nieustannie, co nie sprzyja złagodzeniu migreny Rowana.

Chłopiec siedzi ociężale na swoim krześle z tyłu klasy i słucha, jak pani Sieben czyta fragment *Fausta* Goethego z typowym dla siebie dramatyzmem.

- *Welch Schauspiel!* - mówi, z palcami złożonym w literę „o”, jak gdyby delektowała się smakiem posiłku. - *Aber ach! ein Schau-spiel nur!*

Przenosi wzrok znad książki na grupę siedemnastoletnich twarzy bez wyrazu.

- *Schauspiel?* Nikt?

Spektakl. Rowan zna słowo, ale nie podnosi dłoni, nigdy nie ma odwagi zgłosić się na ochotnika do odpowiedzi przed resztą klasy, zwłaszcza w obecności Eve Copeland.

- Nikt? Nikt?

Zadając pytanie, pani Sieben zadziera nos, jak węsząca za serem mysz. Dzisiaj jednak obejdzie się smakiem.

- Rozbijcie rzeczownik. *Schau-spiel*. Show i przedstawienie. To show. Przedstawienie. Coś, co się wystawia w teatrze. Goethe atakował fałsz tego słowa: „Co za show! Ale, ach - niestety - to tylko przedstawienie!”. Goethe lubił powtarzać „ach” - dodaje z uśmiechem. - To był Pan Niestety. Rowanie, mógłbyś przeczytać fragment z następnej strony, dwudziestej szóstej, który zaczyna się od... zobaczmy... - Uśmiecha się na widok czegoś. - *Zwei Seelen wohnen, ach! in meiner Brust*. Dwie dusze żyją - istnieją, zamieszkują - niestety! w mojej piersi albo w moim sercu... Proszę bardzo, *Herr Ach!* Czekamy.

Rowan widzi wpatrzone w niego twarze. Cała klasa wyciąga szyje, żeby nie przegapić żalostnego widoku nastolatka sparaliżowanego perspektywą odezwania się przed innymi. Tylko Eve nie odrywa wzroku od książki, być może, by zmniejszyć jego wstyd. Wstyd, którego już była świadkiem w zeszłym tygodniu na angielskim, kiedy Rowan musiał przeczytać mowę Otella do Desdemony. (*P-p-pokaż oczy* - wymamrotał w podręcznik z serii Arden. - *P-p-patrz mi w twarz*³).

- *Zwei Seelen* - czyta i słyszy stłumione parsknięcie. Rowan nie panuje nad głosem i po raz pierwszy dziś czuje się rozbudzony. Nie jest to dobre uczucie. To czujność poskramiaczy lwów i niespokojnych alpinistów. Wie, że balansuje na skraju katastrofy.

³ W. Szekspir, *Otello*, przeł. Józef Paszkowski, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1927, s. 106.

Sunie między słowami kompletnie przerażony i świadomy tego, że w każdej chwili może sfalszować wymowę. Pauza między *meiner* a *Brust* trwa pięć sekund i kilkaset lat. Jego głos drży, słabnie z każdym słowem.

- *Ich bin der Geist der st-stets verneint* - czyta. *Jestem duchem, który zawsze zaprzecza*⁴.

Nawet tak zdenerwowany czuje dziwny związek z tymi słowami, jak gdyby nie należały do Johanna Wolfganga von Goethego, tylko Rowana Radleya.

Jestem pokusą, której się nie ulega.

Jestem pragnieniem, którego się nie zaspokaja.

Jestem chłopcem, który obchodzi się smakiem.

Co się z nim dzieje? Czego wciąż sobie odmawia? Co mogłoby dodać mu siły, a jego głosowi pewności?

Eve trzyma w ręce długopis. Obraca go między palcami, wpatrując się w niego z wielką koncentracją, jak gdyby była natchnioną wróżką, a długopis przedmiotem, który przepowie jej przyszłość. Rowan czuje, że wstydzi się za niego i świadomość ta to istne katusze. Zerka na panią Sieben, ale jej uniesione brwi mówią mu, że ma czytać dalej, że męczarnie jeszcze się nie skończyły.

- *Entbehren sollst du!* - recytuje głosem, w którym nie ma śladu wykrzyknika. - *Sollst entbehren!*

Pani Sieben każe mu zatrzymać się w tym miejscu.

- Powiedz to z przejęciem - przerywa mu. - To zaciekle słowa. Rozumiesz je, Rowanie, prawda? Jeszcze raz. Głośniej.

Znowu czuje na sobie wzrok wszystkich, w tym Eve. Delektują się sytuacją, tak jak ludzie delektują się corridą albo okrutnymi teleturniejami. On jest zakrwawionym, zadżganym bykiem, którego udrękę chcą przedłużyć w nieskończoność.

- *Entbehren sollst du!* - mówi ponownie, głośniej, ale za cicho.

- *Entbehren sollst du!* - nakłania pani Sieben. - „Wyrzec się musisz!”. To mocne słowa, Rowanie. Potrzebny im mocny głos. - Uśmiecha się do niego zachęcająco.

Co ona sobie wyobraża, myśli. Że daje mu lekcję charakteru?

- *Entbehren sollst du!*

- Głośniej. Mit zacięcie, jeszcze raz!

- *Entbehren sollst du!*

- Głośniej!

Serce mu wali. Czyta słowa, które będzie musiał wykrzyczeć, żeby pani Sieben dała mu spokój.

Entbehren sollst du! Sollst entbehren!

Das ist der ewige Gesang.

⁴ Fragmenty *Fausta* J. W. Goethego luźno oparte na przekładzie Adama Pomorskiego, Świat Książki, Warszawa 2005, s. 56, 65.

Bierze głęboki wdech, prawie zamyka załzawione oczy i słyszy własny głos o niespotykanej sile.

- Wyrzec się musisz! Musisz się wyrzec! Wiecznie ta śpiewka! Dopiero kiedy kończy czytać, dociera do niego, że wykrzyczał te słowa po angielsku. Teraz nikt już się nie powstrzymuje, wszyscy pokładają się na ławkach ze śmiechu.

- Co w tym śmiesznego? - Zirytowana Eve pyta Lorelei Andrews.

- Czemu Radleyowie są tacy dziwni?

- On nie jest dziwny.

- Nie. Fakt. Na planecie dziwołagów niczym by się nie wyróżniał. Ale ja mam na myśli Ziemię.

Wstyd Rowana tylko się pogłębia. Patrzy na cukierkową opaleniznę Lorelei, na jej podły wzrok Bambi i wyobraża sobie, jak trawi ją samozapłon.

- Świetny przekład, Rowanie - mówi pani Sieben, uciszając śmiechy. Jej uśmiech jest teraz życzliwy. - Jestem pod wrażeniem. Nie wiedziałam, że przetłumaczysz to tak wiernie. Ja też nie, myśli Rowan.

Przez szybę z drucianą siatką w drzwiach dostrzega jakąś postać. Ktoś wybiegł z innej klasy i pędzi korytarzem. To Clara biegnie do toalety, zasłaniając sobie usta dłonią.

ZA PARAWANEM

Czternasty pacjent, którego Peter tego dnia przyjmuje, jest właśnie za zasłonką, gdzie spuszcza spodnie i ściąga bieliznę. Peter naciąga lateksową rękawiczkę i stara się nie myśleć o tym, co przez najbliższą minutę będzie musiał robić zgodnie z wymogami swojego fachu. Siedzi i zastanawia się, jak nastraszyć Clarę na tyle, żeby wróciła do jedzenia mięsa.

Uszkodzenie nerwów obwodowych? Anemia?

Istnieje całkiem sporo problemów zdrowotnych wywołanych brakiem witaminy B i żelaza. Nie musieli martwić się tym, kiedy dzieci były młodsze. Uwagi zgłaszane przez szkolną pielęgniarkę, która podawała w wątpliwość tłumaczenie, jakoby wysypka Rowana była wynikiem fotodermatozy. Czy w ogóle jeszcze warto? Czy warto kryć się pod stekiem kłamstw? Czy warto narażać zdrowie dzieci? Najbardziej wpienia go to, że jego dzieci myślą, że mu na nich nie zależy. Ale on po prostu nie może wyrazić swojej troski. W każdym razie nie tak, jakby chciał to zrobić.

- Jebać to - mówi po cichu. - Jebać. To. Oczywiście Peter jest lekarzem na tyle długo, żeby zdawać sobie sprawę, że pocieszenie jest formą terapii. Wielokrotnie czytał o efekcie placebo i metodach kuracji, których siła tkwi w pewności siebie. Wiedział o badaniach, które wykazały, że oxazepam działa lepiej w leczeniu nerwicy, jeżeli pigułka jest zielona, a na depresję skuteczniejsza jest żółta.

Czasami więc w ten właśnie sposób próbuje usprawiedliwiać kłamstwa przed samym sobą. Koloryzuje prawdę niczym pastylkę.

Z czasem idzie mu to jednak coraz gorzej. Kiedy siedzi i czeka na staruszka, obserwuje plakat na korkowej tablicy ogłoszeń.

Duża czerwona kropla krwi w kształcie łyży.

Pod spodem napis wytłuszczoną czcionką: „ZOSTAŃ DZIŚ BOHATEREM. ODDAJ KREW”. Zegar tyka.

Słychać szelest ubrania i staruszek odchrząkuje.

- Znaczy się... Jestem już... Może pan...

Peter wchodzi za parawan, robi, co do niego należy.

- Nie ma powodu do niepokoju, panie Bamber. Odrobina maści wystarczy.

Staruszek podciąga majtki i spodnie, zbiera mu się na płacz. Peter ściąga rękawiczkę i umieszcza ją ostrożnie w małym, specjalnie do tego przeznaczonym pojemniku. Pokrywa zamyka się z kliknięciem.

- To dobrze - mówi pan Bamber. - Dobrze.

Peter przygląda się twarzy staruszka. Plamy wątrobowe, zmarszczki, rozczochrane włosy, nieco zamglone oczy. Przez chwilę Peter czuje tak wielką odrazę do swojego skróconego na własne życzenie życia, że odbiera mu mowę.

Odwraca się i w oko wpada mu inny plakat na ścianie. Ten musiała powiesić Elaine. Zdjęcie komara i ostrzeżenie wakacjowiczów przed malarią.
„JEDNO UGRYZIENIE WYSTARCZY”.
Zbiera mu się na płacz.

COŚ ZŁEGO

Dłonie Clary są lepkie od potu.

Czuje, jakby miała w sobie coś straszego. Truciznę, którą trzeba wydalic z ciała. Coś tam żyje. Coś złego, co się do niej dobiera.

Do toalety wchodzi kilka dziewczyn i któraś z nich chce wejść do jej kabiny. Clara nie rusza się i usiłuje oddychać pomimo odruchu wymiotnego, ale nie potrafi opanować wzbierających w niej błyskawicznie mdłości.

Co się ze mną dzieje?

Znowu wymiotuje i słyszy głosy.

- Dobra, panno Bulimio, drugie śniadanie mamy już chyba z głowy. - Za chwilę słyszy: - Rany, jak to cuchnie.

Rozpoznaje głos Lorelei Andrews.

Słysząc delikatne pukanie do drzwi kabiny. Potem znowu głos Lorelei, ale cichszy.

- Wszystko w porządku? Clara oczekuje chwilę.

- Tak - mówi.

- Clara? To ty?

Clara nie odzywa się. Lorelei i ktoś jeszcze chichoczą.

Czeka, aż sobie pójda, potem spuszcza wymiociny. Na korytarzu Rowan opiera się o kafelki. Dziewczynę cieszy widok jego twarzy, jedynej, którą może teraz znieść.

- Widziałem, jak biegniesz. Wszystko gra?

W tej chwili mija ich Toby Felt, dźgając po drodze Rowana rakieta w plecy.

- Rozumiem, że trzyma cię chcica, łajzisy, ale to twoja siostra. Tak nie można.

Rowan nie ma mu nic do powiedzenia, a w każdym razie nic, co odważyłby się powiedzieć na głos.

- To taki debil - mówi słabym głosem Clara. - Nie wiem, co Eve w nim widzi.

Na widok smutniejszego Rowana Clara żałuje, że to powiedziała.

- Wcześniej mówiłaś, że jej się nie podoba - przypomina.

- No... tak mi się wydawało. Myślałam, że jako osoba obdarzona sprawnym mózgiem nie zwróci na niego uwagi, ale... może trochę go lubi.

Rowan udaje obojętność.

- I tak jest mi wszystko jedno. To jej sprawa, kto jej się podoba. Mamy w końcu demokrację.

Słysząc dzwonek.

- Daj sobie z nią spokój - radzi Clara, kiedy idą na kolejną lekcję. - Jak chcesz, żeby przestała się z nią przyjaźnić, to przestanę.

Rowan wzdycha.

- Nie bądź głupia. Nie mam siedmiu lat. I tak tylko trochę mi się podobała. Nic do niej nie czułem. Nic a nic.

Wtedy pojawia się za nimi Eve.

- Co nic a nic?

- Nieważne - odpowiada Clara, świadoma, że jej brat z nerwów stracił głos.

- Nic, nic a nic. Pełen nihilizm.

- To u nas rodzinne - ucina Clara.

Jeżeli abstinencja trwała całe życie, to tak naprawdę nie wiecie, co was omija. Ale pragnienie nie zniknęło, skryte głęboko naznacza sobą wszystko.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 120

TAJSKA SAŁATKA WARZYWNA Z MARYNOWANYM KURCZAKIEM I SOSEM Z LIMY I CHILI

- Ładna biżuteria - mówi Peter, który poczuwa się do usprawiedliwienia wzroku w białego w szyję Lorny.

Na szczęście ta wdzięcznie się uśmiecha i dotyka zwykłych białych paciorków.

- Och, Mark mi to kupił całe wieki temu. Na bazarze w Saint Lucia, w podróży poślubnej.

To nowość dla Marka, który dopiero teraz dostrzega, że Lorna w ogóle nosi naszyjnik.

- Tak? Nie przypominam sobie. Lorna wygląda na urażoną.

- Tak - potwierdza z żalem. - Kupiłeś.

Peter próbuje skoncentrować się na czymś innym. Patrzy, jak jego żona ściąga folię z przygotowanej przez Lornę przystawki, potem na Marka, który sączy sauvignon blanc z czujnością wychowanka winnicy w Loire Valley.

- Czyli Toby poszedł na imprezę? - pyta Helen. - Clara też poszła, choć nie czuła się najlepiej.

Peter przypomina sobie, jak Clara podeszła do niego godzinę temu, kiedy sprawdzał e-maile. Zapytała go, czy może iść, a on zamyślony przytaknął, bagatelizując pytanie. Potem, kiedy zszedł na parter, Helen posłała mu urażone spojrzenie, ale nic nie powiedziała, zajęta duszeniem wieprzowiny. Może teraz chciała mu dociąć. I może słusznie. Może nie powinien był się zgodzić, ale on to nie Helen. Nie może zawsze być na bieżąco.

- Nie mam pojęcia - mówi Mark. Potem pyta Lornę: - Poszedł?

Lorna przytakuje, rozmowa o pasierbie jest dla niej krępująca.

- Tak mi się wydaje, nie, żeby się nam tłumaczył ze swoich planów. - Kieruje rozmowę z powrotem na podaną przez Helen sałatkę. - Oto i ona. Tajska sałatka warzywna z marynowanym kurczakiem i sosem z limy i chili.

Peter to słyszy, ale nic nie wzbudza jego niepokoju. Helen już zjadła kęs, więc powinno być w porządku.

Przebija widelcem kawałek kurczaka z rzeżuchą w sosie i wkłada do ust. Za chwilę zaczyna się krztusić.

- Boże - mówi.

Helen wiedziała, ale nie miała jak go ostrzec. Udało jej się jakimś cudem przełknąć i teraz płucze sobie białym winem usta, żeby pozbyć się smaku.

Lorna jest bardzo zmartwiona.

- Coś się stało? Za pikantna?

Nie poczuł zapachu, który musiały zabić chili i inne przyprawy. Ale ostry, paskudny smak jest tak intensywny, że dławi się, zanim kęs dociera do gardła. Wstaje z ustami zakrytymi dłońią i odwraca się od stołu.

- Chryste, Lorna - upomina ją Mark głosem podszytym agresją. - Coś ty zrobiła?

- Czosnek! - krzyczy odruchowo Peter, pomiędzy spazmami, jakby przeklinał imię niezwyciężonego wroga. - Czosnek! Ile go jest? - Pociera sobie język palcem, usiłując zetrzeć paskudztwo. Wtedy przypomina sobie o winie i chwyta kieliszek. Przepłukując z odchylną głową gardło, widzi przez zamglone oczy Lornę wpatrującą się żałośnie w półmisek z resztą nieszczęsnej przystawki.

- Trochę w sosie i odrobina w marynacie. Przepraszam. Nie wiedziałam, że...

Jak zwykle czujna Helen opanowuje sytuację:

- Peter ma alergię na czosnek. Ale oczywiście przeżyje. To samo ma z szalotką.

- Aha - komentuje Lorna, szczerze zdezorientowana. - Dziwne. To taki zdrowy przeciwutleniacz.

Peter podnosi serwetkę i odkasłuje w biały materiał. Resztką wina płucze usta i połyka.

- Najmocniej przepraszam - mówi, stawiając pusty kieliszek na stole. - Naprawdę. Przepraszam.

We wzroku żony, wkładającej właśnie do ust liść bez sosu, widzi dezaprobatę i współczucie.

COPELAND

- Wybieracie się gdzieś w tym roku? - pyta Helen gości. Mark przytakuje.

- Chyba tak. Być może na Sardinie.

- Na Costa Smeralda - dodaje Lorna, która patrząc na Petera, sunie palcem po krawędzi kieliszka.

- Ach, Sardinia! - powtarza Helen, natchniona nietypowym szczęściem. - Sardinia jest przepiękna. Poleciliśmy tam kiedyś na jedną noc, prawda, Peter?

Goście są zdezorientowani.

- Noc? - pyta Mark, wręcz podejrzliwie. - Spędziliście tam tylko jedną noc?

Helen uzmysławia sobie popełniony błąd.

- Chciałam powiedzieć, że poleciliśmy tam w nocy - wyjaśnia, a jej mąż podnosi pytająco brwi, ciekawy, jak z tego wybrnie. - To było wspaniałe, lot nad Cagliari... światła i w ogóle wszystko. Oczywiście zatrzymaliśmy się tam na tydzień. Lubimy krótkie wypady, ale lot na jedną noc to byłaby lekka przesada!

Śmieje się, nieco za głośno, potem wstaje, żeby przynieść kolejne danie. Duszoną wieprzowinę bez czosnku, którą obiecuje sobie zjeść bez zbędnych gaf.

Powinam opowiedzieć o książce, którą czytam, myśli Helen. To powinien być bezpieczny temat. W końcu nigdy nie spędziliśmy szalonej nocy po locie do maoistowskich Chin.

Nie musi się jednak przejmować wynajdywaniem tematu do rozmowy, ponieważ Mark przez całe główne danie zanudza wszystkich opowieściami o nieruchomościach.

- Kupiłem w najgłębszym kryzysie, czysty zysk - mówi o mieszkaniu na Lowfield Close. Potem nachyla się nad stołem, jakby szykował się do wyjawienia sekretu Świętego Graala. - Kłopot z kupnem na wynajem polega na tym, że można sobie wybrać lokal, nie zawsze można wybrać najemcę.

- Zgadza się - przytakuje Helen, czując, że Mark czeka na potwierdzenie.

- A pierwszy i ostatni facet, który chciał wynająć, okazał się totalną wtopą. Totalną.

Peter słucha jednym uchem. Jest zbyt zajęty odganianiem myśli o Lornie, które chodzą mu po głowie, kiedy przeżuwa wieprzowinę. Ucieka przed nią wzrokiem i usiłuje skoncentrować się na talerzu, warzywach i brunatnym soku.

- Wtopa? - pyta Helen, dzielnie udając zainteresowanie opowieścią Marka.

Mark przytakuje ponuro.

- Jared Copeland. Znacie go?

Copeland. Helen się zastanawia. Brzmi znajomo.

- Ma córkę - dodaje Mark. - Blondynka. Chyba ma na imię Eve.

- A, tak. To przyjaciółka Clary. Tylko raz ją widziałam, wygląda na uroczą dziewczynę. Bystra.

- W każdym razie jej ojciec to niezły agent. Zdaje się, że alkoholik. Pracował w policji. Chyba w wydziale kryminalnym, choć tego po nim nie widać. Stracił pracę i przeniósł się tutaj z Manchesteru. Posunięcie idiotyczne, ale skoro chce wynająć ode mnie mieszkanie, to przecież nie będę go zniechęcał. Kłopot w tym, że facet jest splukany. Zapłacił kaucję i na tym się skończyło. Mieszka od dwóch miesięcy i nie dostałem od niego złamanego grosza.

- Mój Boże, to biedaczysko - mówi Helen, szczerze przejęta. - Coś mu się musiało przytrafić.

- To samo powiedziałam - dodaje Lorna.

Mark wywraca oczami.

- Nie prowadzę działalności charytatywnej. Powiedziałem mu że jak nie zobaczą za tydzień pieniędzy, to koniec pieśni. Nie można się w tych sprawach rozckliwiać, Helen. Jestem biznesmenem. Tak czy siak, powiedział, że nie ma sprawy. Dostał nową robotę. - Mark uśmiecha się z taką pogardą, że nawet Helen zastanawia się, po co zaprosiła Feltów. - Został śmieciarzem. Od detektywa do śmieciarza. Chyba nie będę się go radził w kwestii ścieżki kariery.

Helen przypomina sobie śmieciarza grzebiącego rano w ich śmietniku.

Jej mąż jednak nie wychwycił związku. Nie usłyszał fragmentu o śmieciarzu, ponieważ w tym momencie poczuł, jak coś dotyka jego stopy. Tętno mu przyspiesza, uświadamia sobie, że to Lorna, jej stopa. Zakłada, że to przypadek. Ale Lorna nie odsuwa stopy, trzyma ją tuż obok jego nogi, ocierając się z czułością o skórę buta.

Spogląda na Lornę.

Sąsiadka uśmiecha się skromnie. Peter, nie odsuwając stopy, myśli o dzielących ich barierach. But, skarpeta, skóra. Zasady, małżeństwo, obłęd.

Zamyka oczy i usiłuje ograniczyć fantazję do płaszczyzny seksualnej. Zwyczajnej. Ludzkiej. Ale przychodzi mu to z trudem.

Peter odsuwa się, wsuwając stopę powoli pod krzesło, a Lorna wlepia wzrok w pusty talerz. Z jej twarzy nie znika uśmiech.

- To jest interes - tłumaczy Mark, zakochany w tym słowie. - A nam kroi się w tym roku masa wydatków. Poważny remont domu.

- Aha, i co będziecie robić? - pyta Helen.

Mark odchrząkuje, jakby miał wygłosić oświadczenie wagi państwowej.

- Rozbudowa piętra - piąta sypialnia. Peter, wpadnę i pokażę ci plany, zanim złożę wnioski o zezwolenie. Może wam odrobinę zasłonić ogród.

- To na pewno żaden problem - mówi Peter, który nagle czuje się żywy i groźny. - Powiedziałbym wręcz, że cień jest nam na rękę.

Helen trąca męża z całej siły w nogę.

- Dobrze - przerywa, zabierając się do zbierania naczyń. - Kto ma ochotę na deser?

TARANTULA

Na dworze jest zimno, nawet przy ognisku, ale nikomu to nie przeszkadza.

Nastolatki tańczą, piją, palą jointy.

Clara siedzi na ziemi. Wpatruje się w prowizoryczne ognisko palące się parę metrów dalej, wzdryga się od żaru i światła płomieni. Nawet gdyby czuła się dobrze, i tak ostatnia godzina - czy ile tam minęło, od kiedy przypałał się Toby Felt i zaczął zmiękczać Eve tanią wódką i jeszcze tańszymi tekstami - byłaby koszmarem. Ale poskutkowało. Teraz się całują, a dłoń Toby'ego obejmuje tył głowy jej przyjaciółki niczym tarantula z pięcioma odnóżami.

Oprócz tego Clarę tej nocy dobija Harper. Od dziesięciu minut siedzi i wgapia się w nią, przez co czuje się jeszcze gorzej.

Jej żołądek wykonuje salto i Clara czuje, jakby ziemia pędziła w dół.

Musi stąd iść.

Próbuje zebrać siły, żeby się podnieść. Wtedy Eve odsuwa się od ust Toby'ego, żeby odezwać się do przyjaciółki.

- Boże, Clara, jesteś naprawdę blada - mówi Eve, pijana, ale zatroskana. -
Idziemy? Weźmiemy na spółkę taksówkę. Mogę zadzwonić.

Za jej plecami Clara widzi, jak Toby zagrzewa Harpera do działania, i zastanawia ją, co właściwie mu mówi.

- Nie, nie trzeba - odpowiada z wysiłkiem, przekrzykując głośną muzykę.
- Zaraz zadzwonię do mamy, żeby po mnie przyjechała.

- Jak chcesz, to ja mogę do niej zadzwonić. Toby ciągnie Eve za T-shirt.

- Nie trzeba - mówi Clara.

- Na pewno? - pyta Eve, spoglądając wzrokiem pijanej łani.

Clara przytakuje. Nie może mówić. Wie, że jeżeli coś powie, to zwymiotuje. Bierze głęboki wdech, żeby ocucić się rześkim nocnym powietrzem, ale to nie pomaga.

I wtedy, kiedy Eve i Toby wracają do całowania, sensacje żołądkowe nasilają się i dołącza do nich ostry, świdrujący ból.

Coś tu nie gra, myśli Clara.

Zamyka oczy i gdzieś w głębi duszy odnajduje siłę, żeby wstać i oddalić się od radosnych, tańczących nastolatków i migdalących się par.

SYGNAŁ

Kilka minut później Clara pokonuje przełaz i kieruje się na pobliskie pole. Chce zadzwonić do mamy, ale komórka nie łapie sygnału. Nie idzie prosto w kierunku drogi - nie chce, żeby widzieli ją imprezowicze - tylko na przełaj przez pole, w ten sposób zniknie niezauważona.

Jeszcze raz wyjmuje komórkę. Mały symbol anteny jest ciągle przekreślony.

Na ziemi śpią krowy. Bezgłowe kształty w mroku, jak grzbiety wielorybów wynurzających się z oceanu. Dopiero kiedy się zbliża, zamieniają się w prawdziwe krowy; budzą się przestraszone i uciekają przed nią chwiejnym krokiem. Idzie dalej po ścieżce prowadzącej na przełaj do odległej drogi, odgłosy imprezy zlewają się i wraz z muzyką rozplywają w nocnym powietrzu.

Clara jeszcze nigdy nie czuła się tak źle, co - w życiu z nawracającymi infekcjami oka, trzydniowymi migrenami i atakami biegunki - jest niezłym osiągnięciem. Powinna leżeć w łóżku, zwinięta pod kołdrą w kłębek, i kwilić pod nosem.

Wtedy znowu nadchodzi silna fala mdłości, która sprawia, że chciałaby pozbyć się swojego ciała.

Musi się zatrzymać.

Musi się zatrzymać i wymiotować.

Ale wtedy coś słyszy. Głośne dyszenie.

Ogień jest teraz daleko stąd, został po nim tylko odległy blask za nierównym, krzaczastym żywopłotem, który oddziela pola. Widzi ciężką sylwetkę, która podąża za nią. - Hej - coś sapie. On sapie. - Clara.

To Harper. Jest jej tak niedobrze, że nie martwi się, dlaczego za nią idzie. Trawiona gorączką nie pamięta lubieżnych spojrzeń, wyobraża sobie, że on wcale za nią nie poszedł. A może coś zostawiła i chce jej to oddać.

- Co? - mówi. Prostuje się.

Harper podchodzi do niej. Uśmiecha się szeroko i nie odpowiada. Clara widzi, że jest niewiarygodnie pijany. Za to ona jest trzeźwa. Harper to prostak i menel, ale zawsze sprawiał na niej wrażenie osoby bez własnego zdania. A Toby ego chwilowo nie ma, raczej nic jej nie grozi.

- Ładnie wyglądasz - mówi Harper, chybocząc się niby wielkie drzewo zrąbane u podstawy pnia.

Jego głęboki, nosowy głos przytłacza ją, podsycając mdłości.

- Wcale nie. Ja...

- Tak sobie myślałem, czy chcesz sobie pochodzić.

- Co?

- Tak sobie tylko, no wiesz, pochodzić.

Jest zdezorientowana. Znowu zastanawia się nad tym, co Toby mu naopowiadał.

- Właśnie szłam.

Harper się uśmiecha.

- Nic się nie martw. Wiem, że ci się podobam.

Clara nie ma teraz do tego głowy. Skończył jej się zestaw kulturalnych i pożytecznych wymówek, które pomogłyby jej sobie z nim poradzić. Jedyne, co może zrobić, to iść dalej.

Ale Harper wyprzedza ją, zastępuje jej drogę i uśmiecha się, jakby odbierali jakiś dowcip na tych samych falach. Dowcip, który może się skończyć wulgarnie, paskudnie. Zbliża się do niej właśnie teraz, kiedy najbardziej jej zależy, żeby nikogo tu nie było. Nikogo oprócz jej mamy i taty.

I nagle Harper wygląda groźnie, na jego przepitej twarzy widać potencjał ludzkiego zła. Clara zastanawia się, czy tak czują się psy i małpy w laboratoriach, kiedy uświadamiają sobie, że naukowcy nie muszą być dla nich mili.

- Proszę - mówi z trudem - daj mi spokój.

To go rozdrażnia, jakby celowo chciała go zranić.

- Wiem, że na mnie lecisz. Nie udawaj.

Udawaj.

Wyraz wiruje jej w głowie, zamienia się w bezsensowny dźwięk. Jest pewna, że czuje, jak Ziemia obraca się wokół własnej osi. Usiłuje się skoncentrować. Na końcu pola jest pusta droga. Droga, która prowadzi do Bishopthorpe. Do jej rodziców. Do domu. I z dala od niego.

Musi ich wezwać. Musi, musi, musi...

- Kurwa mać!

Zwymiotowała mu na adidasy.

- Nówki! - krzyczy.

Clara wyciera sobie usta, czuje się trochę lepiej.

- Przepraszam - mówi. Dociera do niej, jak bardzo teraz jest bezbronna, tak daleko od imprezy, i wciąż nie dość blisko drogi.

Wymija go wiedziona nową falą stanowczości, nadal kieruje się z górki w stronę drogi. Jednak on ciągle za nią idzie.

- Ale nie ma sprawy. Wybaczam ci.

Nie zwraca na niego uwagi i zaczyna wybierać numer do rodziców, lecz z nerwów się myli i zamiast do listy numerów wchodzi do ustawień.

- Źle się czuję. Daj mi spokój.

Klika „książkę adresową”. Precyzja, z jaką ich numer domowy lśni z ekranu, dodaje jej otuchy. Wybiera „połącz”.

- Wiem, jak zrobić, żebyś poczuła się lepiej. Daj spokój, wiem, że ci się podobam.

Clara ma telefon przy uchu. Czeka na połączenie. Modli się przy każdym mechanicznym buczeniu, żeby któreś z rodziców odebrało. Ale po trzech, czterech sygnałach Harper wyrywa jej telefon z ręki i teraz go wyłącza.

Sprawa jest poważna. Pomimo mdłości Clara wyczuwa, że dowcip robi się bardzo mroczny. Ona jest dziewczynką, on dwa razy większym od niej chłopcem, który może z nią zrobić wszystko. Myśli, że pięć kilometrów stąd jej mama i tata gawędzą sobie przyjaźnie z Feltami przy kolacji. Pięć kilometrów - nigdy wcześniej nie wydawało jej się to tak daleko.

- Co ty wyprawiasz?

Clara patrzy, jak jej telefon znika w kieszeni jego džinsów.

- Mam twój telefon. Gównianego samsunga. - To dziecko. Trzylatek o ciele potwora.

- Oddaj mi go, proszę. Muszę zadzwonić po mamę.

- Weź go sobie.

- Po prostu mi go oddaj.

Podchodzi do niej. Obejmuje ją. Clara próbuje się oprzeć, ale chłopiec używa więcej siły, wzmagając uścisk. W jego oddechu czuć alkohol.

- Wiem, że na mnie lecisz - mówi. - Eve powiedziała Toby'emu, że na mnie lecisz.

Serce Clary najpierw trzepocze, a teraz mocno bije w rytmie paniki.

- Proszę - mówi ostatni raz.

- Kurwa, co jest? To ty się na mnie zrzygałaś. Dziwaczysz tak samo jak ten twój brat.

Próbuje ją pocałować. Clara odwraca głowę. Strofuje ją twardym, beznamietnym głosem:

- Co, że niby jesteś dla mnie za ładna? Nie jesteś dla mnie za ładna.

Teraz wzywa pomocy, objęta przez Harpera, wciskającego dłoń w jej ciało, na które ma ochotę.

- Pomocy! - krzyczy jeszcze raz i zwraca głowę w stronę, z której przyszli. Krzyk dociera tylko do krów, które przyglądają się tak samo przestraszone jak ona. Harpera też ogarnia teraz panika.

Widzi to na jego twarzy, w jego zdesperowanym uśmiechu i przestraszonym wzroku. Nie ma lepszego pomysłu i zatyka jej usta dłonią. Clara omiata wzrokiem drogę. Żadnego samochodu, ani żywej duszy. Krzyczy przez jego dłoń, ale wydobywa się z niej tylko rozpaczliwy jęk. Wtedy chłopiec naciska mocniej, raniąc jej szczękę.

Napiera jej na nogi od tyłu na wysokości kolan i przewraca ją na ziemię.

- Nie jesteś lepsza ode mnie - mówi, cały czas tłumiąc dłonią krzyki. - Zaraz ci pokażę. - Kładzie się na niej całym swoim ciężarem i sięga do górnego guzika jej džinsów.

W tym momencie lęk Clary zamienia się w gniew. Tłucze go pięścią w plecy, ciągnie za włosy, gryzie w dłoń. Czuje smak krwi i zagryza mocniej.

- Au! Ty suko! Au! Coś się zmienia.

Jej umysł trzeźwieje. Nagle strach znika. Mdłości znikają. Słabość znika.

Zostaje tylko krew, piękny smak ludzkiej krwi.

Zaspokaja pragnienie, o którego istnieniu nigdy nie wiedziała, i doświadcza ulgi niczym pustynia, która wchłania pierwsze krople deszczu. Zatraca się w smaku, nie dociera do niej jego wrzask, kiedy wyszarpuje jej dłoń. Ma na niej coś czarnego i lśniącego. To duża otwarta rana, w miejscu, gdzie powinno być wnętrze dłoni, nietknięte cieniutkie patyczki kości. Patrzy na nią śmiertelnie przerażony, a ona nie musi pytać dlaczego. W ogóle nie ma żadnych pytań.

Atakuje wiedziona dziką wściekłością, której nie może opanować, i nagle z wielką siłą popycha go, obala na ziemię, żeby nie stracić tego smaku.

Jego stłumiony krzyk w końcu cichnie wraz z nieziemskim bólem, który mu zadała, a jej zostaje tylko intensywna, niepowtarzalna rozkosz smaku jego krwi. Ta rozkosz ją zalewa, zmieniając słabą dziewczynkę, za jaką się uważała, w nową istotę - jej silne, prawdziwe „ja”.

W tej chwili czuje się potężniejsza od tysiąca wojowników. Na świecie nie ma już dla niej lęku, tak jak w jej ciele nie ma bólu ani mdłości.

Zatraca się w tej chwili. Czuje jej intensywność, wolność od przeszłości i przyszłości, zaspokaja łaknienie pod osłoną mrocznej i bezgwiezdnej nocy.

KREW, KREW

Helen podnosi się, żeby odebrać telefon, ale zanim wychodzi z jadalni, dzwonek się urywa. Dziwne, myśli, i ma niejasne poczucie, że stało się coś złego. Kiedy z powrotem odwraca się do gości, Mark Felt właśnie wkłada do ust łyżkę ze sporym kawałkiem ciasta z owocami.

- Helen, pycha. Musisz dać Lornie przepis.

Lorna spogląda na niego z wyrzutem, wyczuwając przytyk pod swoim adresem. Otwiera i zamyka usta, potem znowu je otwiera, ale nic nie mówi.

- Tak naprawdę - zaczyna Helen dyplomatycznie - chyba przesadziłam z czerwoną porzeczką. Właściwie powinnam była zamówić coś gotowego z Waitrose.

Słyszą dobiegającą z piętra muzykę Rowana, ponury list samobójcy z gitarami w tle, piosenkę, którą Peter i Helen słyszeli ostatni raz wiele lat temu w Londynie na pierwszej randce. Helen z trudem wyłapuje fragment: „Chcę utonąć w twojej słodkiej czerwonej krwi” i uśmiecha się mimo woli, wspominając, jaką miała tamtej nocy radochę.

- Właściwie chciałam się z tobą umówić - mówi Lorna do Petera. Słychać głos kota ocierającego się o kaloryfer.

- Tak? - pyta Peter.

Lorna nie odrywa od niego wzroku.

- Znaczy, w sensie medycznym. Umówić się na wizytę.

- Wizyta u staroświeckiego lekarza rodzinnego? - pyta Peter. - Trochę konwencjonalne jak na specjalistkę od refleksologii.

Lorna uśmiecha się.

- Przezorny zawsze ubezpieczony, prawda?

- No, chyba że...

Zanim Peter kończy, drugi raz dzwoni telefon.

- Znowu? - dziwi się Helen. Odsuwa krzesło i wychodzi z pokoju.

W przedpokoju sprawdza godzinę na małym zegarze, który stoi obok telefonu. Za pięć jedenasta.

Podnosi słuchawkę, słyszy oddech córki. Brzmi, jakby biegła.

- Clara?

Dopiero po chwili dochodzi do niej głos Clary. Na początku dziewczyna nie jest w stanie formułować spójnych zdań, jakby od nowa uczyła się mówić.

- Clara? Co się stało?

Wreszcie w słuchawce rozbrzmiewają te słowa i Helen wie, że to koniec świata.

- Krew. Nie mogłam przestać. Krew, krew...

CICHO

Rowan przesiedział cały wieczór w pokoju, pracując, bez większych rezultatów, nad wierszem o Eve.

Dociera do niego, jak cicho jest w domu. Nie słyszy kulturalnych, obłudnych głosów rodziców i ich gości. Słyszy za to coś innego - odgłos silnika na dworze. Kiedy wygląda zza zasłony, widzi jak minivan rusza gwałtownie z podjazdu i pędzi Orchard Lane.

Dziwne.

Jego rodzice nigdy nie jeżdżą tak szybko. Przychodzi mu do głowy, że ktoś ukradł im samochód, wkłada bluzę, którą wcześniej zdjął, by zrobić, mordując się przy tym niemiłosiernie, trzy pompki, i schodzi na parter.

BELA LUGOSI

Helen wyjeżdża z miasteczka, drzewa śmigają w mroku. Chciała prowadzić, ponieważ wiedziała, że Peter, jak tylko się dowie, dostanie szału. Powiedziała mu, dopiero kiedy byli już za miastem. Tak było łatwiej, z dala od domów i alejek w miejscu ich nowego życia. Teraz powiedziała mu, że stało się to, co stać się musiało. Peter wydziera się na Helen, podczas gdy ta stara się skoncentrować na prowadzeniu samochodu, wpatrując się w pustą drogę.

- Jezu, kurwa, Chryste, Helen - mówi. - Czy ona wie?

- Nie.

- To co się jej zdaniem stało?

Helen bierze głęboki oddech, próbuje w miarę możliwości opowiedzieć wszystko ze szczegółami.

- Chłopak jej się narzucił i go zaatakował. Ugryzła go. Mówiła w kółko o krwi. O jej smaku. Bełkotała bez ładu i składu.

- Ale nie powiedziała...

- Nie.

Helen wie, że Peter powie to, co myśli, i wie, że musi się z nim zgodzić.

- Trzeba jej powiedzieć. Obojgu. Muszą wiedzieć.

- Wiem.

Peter kręci głową i posyła jej wściekłe spojrzenie, które Helen usiłuje zignorować. Koncentruje się na drodze, chce mieć pewność, że nie przegapi zakrętu. Ale nie potrafi zagłuszyć jego głosu, kiedy wrzeszczy jej do ucha.

- Siedemnaście lat! I teraz wiesz, że powinniśmy im byli powiedzieć. Wspaniale. Wspaniale. - Peter wyciąga z kieszeni komórkę i zaczyna wybierać numer. Wciąga gwałtownie powietrze, szykując się do rozmowy, po czym przez chwilę się waha. Poczta głosowa.

- To ja - mówi w końcu, nagrywając wiadomość. - Wiem, że dawno się nie odzywałem.

Nie. To niemożliwe.

- Ale potrzebujemy cię. Clara ma kłopoty, nie poradzimy sobie z tym sami.

A jednak. Dzwoni do swojego brata.

- Proszę, zadzwoń, jak tylko odbierzesz...

Helen odrywa wzrok od drogi i zdejmuje dłoń z kierownicy, żeby wziąć od niego aparat. Prawie wjeżdżają w drzewa.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - Helen wciska klawisz „Zakończ”. - Obiecałeś, że nigdy do niego nie zadzwonisz.

- Do kogo?

- Dzwoniłeś do Willa.

- Helen, tam leżą zwłoki. Nie poradzimy sobie z tym sami.

- Wzięłam łopate - mówi Helen, świadoma, jak absurdalnie to zabrzmiało.
- Nie potrzebujemy twojego brata.

Przez kilka sekund nic nie mówią, dojeżdżają do rogatek i skręcają.

Will! Zadzwoił do Willa!

Helen jednak zdaje sobie sprawę z tego (i Peter wie, że ona wie), że to idealne rozwiązanie. Droga się zwęża, teraz drzewa stoją jakby bliżej siebie i wyglądają niczym pochyleni goście w ekstrawaganckich kapeluszach, bawiący się o północy na przyjęciu weselnym.

Albo na pogrzebie.

- Mógłby odlecieć z ciałem - mówi Peter po chwili. - Mógłby tu być za dziesięć minut. Mógłby się tym zająć.

Dłoń Helen z desperacją chwyta za kierownicę.

- Obiecałeś - przypomina mu.

- Wiem, że obiecałem - mówi Peter, przytakując. - Wiele rzeczy sobie obiecywaliśmy. Ale było to, zanim nasza córka pojechała a la Bela Lugosi z jakimś chłopcem w szczerym polu. Nie wiem, dlaczego w ogóle pozwoliłaś jej tam iść.

- Prosiła cię o pozwolenie, ale nie słuchałeś.

- Ciągłe praktykuje - mówi Peter. - W Manchesterze. W zeszłe święta napisał do mnie e-maila.

Helen podskakuje na siedzeniu.

- E-maila? Nic mi nie mówiłeś.

- Ciekawe dlaczego - komentuje, kiedy Helen zwalnia. Wskazówki Clary co do miejsca były mętne, oględnie rzecz ujmując.

- To będzie gdzieś przy tej drodze - mówi Helen. Peter wskazuje przez okno.

- Patrz.

Helen widzi w oddali ogień na polu i postacie. Clara nie może być daleko. Helen po cichu modli się, żeby nikt nie poszedł jej szukać, jej ani chłopca.

- Jeżeli nie chcesz, żebym zwrócił się do niego o pomoc, to sam się tym zajmę - mówi Peter. - Odlecę stąd z ciałem.

Helen odrzuca ten pomysł.

- Nie bądź śmieszny. Tak czy inaczej, nie dałbyś rady. Nie teraz. Minęło siedemnaście lat.

- Mógłbym to zrobić, gdybym tylko spróbował krwi. Nie trzeba mi wiele.

Helen spogląda na męża z niedowierzaniem.

- Pomyślałem tylko o Clarze - usprawiedliwia się, nie odrywając wzroku od pobocza. - Pamiętasz, jak to było. Jak to się robi. Nie groziłoby jej więzienie. Oni by...

- Nie - ucina stanowczo Helen. - Nie. Sami zabierzemy zwłoki. Zakopimy je. Pojedziemy na wrzosowiska i je zakopimy. Tak jak robią to ludzie.

- Tak jak to robią ludzie! - Peter prawie wybucha śmiechem. - Jezu!

- Peter, musimy wziąć się w garść. Jeżeli spróbujesz krwi, sprawy mogą wymknąć się spod kontroli.

To daje mu do myślenia.

- W porządku. Masz rację. Ale Zanim się do tego weźmiemy, chcę, żebyś mi coś powiedziała.

- Co? - pyta Helen. Nawet w taką noc - zwłaszcza w taką noc - to zdanie napawa Helen lękiem

- Chcę wiedzieć, czy mnie... kochasz.

Brak związku pytania z ich obecnym problemem szokuje Helen.

- Peter, to nie jest...

- Helen, muszę wiedzieć.

Nie potrafi odpowiedzieć. Dziwne. Są sprawy, w których tak łatwo się kłamie, ale i takie, w których kłamstwo przychodzi tak trudno.

- Peter, nie dam się dzisiaj wciągnąć w pompowanie ego.

Jej mąż przytakuje i przetrawia odpowiedź, którą otrzymał. Wtedy widzą przed sobą coś, kogoś. Ktoś się kuli w krzakach.

- To ona.

Kiedy Clara wychodzi z kryjówki, wszystko nabiera realizmu. Czyste ubranie, w którym wyszła z domu, jest teraz przesiąknięte krwią. Sweter i sztruksowa kurtka lśnią czerwienią, ma zbryzganą całą twarz i okulary. Osłania oczy przed blaskiem świateł samochodu.

- Boże, Clara - mówi Helen.

- Helen, światła. Świecisz jej po oczach.

Gasi je i kiedy zatrzymują się, ich córka nie rusza się z miejsca, opuszcza powoli rękę. Za chwilę Helen wysiada z samochodu, zerka w stronę mrocznego pola i leżącego gdzieś na nim ciała. Zrobiło się zimno. Wieje przenikliwy wiatr. Rozwiewa włosy Clary na wszystkie strony, przez co jej twarz robi się pełniejsza, pyzata - jak buzia dziecka.

Zabiłam ją, myśli Helen na widok wyrazu twarzy Clary, który bardziej podkreśla grozę sytuacji niż wszechobecna krew. Zabiłam całą naszą rodzinę.

MROCZNE POLA

Chłopiec leży na ziemi, przed Peterem. Wygląda tak, że może być tylko martwy. Ręce wyciągnięte nad głową, jak gdyby chciał się poddać. Zjadła mu gardło i klatkę piersiową, i nawet trochę brzucha. Otwarte rany lśnią, różne odcienie czerni wyróżniają poszczególne organy. Jelita wyślizgują się jak uciekające węgorze.

Nawet w dawnych czasach, po najbliższej orgii, nie mieli w zwyczaju zostawiać ciał w takim stanie. Ale jednemu Peter nie może zaprzeczyć: nie jest aż tak zbulwersowany, jak być powinien. Wie, że jak tylko Clara zaczęła, nie miała już szans, by się opanować, i wie, że to oni są odpowiedzialni za to, co się stało, gdyż tak długo tłumili jej prawdziwą naturę. Widok krwi fascynuje też jego, wywołuje hipnotyczny efekt, tak jak dawniej.

Krew, słodka krew...

Opanowuje się i próbuje sobie przypomnieć, co powinien zrobić. Musi, zgodnie z zaleceniem Helen, zanieść ciało do samochodu. Tak, to właśnie musi zrobić. Kuca, chwyta chłopca za plecy i nogi i próbuje podnieść go z ziemi. Nic z tego. Jest już za słaby. Chłopiec jest zbudowany jak mężczyzna. I to duży mężczyzna, o posturze silnego rugbysty.

To robota dla co najmniej dwóch osób, myśli i zerka na Helen, która owija Clarę kocem i mocno ją przytula. Ręce dziewczyny wiszą bezwładnie wzdłuż ciała.

Nie, sam sobie poradzi. Po prostu będzie musiał go pociągnąć, a potem usunąć ślady. Zapowiadali deszcz. Jeżeli będzie padało wystarczająco mocno, to ślady znikną. A co z DNA? W latach osiemdziesiątych nigdy nie musieli się tym martwić. Will wiedziałby, co z tym fantem zrobić. Dlaczego Helen zawsze tak dziwnie na niego reaguje? O co jej chodzi?

Peter chwyta zwłoki chłopca za kostki i zaczyna wlec po ziemi. Przychodzi mu to z trudem, bardzo powoli.

Zatrzymuje się, żeby złapać oddech, i ogląda swoje zakrwawione dłonie. Przysięgł Helen, że nigdy nie będzie rozważał tego, o czym myśli w tej chwili. Krew lśni, mieni się od czerni do purpury. W oddali za żywo płótem migają światła samochodu. Pojazd sunie powoli, jak gdyby kierowca na coś polował.

- Peter! - krzyczy Helen - Ktoś jedzie!

Peter słyszy, jak Helen prowadzi Clarę do samochodu, a potem krzyczy do niego:

- Peter! Zostaw ciało!

Zwłoki chłopca są teraz bliżej drogi i będą doskonale widoczne w światłach przeciwmgielnych przejeżdżającego samochodu. Peter rozpaczliwie szarpie ciało, wkładając w to całą siłę i ignorując rozdzierający ból w krzyżu. Nie ma innego wyjścia. To teraz kwestia sekund, nie minut.

- Nie - mówi.

Jeszcze raz spogląda na krew na dłoniach, kiedy Helen do niego podchodzi.

- Zabierz Clarę do domu. Ja się tym zajmę. Dam sobie radę.

- Nie, Peter...

- Jedź do domu. Jedź. Na miłość boską, Helen, po prostu jedź!

Nawet nie przytakuje. Wsiada do samochodu i rusza.

Peter patrzy na zbliżające się światła przeciwmgielne i oblizuje sobie dłonie, żeby pierwszy raz od siedemnastu lat znowu poczuć ten smak. To wystarcza. Jego ciało napętnia się siłą, cały ból znika. Peter czuje szybką, płynną transformację zębów i kości, zamienia się w tego, kim jest naprawdę. To niesamowite wyzwolenie, jak gdyby zrzucić z siebie po latach niewygodny strój.

Samochód nadal się zbliża.

Peter sięga do rozszarpanego gardła chłopca, oblizuje krew o intensywnym, wykwintnym smaku. Potem podnosi ciało, nie zauważając prawie jego ciężaru, i wznosi się nad mroczne pola.

Szybciej i szybciej, i szybciej.

Próbuje się tym nie delektować, chce być skoncentrowany na tym, co musi zrobić. Szybuje, sterując lotem za pomocą myśli.

To efekt smaku krwi. Likwidacja dysonansu między myślą a działaniem. Myśleć znaczy robić. Tęsknota za tym, czego się nie przeżyło, znika, kiedy ciało sunie w powietrzu, kiedy patrzy się z góry na nudne wsie i miasteczka - zmienione teraz w ponętne konstelacje światła - w drodze nad Morze Północne.

Już tam jest i daje się ponieść emocjom.

Ekscytujący dreszcz: poczucie, że nareszcie się żyje, i to w tej chwili, bez względu na konsekwencje, bez względu na przeszłość i przyszłość. Świadomość rejestruje tylko pęd powietrza i krew na języku.

Przeleciał kilka kilometrów w głąb morza i po upewnieniu się, że nie ma pod nim żadnej łodzi, wypuszcza zwłoki. Krąży nad okolicą, przyglądając się, jak spadają do wody. Znowu oblizuje dłoń. Mocno ssie palce i zamyka oczy, delektując się smakiem.

To jest radość!

To jest życie!

Przez chwilę, w powietrzu, przychodzi mu do głowy, żeby iść za ciosem. Mógłby polecieć do Norwegii. W Bergen była swego czasu spora społeczność wampirów, może jeszcze jest. Albo mógłby polecieć gdzieś, gdzie przymyka się oko na pewne sprawy. Może do Holandii. Gdzieś, gdzie nie ma tajnych oddziałów z kuszami. Mógłby uciec, żyć samotnie i zaspokajać wszelkie pragnienia. Być wolnym, żyć na własną rękę. Czy kiedyś nie był to jedyny sposób na życie?

Zamyka oczy i widzi twarz Clary, kiedy stała przy drodze. Była tak zrozpaczona i bezradna, spragniona prawdy, której nigdy od ich nie usłyszała. Albo przynajmniej to właśnie chciał na jej twarzy zobaczyć.

Nie.

Nawet po konsumpcji krwi jest innym człowiekiem niż ten, którego zostawił w otchłani, kiedy miał dwadzieścia lat. Nie był swoim bratem. Wątpi, czy kiedykolwiek mógłby być.

Nie teraz.

Zataczając kręgi w chłodnym powietrzu, podziwia ocean, ogromną płachtę koloru stali z połamanym odbiciem Księżyca.

Nie, jestem dobrym człowiekiem, mówi sobie, zabierając siebie i swoje nieczyste sumienie z powrotem do domu.

Helen zerka co jakiś czas zza kierownicy na córkę, siedzącą bezwładnie obok.

Zawsze się bała, że w końcu przydarzy się coś takiego. A teraz, kiedy to faktycznie się stało, Helen ma poczucie, że nie dzieje się naprawdę.

- To nie jest twoja wina - mówi. W lusterku nadal widzi światła przeciwmgielne tamtego samochodu. - Widzisz, Claro... Ta przypadłość. Wszyscy ją mamy, ale przez lata... była stłumiona. Przez całe twoje życie, całe życie Rowana. Twój ojciec i ja, tata i ja, nie chcieliśmy, żebyście się dowiedzieli. Myśleliśmy, że jeżeli nie będziecie wiedzieć, to... Myśleliśmy, że wychowanie zatriumfuje nad naturą...

Mijają pole, na którym ludzie nadal tańczą wokół dopalającego się ogniska. Helen wie, że ma obowiązek mówić, wyjaśniać, zasypywać córkę słowami. Rozproszyc ciszę. Osłodzić prawdę. Ale coś się w niej załamuje.

- To coś... jest silne... Tak silne jak rekin. Który zawsze gdzieś tam jest, nawet kiedy morze jest spokojne. Gdzieś tam jest. Tylko pod powierzchnią. Gotów, żeby...

Światła przeciwmgielne w lusterku przestają się ruszać i gasną. Świadomość, że nikt już ich nie śledzi, przynosi Helen nieznaczną ulgę.

- Ale chodzi o to - mówi dalej, odzyskując panowanie nad głosem - że to nie szkodzi. Nie szkodzi, bo my też jesteśmy silni, słonko, i jakoś sobie z tym poradzimy i będzie tak, jak było dawniej, obiecuję. To...

Helen widzi zasychającą na twarzy Clary krew, rozmazaną wokół ust, nosa i brody.

Jak kamuflaż.

Ile krwi wypięła?

Kiedy Helen się nad tym zastanawia, trawi ją ból. Skonstruowali coś, zaprojektowali to misternie niczym katedrę, a potem to runęło, miażdżąc wszystko, co jest jej drogie.

- Czym ja jestem? - pyta Clara.

Helen już nie może. Nie ma pojęcia, co ma odpowiedzieć i wyciera płynące z oczu łzy. W końcu znajduje słowa.

- Jesteś tym, kim zawsze byłaś. Jesteś sobą. Clarą. I...

Przez głowę przelatuje jej przypadkowe wspomnienie. Głaszcze roczną córkę po kolejnym niespokojnym śnie. Śpiewa *Row, row, row your boat* sto razy, żeby ją uspokoić.

Chciałaby, żeby ten moment wrócił i żeby miała dla niej odpowiednią kołysankę.

- Przepraszam, kochanie - mówi, a ciemne drzewa śmigają za oknem - ale wszystko się ułoży. Wszystko się ułoży. Obiecuję. Wszystko się ułoży.

NAZYWAM SIĘ WILL RADLEY

Na parkingu przy supermarkecie w Manchesterze jakaś kobieta patrzy bratu Petera w oczy z niewymowną tęsknotą. Nie ma pojęcia, co ją naszło. Bóg raczy wiedzieć która godzina, a ona jest z nim na parkingu, z tym niesamowitym, hipnotyzującym, fascynującym mężczyzną. Swoim ostatnim klientem, który podszedł do kasy tylko z nicią dentystyczną i chusteczkami odświeżającymi w koszyku.

- Witaj, Julie - powiedział wtedy, zerknąwszy na jej plakietkę z imieniem.

Na pierwszy rzut oka wyglądał fatalnie, jak zapuszczony muzyk z przebrzmiałej kapeli, który ciągle myśli, że sfatygowany płaszcz jest stylowy. I był od niej dużo starszy, choć nie udało jej się oszacować, ile może mieć lat.

A jednak, nawet po tym pierwszym wrażeniu poczuła, jak coś się w niej budzi. Półśpiączka, w którą świadomie zapadła na początku zmiany - podczas której wbijała ceny i wrywała paragony - nagle ją opuściła i Julie poczuła się dziwnie ożywiona.

Wszystkie te romantyczne truizmy: przyspieszone tętno, szum uderzającej do głowy krwi, nagle ciepło w żołądku.

Poflirtowali chwilę, ale teraz, tu na parkingu, niewiele z tego pamięta. O jej piercingu na języku? Tak. Spodobał mu się, choć uważał, że purpurowe pasemka na ciemnych, farbowanych na czarno włosach to kiepski pomysł, zwłaszcza w kontekście piercingu i jasnego makijażu.

- Gotyk lepiej wychodzi, jak się nie przesadza.

Nigdy nie pozwoliłaby się tak strofować Trevorowi, swojemu chłopakowi, a mimo to bez słowa przełknęła komentarz nieznajomego. Zgodziła się nawet spotkać z nim za dziesięć minut, na ławce na dworze, mimo ryzyka, że zauważą ich wszystkie pracujące z nią plotkary, kiedy będą zbierać się do domu.

Rozmawiali. Siedzieli, kiedy odjeżdżały samochody, jeden za drugim. To, co zdawało się trwać kilka minut, musiało zająć dużo ponad godzinę. A teraz, bez ostrzeżenia, wstaje i pokazuje gestem, żeby zrobiła to samo, i ruszają bez celu po asfalcie. Teraz opiera się o zdezelowaną furgonetkę Volkswagena, jedyny pojazd na całym parkingu.

Powinna być z Trevorem. Będzie się zastanawiał, gdzie jest. A może nie będzie. Może po prostu gra w World of Warcraft i wcale o niej nie myśli. Ale tak czy inaczej, to bez znaczenia. Musi dalej słuchać jego głosu. Tego głębokiego, pewnego siebie, diabelskiego głosu.

- Czyli ci się podobam? - pyta go.

- Mam na coś chrapkę, jeżeli to masz na myśli.

- To może zaprosz mnie na kolację, skoro tak zgłodniałeś. Mężczyzna uśmiecha się bezwstydnie.

- Myślałem, że moglibyśmy pójść do mnie.

Kiedy jego ciemne oczy wpatrują się w nią, Julie zapomina o zimnie, zapomina o Trevorze, zapomina o wszystkim, o czym powinno się pamiętać podczas rozmów z nieznanymi na parkingu.

- Zgoda. Gdzie mieszkasz?

- Za tobą - odpowiada.

Śmieje się z tego i nie przestaje się śmiać.

- Ja-aasne - mówi i klepie bok furgonetki. Nie jest przyzwyczajona do tylu przygód po pracy.

- Ja-aasne - powtarza mężczyzna jak echo.

Choć ma ochotę go pocałować, walczy z pokusą. Próbuje zamknąć oczy i przypomnieć sobie twarz Trevora, ale Trevora tu nie ma.

- Chyba powinnam ci powiedzieć, że mam chłopaka. Wiadomość ta zdaje się cieszyć mężczyznę.

- Powiniennem był zaprosić go na kolację. - Wyciąga do niej dłoń, a ona ją ściska.

Dzwoni jego komórka. Julie rozpoznaje melodię dzwonka: *Sympathy for the Devil*.

Mężczyzna nie odbiera. Zamiast tego prowadzi ją na drugą stronę furgonetki i odsuwa drzwiczki. W środku jest sterta ubrań, zniszczone książki i stare kasety. Julie widzi puste i pełne butelki czerwonego wina, które leżą obok materaca bez prześcieradła.

Spogląda na mężczyznę i uświadamia sobie, że w życiu nie spotkała nikogo równie atrakcyjnego.

Zachęca ją gestem, żeby weszła.

- Witaj w twierdzy.

- Kim jesteś? - pyta go.

- Nazywam się Will Radley, jeżeli o to pytasz.

Nie jest pewna, czy o to pyta, ale przytakuje, potem wchodzi na kolanach do furgonetki.

Will zastanawia się, czy kobieta jest warta zachodu. Problem w tym, że w pewnej chwili dociera się do punktu, w którym nawet przyjemność, łatwe zdobywanie i gromadzenie pożądanых dóbr trąci rutyną. A kłopot z rutyną zwykle jest taki, że jej konsekwencją jest nuda - problem całej reszty: bezkrwawych i abstynentów.

Jego gość patrzy na butelkę. Ta dziewczyna, ta „Julie”, którą z taką łatwością tu zwabił, nie będzie smakować nawet w połowie tak dobrze jak kobieta, którą nadal popija - Isobel Child, druga pod względem smaku wampirzyca, jaką znał. Ale tej nocy nie może zaprzętać sobie głowy Isobel ani żadnym z trzęsących portkami przed policją krwiopijców, którzy chcą mu mówić, jak powinien żyć.

- To czym się zajmujesz? - pyta go Julie.

- Jestem profesorem - wyjaśnia. - A w każdym razie byłem. Nikt nie chce, żebym dalej profesorzy!

Julie zapala papierosa i mocno się zaciąga, nadal zaintrygowana butelką.

- Co tam pijesz?

- Wampirzą krew.

Julie pokłada się ze śmiechu. Odchyła głowę, żeby się wyśmiać, i Will ma dobry widok na jej szyję. Błada cera, jeszcze bledszy makijaż. To go kręci. Niedaleko gardła ma mały płaski pieprzyk. Turkusowy ślad żyły pod brodą. Wciąga przez nos powietrze i czuje jej woń, zapach zniszczonego nikotyną i złym odżywianiem Rh minus.

- Wampirza krew! - Jej głowa wraca do pionu. - Dobrze!

- Mógłbym to nazwać syropem albo nektarem, albo życiodajnym sokiem, jeżeli wolisz. Ale wiesz co? Z zasady nie przepadam za eufemizmami.

- Więc - mówi Julie, nadal roześmiana - dlaczego pijesz wampirzą krew?

- To wzmacnia moje zdolności. To się jej podoba. Teatrzyk.

- No to proszę. Zaprezentuj na mnie swoje zdolności, panie Drakula.

Przestaje pić, zatyka butelkę korkiem, stawia ją na podłodze.

- Wolę, jak się do mnie mówi per graf Orlok, ale Drakula też może być.

Julie spogląda nieśmiało.

- To co, ugryziesz mnie?

Will się waha.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy z życzeniami, Julie. Julie zbliża się, klęka nad nim, jej usta wytyczają pocałunkami ścieżkę od jego czoła do ust.

Will odsuwa się, wciska głowę w jej szyję i zaciąga się tym, czego za chwilę skosztuje, przez cały czas starając się wyprzeć zapach jej tanich perfum.

- Zrób to - mówi do niego, kompletnie nieświadoma, że to jej ostatnie życzenie. - Ugryź mnie.

Uporawszy się z Julie, Will spogląda na ciało w zakrwawionym stroju ekspedientki i czuje pustkę. Jak artysta lustrujący jedno ze swoich słabszych dzieł.

Sprawdza telefon i odsłuchuje pierwszą i jedyną wiadomość na ' poczcie głosowej. To głos brata.

To Peter, który prosi o pomoc. Peter!

Mały Petey!

Potrzebują jego pomocy, ponieważ, z tego, co wywnioskował, Clara była niegrzeczna.

Clara to córka, przypomina sobie, siostra Rowana.

Ale wtedy wiadomość się urywa. Słysząc tylko szum. I jest tak jak zawsze, on w furgonetce ze zwłokami jakiejś dziewczyny i butelkami krwi oraz małym pudełkiem na buty pełnym wspomnień.

Odyskuje numer z rejestru połączeń i oddzwania, lecz bezskutecznie. Peter wyłączył telefon.

Robi się coraz ciekawiej.

Przechodzi na czworakach nad Julie, nawet nie ma ochoty zamoczyć palca w jej szyi. Pudełko leży między siedzeniem kierowcy a jego najbardziej niezwykłą butelką krwi, którą trzyma zawiniętą w starym śpiworze.

- Petey, Petey, Petey - powtarza, ściągnając gumkę recepturkę z pudełka nie po to, by wyjąć dobrze mu znane listy i zdjęcia, tylko by przeczytać numer napisany na spodzie pokrywki. Will przepisał go niegdyś z e-maila od brata na rachunek. Siedział wtedy w kawiarni internetowej we Lwowie, gdzie spędził ostatnie święta wraz z członkami ukraińskiej komórki Stowarzyszenia Sheridan. Było to podczas jego powrotu do domu po serii imprez na Syberii. Później przepisał ten numer z rachunku na spód pokrywki.

To jedyne numer telefonu stacjonarnego, jaki kiedykolwiek zapisał.

Dzwoni. I czeka.

NIESKOŃCZONA SAMOTNOŚĆ DRZEW

Rowan schodzi na parter i widzi, że nie dość, że w salonie nikogo nie ma, to jeszcze rodzice nie sprzątnęli naczyń. Nawet ciasto z owocami zostało.

Na widok gęstego, ciemnoczerwonego soku wypływającego ze środka ciasta Rowan robi się głodny i nakłada sobie porcję. Potem idzie do drugiego pokoju i je przed telewizorem. Ogląda „Newsnight Review”, swój ulubiony program. Jest coś uspokajającego w intelektualistach, którzy siedzą i kłócą się o spektakle, książki i wystawy Dziś, kiedy omawiają nową sadomasochistyczną wersję Poskromienia złościcy, Rowan siedzi i je ciasto. Po chwili zdaje sobie sprawę, że nadal jest głodny, jak zawsze. Ale nie wstaje po coś do jedzenia, trochę martwi się o rodziców. Clara pewnie zadzwoniła, żeby po nią przyjechali. Ale dlaczego nie uprzedzili go, że wychodzą?

Sławni intelektualiści zaczynają omawiać książkę zatytułowaną *Nieskończona samotność drzew* Alistara Hobarta, nagradzanego autora powieści *Zaćwierkał ostatni wróbel*.

Rowan ma skryte marzenie. Chce napisać powieść. Ma różne pomysły, ale nie potrafi przelać ich na papier.

Kłopot w tym, że wszystkie jego pomysły są dość ponure. Zawsze dotyczą samobójstwa, apokalipsy albo - coraz częściej - różnych odmian kanibalizmu. Akcja zazwyczaj dzieje się przed dwustu laty, choć ma jeden pomysł, który rozgrywa się w przyszłości. To najbardziej optymistyczny pomysł - opowiada o niechybnym końcu świata. W stronę Ziemi leci kometa i po tym, jak zawodzą różne międzynarodowe projekty mające ją zatrzymać, ludzie godzą się z faktem, że za mniej więcej sto dni zginą. Jediną szansą na przeżycie jest wzięcie udziału w wielkiej światowej loterii, w której pięciuset szczęściarzy wygra bilet na stację kosmiczną, gdzie stworzą własną samowystarczalną społeczność. W wizji Rowana stacja ma postać cieplarni, która porusza się po orbicie Wenus. I wtedy pewien chłopiec, chudy siedemnastolatek z alergią skórą, wygrywa bilet. Ostatecznie oddaje swoje miejsce, żeby spędzić ostatnie siedem dni na Ziemi z dziewczyną, którą kocha. Chłopiec będzie się nazywał Ewan. Dziewczyna - Eva.

Nie napisał jeszcze ani słowa. W głębi duszy wie, że nie zostanie pisarzem. Będzie sprzedawał przestrzeń reklamową albo, jeżeli mu się poszczęści, dostanie pracę w galerii. Może zostanie copy writerem albo coś w tym stylu. Choć nawet to jest wysoce wątpliwe, biorąc pod uwagę, jak mizernie idą mu rozmowy o pracę Ostatnia na przykład - chodziło o serwowanie potraw z półmisków w hotelu Willows w Thirsk na przyjęciach weselnych w sobotnie popołudnia - była kompletną katastrofą. Z nerwów dostał zadyszki i prawie zemdłał. Choć jako jedyny starał się o pracę, pani Hodge-Simmons bardzo niechętnie go przyjęła, a jej obawy potwierdziły się, kiedy Rowan zasnął

podczas obsługi głównego stołu i niechcący wylał sos do pieczenia na spódnicę matki panny młodej.

Drapie się w rękę i żałuje, że nie jest Alistairem Hobartem - Eve z pewnością zakochałaby się w nim, gdyby debatowano na jego temat w telewizji publicznej. W tym momencie, kiedy Kirsty Wark zamyka dyskusję, dzwoni telefon.

Jedna słuchawka leży na stole obok kanapy. Rowan odbiera.

- Halo? - Słyszy czyjś oddech po drugiej stronie. - Halo? Kto mówi?
Halo?

Rozmówca - kimkolwiek był - postanowił się nie odzywać.

- Halo? - Słyszy jakby klikanie, jakby niezadowolone cmoknięcie, potem westchnienie. - Halo?

I już tylko sygnał, który buczy złowieszczo. Wtedy słyszy samochód parkujący na podjeździe.

TLENEK CYNKU I WODA WAPIENNA

Eve widzi mężczyznę, który idzie do nich przez pole. Dopiero kiedy woła ją po imieniu, orientuje się, że to jej ojciec. Dziewczyna chce się zapaść pod ziemię ze wstydu.

Toby też go zauważył.

- Kto to jest? Czy to...

- Mój tata.

- Co on robi?

- Nie wiem - odpowiada Eve, choć doskonale wie. Ojciec robi z niej kalekę towarzyską. Eve wstaje, próbując zmniejszyć złe wrażenie.

Dziewczyna, uśmiechając się, prosi Toby'ego o wyrozumiałość. - Przepraszam - mówi, idąc tyłem przez trawę. - Muszę już iść.

Jared spogląda na jej bluzkę i odkryty fragment skóry. Skóry, którą kiedyś nacierał mieszaniną tlenku cynku i wody wapiennej, kiedy Eve wpadła na rodzinnym wyjeździe w pokrzywy.

Powietrze w samochodzie przesiąknięte jest wonią perfum i alkoholu Jared wie, że większość rodziców zaakceptowałaby to jako zwykły przejaw nastoletnich spraw. Większość rodziców nie wie jednak tego, z czego on doskonale zdaje sobie sprawę - że granicę oddzielającą mit od rzeczywistości wyznaczyli ludzie, którym nie można ufać.

- Czuć od ciebie alkoholem - strofuje ją nieco zbyt agresywnym tonem.

- Tato, mam siedemnaście lat. Jest piątek wieczorem. Mam chyba prawo do odrobiny swobody.

Jared próbuje się opanować. Chce, żeby pomyślała o przeszłości. Jeżeli uda mu się ją do tego skłonić, wspomnienia ją ochronią.

- Eve, pamiętasz, jak... - mówi.

- To nie do wiary, jak mogłeś to zrobić - przerywa mu. - Takie upokorzenie. Jak w... średniowieczu. Traktujesz mnie jak Roszpunkę.

- Eve, powiedziałaś o jedenastej.

Eve spogląda na zegarek.

- Mój Boże, no i spóźniłam się pół godziny. - Uzmysławia sobie, że musiała wyjść z imprezy dziesięć po jedenastej.

- Kiedy cię zobaczyłem z tym chłopakiem, jak zachowujesz się jak jakaś... - Jared kręci głową.

Eve patrzy na migające żywopłoty. Żałuje, że nie mogła urodzić się pod inną postacią, małego drozda albo szpaka, albo czegoś, co mogłoby po prostu odlecieć i nie musiałoby myśleć o tym wszystkim, co chodzi jej teraz po głowie.

- Ten chłopak to Toby Felt - wyjaśnia. - Jego ojcem jest Mark Felt. Ma z nim porozmawiać o czynszu. Powiedziałam mu, że znalazłeś już pracę i w

przyszłym miesiącu zapłacisz podwójnie, a on przekaże to ojcu i nie będzie problemu.

Jared nie może tego już dłużej znosić, to ponad jego siły.

- Aha, i co w zamian dostał?

- Słucham?

- Nie pozwolę, żeby moja córka prostytuowała się na jakimś polu w piątkową noc, żeby przypadobać się właścicielowi.

Eve puszcza nerwy.

- Nie prostytuowałam się! Boże! Miałam nic nie mówić?

- Zgadza się, miałaś nic nie mówić.

- I co potem? Bez mieszkania, kolejna przeprowadzka, i znowu ten cały bajzel? Równie dobrze możemy od razu pojechać do jakiegoś zapyziałego moteliku. Albo poszukać przytulnej wiaty, żeby się przespać. Bo jak się nie ockniesz, tato, i nie przestaniesz zaprzętać sobie głowy tym, czym tam ją sobie ciągle zaprzętasz, to faktycznie będę musiała zacząć się prostytuować, żebyśmy mieli na jedzenie.

Eve od razu żałuje, że to powiedziała. Ojciec prawie się popłakał. Przez chwilę dziewczyna nie widzi w nim człowieka, który upokorzył ją przed znajomymi. Widzi człowieka, który przeszedł przez to samo, co ona, więc nic już więcej nie mówi. Patrzy na jego dłonie na kierownicy i widzi nieskończony smutek obrączki, której ojciec nigdy nie zdejmuje.

DZIESIĘĆ MINUT PO PÓLNOCY

Rowan opiera się o suszarkę. Helen zajmuje się Clarą w łazience.

- Jestem kompletnie skołowany - mówi przez drzwi.

To mało powiedziane. Niedawno matka wróciła do domu z jego siostrą, która cała była umazana czymś, co wyglądało jak krew. I to faktycznie cała, jak dziecko tuż po urodzeniu. Ledwo dało się ją rozpoznać. Miała pusty wyraz twarzy, była bezwolna, prawie jak zahipnotyzowana.

- Proszę cię, Rowan - mówi matka, włączając prysznic - porozmawiamy o tym za chwilę, gdy tata wróci do domu.

- Gdzie jest?

Matka puszcza pytanie mimo uszu i chłopiec słyszy, jak mówi do jego zakrwawionej siostry:

- Ciągle zimna. Dobrze, już leci ciepła. Możesz wejść.

Podejmuje kolejną próbę.

- Gdzie jest tata?

- Wróci niedługo. Musiał się... kimś zająć.

- Kimś zająć? Co my jesteśmy, cosa nostra?

- Proszę cię, Rowan. Za chwilę.

Matka jest poirytowana, ale on nie może powstrzymać się od zadawania pytań.

- O co chodzi z tą krwią? - pyta. - Co jej się stało?... Clara, co się dzieje? Mamo, dlaczego ona nic nie mówi? Czy to ma jakiś związek z głuchymi telefonami?

Ostatnie pytanie zwraca uwagę matki, która otwiera drzwi do łazienki i patrzy Rowanowi prosto w oczy.

- Telefony? - powtarza. Rowan przytakuje.

- Ktoś dzwonił. Ktoś zadzwonił i nic nie powiedział. Tuż przed tym, jak wróciłaś. - Przygląda się, jak na jej twarzy rośnie niepokój.

- Nie - mówi matka. - Boże. Nie.

- Mamo, co się dzieje?

Słyszy, jak siostra wchodzi pod prysznic.

- Rozpal w kominku - każe matka.

Rowan spogląda na zegarek. Jest dziesięć minut po północy, ale ton matki jest stanowczy.

- Proszę cię, przynieś węgiel i napal w kominku.

Helen czeka, aż jej syn wykona polecenie i żałuje, że szopa z węglem nie stoi dalej od domu, dzięki czemu miałyby więcej czasu, by coś wymyślić. Idzie do aparatu i sprawdza numer. Od razu wie, że to on. Nie zna numeru, który podaje jej bezduszny mechaniczny głos, ale wie, że jak oddzwoni, usłyszy głos Willa.

Kiedy wybiera numer, ze zdenerwowania dudni jej w głowie.

Ktoś odbiera.

- Will? - mówi Helen.

I oto on - jego głos brzmi prawdziwie, jak zawsze, zarazem młodo i wiecznie.

- Śniło mi się pięć tysięcy razy...

W pewnym sensie to dla niej najcięższe przeżycie tego wieczoru. Tak długo starała się zapomnieć o jego istnieniu, o rozmowach i nim, o tym, jak jego głęboki głos zaspokaja jej ukryte pragnienie i działa jak balsam na jej duszę.

- Nie przyjeżdżaj - mówi mu stanowczym szeptem. - Will, to ważne. Nie przyjeżdżaj.

Rowan na pewno skończył już napełniać wiadro i wraca do domu.

- Zazwyczaj to wygląda nieco inaczej - mówi Will. - W tym moim śnie.

Helen wie, że musi mu to wytłumaczyć, musi go powstrzymać.

- Nie potrzebujemy cię. Wszystko jest już załatwione. Will śmieje się, w słuchawce słychać trzaski.

Zaraz zemdleje. Patrzy na jeden z obrazów na korytarzu. Akwarelę przedstawiającą jabłoń. Obraz się jej rozmywa i Helen usiłuje przywrócić ostrość widzenia.

- U mnie wszystko wybornie, Hel. A u ciebie? - Pauza. - Myślisz czasami o Paryżu?

- Będzie lepiej, jeżeli nie przyjedziesz.

Odgłos prysznic cichnie. Clara pewnie właśnie wychodzi. Słychać też inny hałas. Tylne drzwi - to Rowan. A mimo to słyszy tylko ten diabelski głos.

- Skoro już o tym mowa, ja też za tobą tęsknię. Siedemnaście lat to wieki samotności.

Helen z całej siły zaciska powieki. Will wie, co mógłby zrobić. Wie, że mógłby delikatnie pociągnąć za wystającą nitkę i za jednym zamachem rozpruć wszystko.

- Proszę - mówi Helen. Will nie odpowiada.

Helen otwiera oczy i widzi Rowana z wiadrem pełnym węgla. Patrzy na telefon i na nią, na wypisaną na jej twarzy pobożną prośbę, podszytą lękiem.

- To on, prawda? - mówi Will.

- Muszę kończyć - odpowiada Helen i naciska czerwony klawisz.

Zdezorientowany Rowan przygląda jej się podejrzliwie. Helen czuje się tak, jakby stała przed nim naga.

- Mógłbyś rozpalić?

Nie jest w stanie nic więcej z siebie wydusić. Ale syn ciągle stoi, przez dobrych kilka sekund nie rusza się i nie odzywa.

- Proszę cię - mówi Helen.

Rowan przytakuje, jakby coś zrozumiał i odwraca się.

SWOISTY GŁÓD

Noc mija bardzo szybko. Peter wraca do domu.

Wrzuca ubranie swoje i Clary do trzaskającego ognia. Mówią Rowanowi prawdę. Albo połowiczną prawdę, lecz nawet w to nie wierzy.

- Zabiła Harpera? Zabiłaś Stuarta Harpera? Zębami?

- Tak - mówi Peter. - Zabiła go.

- Wiem, że to wszystko wydaje się dziwne - dodaje Helen. Rowan wydaje jęk niedowierzania.

- Mamo, „dziwne” to mało powiedziane.

- Wiem. Możesz czuć się tym przytłoczony.

Peterowi zostały do spalenia tylko spodnie. Zwija je w kłębek i wrzuca do ognia, potem przyciska materiał pogrzebaczem, żeby upewnić się, że nic nie zostanie. To trochę jakby przyglądać się, jak znika całe życie.

Wtedy Clara w końcu się odzywa, jej głos jest cichy, ale opanowany.

- Co mi się stało?

Rodzice odwracają się w jej stronę. Clara siedzi w zielonym szlafroku, który jej kupili, kiedy miała dwanaście albo trzynaście lat, a który wciąż jest na nią dobry. Tej nocy dziewczyna wygląda inaczej. Coś się zmieniło. Nie jest tak przestraszona, jak powinna być w tej sytuacji. Zsuwa z nosa okulary, potem z powrotem je nakłada, jakby sprawdzała swój wzrok.

- Sprowokował cię - mówi do niej Helen, masując jej kolano uspokajającym ruchem. - Ten chłopiec cię sprowokował. I to wywołało to coś. Dlatego było ci tak niedobrze. Nie jadłaś mięsa. Widzisz, ta choroba, ta przypadłość, masz ją po nas. Jest dziedziczna i wywołuje swoisty głód, który trzeba uważnie kontrolować.

Te słowa zwracają uwagę Petera.

Choroba!

Przypadłość!

Swoisty głód!

Clara spogląda na matkę zdezorientowana.

- Nie rozumiem.

- To taki dziwny biologiczny...

Dość już tego, postanawia Peter. Przerzywa żonie i patrzy córce w oczy.

- Clara, jesteśmy wampirami.

- Peter - przenikliwy szept Helen już go nie zatrzyma i teraz powtarza opanowanym głosem to, co powiedział.

- Wampiry. Oto czym jesteśmy.

Patrzy na dzieci i widzi, że Clara pojmuje to lepiej niż Rowan. Peter wie, że po tym, co zrobiła, może znaleźć ukojenie w prawdzie. Ale Rowan czuje się zdruzgotany. Jest oniemiały.

- W sensie... przenośnym? - pyta, kurczowo trzymając się dotychczasowej wersji rzeczywistości.

Peter kręci głową.

Rowan też kręci głową, ale z niedowierzaniem. Wycofuje się z korytarza. Nikt nic nie mówi, kiedy idzie na górę.

Peter spogląda na Helen, spodziewając się, że wybuchnie gniewem, ale ta się nie złości. Jest smutna, zmartwiona, choć może też trochę jej ulżyło.

- Lepiej idź z nim porozmawiać.

- Tak - mówi Peter. - Już idę.

KRUCYFIKSY, RÓŻAŃCE I WODA ŚWIĘCONA

Rodzice przez siedemnaście lat okłamywali Rowana. Chłopiec uzmysławia sobie teraz, że całe jego życie było jednym wielkim złudzeniem.

- To dlatego nie mogę spać - mówi, siedząc obok ojca na łóżku. - Prawda? To dlatego ciągle jestem głodny. I dlatego muszę się smarować olejkami do opalania.

Ojciec przytakuje.

- Tak, to dlatego.

Rowanowi coś przychodzi do głowy. Choroba skóry, na którą rzekomo cierpi.

- Fotodermatoza!

- Musiałem ci coś powiedzieć - broni się Peter. - Jestem lekarzem.

- Kłamałeś. Każdego dnia kłamałeś.

Rowan dostrzega krew na policzku ojca.

- Rowan, jesteś wrażliwym chłopcem. Nie chcieliśmy cię zranić. Tak naprawdę to nie jest aż tak dziwne, jak się ludziom wydaje. - Wskazuje lustro na ścianie. - Odbijamy się w lustrze.

Odbijają się w lustrze! Jakie to ma znaczenie, jeżeli nie wiadomo, kto właściwie z tego lustra na ciebie patrzy? Rowan nie odzywa się.

Nie chce prowadzić tej rozmowy. I bez tego przetrwanie wydarzeń dzisiejszej nocy zajmie mu wiele czasu, ale ojciec ciągle drażni temat, jakby omawiali pomniejszych choroby weneryczne albo masturbację.

- I opowieści o krucyfikach, różańcach i wodzie święconej to kompletne zabobony. Katolickie bajdy. Choć, oczywiście, to z czosnkiem to prawda.

Rowan myśli o mdłościach, które nachodzą go za każdym razem, kiedy mija włoską restaurację albo czuje w czyimś oddechu czosnek; o tym, jak kiedyś zakrztusił się kupioną w Żarłoku bagietką z humusem.

Naprawdę jest dziwołagiem.

- Chcę umrzeć - mówi.

Ojciec drapie się po brodzie i wzdycha głęboko.

- No cóż, kiedyś umrzesz. Bez krwi, nawet przy tej ilości mięsa, którą zjadamy, nasza sytuacja nie jest najkorzystniejsza. Wiesz, nie mówiliśmy ci tego, bo nie chcieliśmy, żebyś wpadł w depresję.

- Tato, jesteśmy mordercami! Harper! Ona go zabiła. To nie do wiary.

- Wiesz - uspokaja go Peter - można do samego końca żyć tak, jak żyje normalny człowiek.

To jakiś żart.

- Normalny człowiek! Normalny człowiek! - Rowan prawie się śmieje, kiedy słyszy słowa ojca. - Którego wszystko swędzi i który nie może spać, który nawet nie potrafi zrobić dziesięciu pompek.

Coś do niego dociera.

- To dlatego mają mnie w szkole za dziwoląga. Oni to wyczuwają, prawda? Czują, że podświadomie łaknę ich krwi.

Rowan opiera się o ścianę i zamyka oczy, a tata kontynuuje wykład o podstawach wampiryzmu. Wygląda na to, że sporo wielkich ludzi było wampirami. Malarze, poeci, filozofowie. Tata przedstawia mu listę:

Homer.

Owidiusz.

Caravaggio.

Nietzsche.

Właściwie wszyscy romantycy, oprócz Wordswortha. Bram Stoker (antywampiryczną propagandę tworzył w fazie abstynencji). Jimi Hendrix.

- I wampiry nie żyją wiecznie - ciągnie Peter - choć na ścisłej diecie z krwi, przebywając z dala od światła słonecznego mogą żyć bardzo długo. Znamy przypadki wampirów ponaddwustuletnich. A ci najbardziej skrupulatni fingują własną śmierć w młodym wieku, jak na przykład Byron podczas bitwy w Grecji. Potem, mniej więcej co dekadę, przyjmują nową tożsamość.

- Byron? - Chcąc nie chcąc, Rowan czuje się tym pocieszony. Ojciec przytakuje, klepie syna dla otuchy w kolano.

- O ile mi wiadomo, nadal żyje. Widziałem go w latach osiemdziesiątych. Puszczali muzykę z Thomasem de Quinceyem na jakiejś imprezie w swojej jaskini na Ibizie. Nazwali się Don Juan i DJ Opium. Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze w tym siedzą.

Rowan spogląda na ojca, który wydaje mu się bardziej ożywiony niż zwykle. Dostrzega na jego policzku resztkę krwi, której nie udało mu się do końca zetrzeć.

- Ale to nie w porządku. Jesteśmy dziwolągami - mówi.

- Jesteś inteligentnym, mądrym, zdolnym chłopcem. Nie jesteś dziwolągiem. Jesteś kimś, kto bardzo dobrze sobie poradził z czymś, o czym nawet nie wiedział. Widzisz, Rowan, rzecz w tym, że łakniemy krwi. Uczucie po jej zażyciu niezwykle mocno uzależnia. Przejmuje nad tobą panowanie. Czujesz się wtedy bardzo silny, masz wrażenie niewiarygodnej potęgi, wydaje ci się, że jesteś w stanie zrobić wszystko.

Rowan widzi, że ojciec zamyślił się, zahipnotyzowany jakimś wspomnieniem.

- Tato - pyta nerwowo - zabiłeś kiedyś kogoś? Peter jest wyraźnie zakłopotany zadaniem pytaniem.

- Staralem się tego unikać. Staralem się zdobywać krew innymi sposobami. Na przykład w szpitalu. Widzisz, policja nigdy oficjalnie nie uznała naszego istnienia, ale miała specjalne oddziały. Pewnie nadal ma, nie wiem. Wielu naszych znajomych po prostu zniknęło. Zabili ich. Byliśmy ostrożni. Ale ludzka krew jest najlepsza, kiedy jest świeża, a czasami łaknienie jest tak silne, i to uczucie, które po niej mieliśmy... Nazywają ją „energiją”... - Patrzy na Rowana i ma we wzroku resztę wyznania. - Tak nie można żyć - mówi, a z jego

głosu przebija cichy smutek. - Twoja mama miała rację. Ma rację. Lepiej, żebyśmy żyli tak jak teraz. Nawet za cenę wcześniejszej śmierci, nawet jeżeli będziemy musieli się tak fatalnie czuć. Lepiej prowadzić dobre życie. A teraz poczekaj chwilę, chcę ci coś pokazać.

Peter wychodzi z pokoju, wraca za chwilę ze starą książką w miękkiej, szarej minimalistycznej okładce. Wręcza ją Rowanowi, który spogląda na tytuł: *Poradnik abstynenta*.

- Co to jest?

To pomaga. Napisała ją grupa anonimowych abstynentów w latach osiemdziesiątych. Przeczytaj ją. Tam są wszystkie odpowiedzi.

Rowan kartkuje pożółkłe, pozaginane kartki. Prawdziwe wyrazy na prawdziwym papierze sprawiają, że wszystko staje się bardziej rzeczywiste. Czyta kilka zdań.

- „Musimy nauczyć się, że rzeczy, których pragniemy, bardzo często mogą prowadzić do naszej zagłady. Musimy nauczyć się rezygnować z marzeń, aby utrzymać pozory rzeczywistości”.

Leżała ryle lat ukryta w domu. Co jeszcze jest tu ukryte? Peter wzdycha.

- Widzisz, jesteśmy abstynentami. Nikogo nie zabijamy ani nie inicjujemy. Dla reszty świata jesteśmy przeciętnymi ludźmi.

Inicjujemy? To zabrzmiało jak motyw z religii. Coś, na co się człowieka namawiało i od czego się go odwodziło. Rowan chce wiedzieć jeszcze jedno.

- Czyli że zostałeś wampirem po inicjacji? Kiedy tata kręci głową, chłopiec jest rozzarowany.

- Nie, zawsze nim byłem. Radleyowie od pokoleń są wampirami. Od stuleci. Radley to wampirze imię. Znaczy „czerwona łąka” albo coś takiego. I czerwień nie wzięła się w tej nazwie od maków. Ale twoja mama...

- Ktoś ją zainicjował?

Ojciec przytakuje. Rowan widzi, że z jakiegoś powodu posmutniał.

- Sama chciała zostać wampirzycą. To nie stało się wbrew jej woli. Ale teraz chyba nie umie mi tego wybaczyć.

Rowan kładzie się na łóżku i nic nie mówi, wpatruje się w buteleczkę bezużytecznego leku na sen, który od lat brał każdej nocy. Ojciec siada obok niego bez słowa, wsłuchuje się w łagodny szum rur od kaloryfera.

Dziwoląg, myśli sobie Rowan trochę później, kiedy zaczyna czytać podręcznik. Toby ma rację. Dziwoląg. Dziwoląg. Dziwoląg.

Myśli o swojej matce. Postanowiła zostać wampirzycą. To było bez sensu. Z własnej woli stać się potworem.

Potem Peter wstaje i Rowan widzi, jak ojciec dostrzega coś w lustrze. Oblizuje kciuk i wyciera resztkę krwi z policzka, uśmiecha się zakłopotany.

- Tak czy siak, porozmawiamy jeszcze jutro. Musimy być silni. Dla Clary. Nie możemy wzbudzać podejrzeń.

Całe życie je wzbudzamy, myśli Rowan, kiedy ojciec zamyka drzwi.

TROCHĘ JAK CHRISTIAN BALE

Toby Felt jedzie na rowerze, dopijając resztkę wódki.

Śmieciarz!

Co za żalność. Toby przysięga sobie, że gdyby kiedyś miał zostać śmieciarzem, to się zabije. Wskoczy do kontenera jednej z zielonych śmieciarek i da się zmiążyć z resztą odpadów.

Jednak wie, że tak nie skończy. Na świecie są dwa rodzaje ludzi. Silni, jak Christian Bale i on, i słabi, jak tata Eve i Rowan Radley. I zadaniem silnych jest karać słabych. W ten sposób można utrzymać się na szczycie. Jeżeli pozwoli się słabym istnieć, człowiek sam się staje słaby. To jakby stać w Bangkoku z przyszłości *Resident Evil 7* i pozwolić, żeby zombie zjadły cię żywcem. Trzeba zabijać albo oni zabiją ciebie.

Kiedy był młodszy, miewał fantazje, w których Bishopthorpe padała ofiarą inwazji. Niekoniecznie zombie, ale „czegoś”.

Nazistów podróżujących w czasie.

Obcych uciekających ze swojej planety.

Czegoś.

Tak czy inaczej, w tej rzeczywistości rodem z Xboksa wszyscy wyginęli, nawet, koniec końców, jego tata, tylko Toby'emu zawsze udawało się przeżyć, Toby zwycięzca, który wszystkich pozabijał. Jak Batman. Albo Terminator. Albo Christian Bale. (Ludzie mówili, że faktycznie był trochę podobny do Christiana Balea. W każdym razie jego matka tak mówiła. Jego prawdziwa matka. Nie ta durna pizda, z którą teraz musi mieszkać). Strzelał do nich, palił ich żywcem, zabijał w walce wręcz, odbijał granaty rakieta tenisową, cokolwiek. I wie, że on jest z tych silnych, bo udało mu się zdobyć dziewczynę tej klasy, co Eve, podczas gdy dziwoląg Rowan Radley siedzi w domu i czyta poezję.

Podjeżdża do tablicy granicznej miasteczka. Wyciąga butelkę, bierze zamach, jakby szykował się do woleja i rozbija ją o metal.

Niezmiernie go to bawi i teraz przygląda się resztkom butelki w dłoni. Na widok rozbitego szkła przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Za chwilę mija na rowerze Lowfield Close i postanawia zrobić objazd. Przed blokiem stoi zaparkowana ta gówniana corolla, którą tata Eve prowadził tamtej nocy. Rozgląda się, potem zwinnie zsiada z roweru i kładzie go na jezdni. W dłoni trzyma rozbity butelkę.

Przykucnąwszy obok samochodu, wciska ostry kant butelki w oponę. Piłuje nią przez chwilę, żeby przeciąć gumę, ale bezskutecznie. Wtedy wpada mu w oko leżący obok murku kamień, podnosi go, wdrapuje się na siodełko i, ze stopą na pedale, rzuca nim w okno od strony pasażera.

Zamiast wywołać spodziewany dreszcz podniecenia, odgłos rozbijanego szkła otrzeźwia go. Toby ucieka w stronę domu, pedałowując ze wszystkich sił, zanim ktoś wstanie z łóżka i rozsunie zasłony.

SOBOTA

Krew nie zaspokaja łaknienia, tylko je wzmacnia.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 50

„JAKIE U BRZEGÓW SAMOTNYCH ZACHWYTY”

Niewiele rzeczy przewyższa urokiem opustoszałą autostradę o czwartej rano.

Białe linie i podświetlone znaki określają zasady ruchu drogowego, obojętne wobec tego, czy ludzie będą ich przestrzegać, jak głazy Stonehenge względem losu żalonych pradawnych abstynentów, którzy przenosili je po równinie Salisbury.

Rzeczy trwają.

Ludzie umierają.

Można przestrzegać znaków i systemów, których powinno się przestrzegać, albo wyrzec się towarzystwa i żyć w zgodzie z własnym instynktem. Jak to powiedział lord Byron już dwa lata po inicjacji?

*Jaka to rozkosz w niedostępnym borze,
Jakie u brzegów samotnych zachwyty.*

I gdzie indziej, w tej samej pieśni:

*O, gdyby puszcza była nam schroniskiem,
Któraś z rusalek do służby mi daną,
Abym mógł, z ludzi zerwawszy roiskiem
Bez nienawiści k 'tym, kochać wybraną⁵!*

Kochać wybraną. Oto klątwa większości wampirów. Szukają wielu, ale pragną tylko jednej.

Nie, dochodzi do wniosku Will, nikt nie przebije lorda B.

Choć Jim Morrison jest tuż za nim, uznaje Will, wybijając na kierownicy rytm Twentieth Century Fox (choć Will nigdy nie wierzył w teorię, jakoby Jim Morrison był tożsamością Byrona, którą ten przyjął w latach sześćdziesiątych). I Hendrix też nie jest najgorszy. Albo nawet Stonesi, kiedy jeszcze mieli wampira w składzie. Cały ten krwisty, przesiąknięty kultem jednostki rock lat sześćdziesiątych, który ich ojciec zwykł puszczać, kiedy byli dziećmi.

Will słyszy, że silnik zaczyna nieznacznie rzeźić i wskaźnik sygnalizuje, że czas zatankować. Parkuje na całodobowej stacji benzynowej i napełnia bak.

Czasem płaci za paliwo, a czasem nie. Pieniądze nic dla niego nie znaczą. Gdyby chciał, mógłby mieć miliony, ale nie kupi za to niczego, co smakowałoby tak wspaniale jak to, co ma za darmo.

⁵ G. Byron, *Childe Harold*, przeł. Jan Kasprowicz, w: G. Byron, *Wybór dzieł*, t. 1., PIW, Warszawa 1986, s. 623.

Dziś wieczorem ma ochotę pooddychać zanieczyszczonym powietrzem, więc wchodzi na stację z ostatnią dwudziestofuntówką. (Trzy dni temu był na serii szybkich randek w barze Tygrys Tygrys w Manchesterze, gdzie poznał dziewczynę z szyją jak się patrzy. Dziewczyna wyciągnęła z bankomatu dwieście funtów).

Za ladą siedzi chłopak. Czyta „Nuts” i zauważa Willa, dopiero kiedy ten podsuwa w jego stronę dwudziestkę.

- Trójka - mówi.

- Co? - pyta chłopak. Wyciąga z ucha słuchawkę iPoda. Wyostrzony krwią słuch Willa pozwala mu wychwycić szybki, bzyczący hałas muzyki house, której słucha chłopak, niczym dreszcz i tajemniczy puls nocy.

- Dystrybutor numer trzy - powtarza Will.

Chłopak przytakuje i przeżuwa, wbijając do kasy niezbędne polecenia.

- Za mało - mówi chłopak.

Will nic nie robi, tylko na niego patrzy.

- Dwadzieścia funtów siedem pensów.

- Słucham?

Chłopak jest świadomy własnego lęku, ale nie słucha wiadomości, którą ten stara mu się przekazać.

- Nalał pan za dużo.

- O siedem pensów.

- Właśnie.

- Nalałem o całe siedem pensów za dużo?

- No.

Will stuka palcami w twarz królowej na banknocie.

- Obawiam się, że nie mam więcej.

- Przyjmujemy wszystkie karty. Visę, Mastercard, Deltę...

- Nie mam karty. Nie mam żadnej karty.

Chłopak wzrusza ramionami.

- No, w każdym razie wyszło dwadzieścia funtów i siedem pensów. - Zagryza górną wargę, żeby dodać emfazy temu niezaprzeczalnemu faktowi.

Will przygląda się chłopcu. Siedzi w bluzie od dresu z czasopismem, iPodem i nieudanymi eksperymentami owłosienia na twarzy, jakby był czymś nowym, czymś, co sam wykreował. Jednak w jego krwi można by wyczuć smak pradawnych początków, ciężkich i długotrwałych zmagania o przeżycie na przestrzeni setek pokoleń, echa przodków, o których nigdy nie słyszał, ślady wspanialszych i zuchwalszych czasów - odcienie genezy jego bytu.

- Naprawdę tak ci zależy na tych siedmiu pensach? - pyta go Will.

- Menedżerowi zależy. Jak najbardziej. Will wzdycha.

- Wiesz, są poważniejsze problemy.

Chłopiec go intryguje. Niektórzy wyczuwają, wiedzą, kim jesteś i podświadomie tego pragną. Czy to właśnie robi?

Will odchodzi, obserwując swoje szare odbicie na ekranie kamery przemysłowej. Drzwi nie chcą się otworzyć.

- Nie wyjdiesz bez zapłacenia.

Will uśmiecha się autentycznie rozbawiony przejawem małostkowości bezkrwawca.

- Czy na tyle wyceniasz swoje życie? Siedem pensów? Co w ogóle można kupić za siedem pensów?

- Nie wypuszczę cię. Policja już jedzie, stary.

Will myśli o Alison Glenny, szefowej oddziału policji w Manchesterze, która od lat życzy mu śmierci. Owszem, myśli, policja już jedzie. Will wraca do lady.

- Czy coś we mnie wyczułeś? O to chodzi? Widzisz, odnoszę wrażenie, że za tą naszą drobną scysją kryje się coś znacznie większego. Myślę, że jesteś bardzo samotnym chłopcem, wykonującym bardzo samotną pracę. Pracę, w której zaczynasz odczuwać brak różnych rzeczy. Towarzystwa... dotyku...

- Wal się, pedale. Will uśmiecha się.

- Pięknie. Niezmiernie przekonujący heteroseksualizm. Stuprocentowy. Zero wątpliwości. Czego się bardziej zląkłeś? Że cię zabiję? Czy że tego pragniesz?

- Policja już jedzie.

- No cóż, w takim razie może otworzysz kasę.

- Co?

- Powiedziałem: otwieraj kasę.

Chłopak sięga po coś pod ladę, nie odrywając wzroku od Willa. Wyciąga nóż kuchenny.

- Ach, a oto i nóż. Falliczna broń wtargnięcia i penetracji.

- Odpierdol się, okej?

- Problem tkwi w tym, że na kogoś takiego jak ja będzie ci potrzebne coś większego. Coś, co przejdzie na wylot.

Will zamyka oczy i wzywa pradawną moc. Przemienia się błyskawicznie i opanowuje za pomocą hemipnozy umysł chłopaka.

Ten na niego patrzy. Strach zamienia się w słabość, ta w bezwolną usługę.

- Teraz odłóżysz nóż, otworzysz kasę i wręczysz mi te kilka papierowych portretów królowej, które tam składujesz.

Chłopak jest zagubiony. Na twarzy widać walkę, której nie może wygrać. Dłoń mu drży, nóż opada słabo, wysuwając się na ladę.

- Otworzysz kasę.

Otwiera kasę.

- Teraz dasz mi pieniądze.

Kładzie garść nieistotnych dziesiątek i dwudziestek na drugą stronę lady.

Idzie za łatwo. Will pokazuje za siebie.

- Naciśniesz ten mały klawisz i otworzysz drzwi. Chłopak sięga pod ladę i wyłącza blokadę.

- Chcesz, żebym pogłaskał ci dłoń? Chłopiec przytakuje.

- Proszę. - Dłoń opada na ladę. Piegi, pogryzione paznokcie. Will pieści dłoń, odrysowując na skórze kształt ósemki.

- Po tym, jak już zniknę, powiesz policji, że zaszło nieporozumienie. A kiedy szef zapyta cię o pieniądze, powiesz, że nie wiesz, co się z nimi stało, bo nie będziesz wiedział. Choć może zrozumiesz, że zmieniły właściciela na lepszego.

Odchodzi, otwiera pchnięciem drzwi. Siedząc w furgonetce, Will uśmiecha się na widok chłopaka, który wkłada sobie słuchawki z powrotem do uszu, kompletnie nieświadomy tego, co się właśnie stało.

JAJECZNICA

- Nie przyjeżdżaj. Proszę.

Żadna z siedzących w kuchni osób nie słyszy modlitwy Helen, wyszeptanej w stronę jajeczniczy, którą miesza na patelni. Jazgot Radia 4 skutecznie ją zagłusza.

Mieszając, Helen myśli o wszystkich kłamstwach, które powtarzała. Kłamstwach, które zaczęły się, kiedy dzieci jeszcze nosiły pieluszki, kiedy powiedziała znajomym, że przerzuca się na mieszanekę dla niemowląt, bo położną martwiły „problemy z laktacją”. Nie była w stanie przyznać się do tego, że jej dzieci nawet zanim zaczęły ząbkować, ssały i gryzły tak mocno, że krwawiła. Clara była jeszcze gorsza od Rowana i zawstydzona Helen powiedziała swoim znajomym z grona miłośniczek karmienia piersią, że już po trzech tygodniach zaczyna karmić butelką. Wie, że Peter ma rację.

Wie, że Will ma znajomych i zdolności. Jak to się nazywało? Hemipnoza. Panował nad umysłami bezkrwawców. Forma hipnozy, która czerpie moc z krwi. Ale są inne sprawy, o których Peter nie wie. Jej mąż nie zdaje sobie sprawy, z czym igra.

Dociera do niej, że jajka już dawno się usmażyły; zdrapuje je z dna patelni i nakłada wszystkim łyżką na tosty.

Syn patrzy na nią, zdumiony pozorami normalności.

- Jest sobota, więc jemy jajecznicę - wyjaśnia Helen. - Jest sobota.

- Wampirza sielanka.

- Rowan, przestań - ucina Peter, kiedy jajko ląduje na jego toście.

Helen podsuwa Clarze jajka, a ta przytakuje, prowokując pogardliwe westchnienie brata.

- Rozmawiałam z waszym tatą - zaczyna Helen i siada do stołu. - I jeżeli mamy sobie z tym poradzić jak rodzina i przejść przez to bez szwanku, musimy się zachowywać, jakby nic się nie stało. Po zeszłej nocy ludzie zaczną plotkować, zadawać pytania. Policja pewnie też. Choć na razie to nie będzie nawet zaginięcie, nie mówiąc o czymś poważniejszym. Przed upływem dwudziestu czterech godzin...

Domaga się wsparcia od Petera, spoglądając na niego.

- Mama ma rację - potwierdza jej mąż i wszyscy patrzą na Clarę jedzącą jajecznicę.

- Jesz jajka - zauważa Rowan. - Jajka znoszą kury. Kury to żywe stworzenia.

Clara wzrusza ramionami.

- Serio?

- Daj spokój, Clara musi wrócić do normalnego jedzenia - mówi Peter.

Rowan przypomina sobie lekki ton ojca, kiedy ten referował listę sławnych wampirów. A potem Clare, jak w zeszłą sobotę o tej porze usprawiedliwiała swój weganizm.

- Co z opowieścią o „Auschwitz kurczaków”, którą nas uraczyłaś tydzień temu?

- Te są z hodowli w naturalnych warunkach - mówi matka.

Clara wysyła Rowanowi ostre spojrzenie. Jej oczy, bez okularów, lśnią nowym życiem. W rzeczy samej, Rowan musi przyznać, że siostra wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Włosy jej lśnią, cera nabrała kolorów, nawet jej postura się zmieniła. Opuszczoną zazwyczaj potulnie głowę i garb zastąpiły wyprężone plecy baletnicy i głowa, zatknięta swobodnie na szyi, niczym balon napompowany helem. Jakby dziewczyna przestała podlegać grawitacji.

- O co ci chodzi? - pyta go.

Rowan spogląda na talerz. Nie będzie w stanie nic zjeść.

Czy tak to właśnie wygląda? Poczulaś krew i wszystkie zasady lecą do śmieci razem z okularami?

- Musi jeść jajka - mówi Helen. - To dlatego źle się czuła.

- Zgadza się - dodaje Peter. Rowan kręci głową.

- Ale to jej w ogóle nie przeszkadza.

Helen i Peter wymieniają spojrzenia. Bez dwóch zdań, Rowan ma rację.

- Rowan, proszę cię, to ważna sprawa. Wiem, że miałeś sporo do przetrwania, ale musimy pomóc Clarze poradzić sobie z atakiem - wyjaśnia matka.

- Opowiadasz o tym, jakby miała astmę. Peter wywraca oczami.

- Helen, ona wypła dużo krwi. To lekka przesada udawać, że możemy dalej żyć, jak gdyby nic się nie stało.

- To prawda - przyznaje Helen - ale to właśnie zrobimy. Damy sobie z tym radę. Naszym jedynym wyjściem jest żyć dalej i prowadzić normalne życie. Tata pójdzie do pracy. Wy w poniedziałek pójdziecie do szkoły. Ale może dzisiaj Clara powinna zostać w domu.

Clara odkłada widelec.

- Wychodzę z Eve.

- Claro, ja...

- Mamo, byłyśmy umówione. Jeżeli nie pójdę, to wyda się podejrzane.

- No tak, faktycznie powinniśmy się zachowywać zupełnie normalnie - przyznaje Helen.

Rowan marszczy brwi i je jajka. Jednak Clare coś wyraźnie gryzie.

- Dlaczego zawsze jest włączone Radio 4, kiedy nigdy go nie słuchamy? To mi działa na nerwy. Jakbyśmy chcieli udowodnić, że należymy do klasy średniej.

Rowan spogląda na osobę, która przejęła dziś władzę nad jego siostrą.

- Clara, zamknij się.

- Sam się zamknij.

- Boże. Nie masz żadnych uczuć? Peter wzdycha.

- Dzieci, proszę.

- I tak nienawidziłeś Harpera - mówi Clara, przyglądając się bratu, jakby to jego zachowanie odbiegało od normy.

Rowan podnosi sztućce, po czym z miejsca je odkłada. Jest wyczerpany, ale gniew go rozbudza.

- Nie lubię wielu ludzi. Czy w związku z tym wymordujesz dla mnie całe miasteczko? Przyjmujesz zamówienia? Tak to działa? Bo kobieta w Żarłoku ocyganiła mnie niedawno przy wydawaniu reszty...

Helen spogląda na męża, który ponownie próbuje załagodzić napięcie.

- Dzieciaki... - zaczyna, podnosząc dłonie w uspokajającym geście. Ale Rowan i Clara dalej kłócą się zaciekle.

- Tylko się broniłam. Wiesz, gdybyś nie był takim maminsynkiem, to też byłbyś dużo szczęśliwszy.

- Maminsynkiem. Pięknie. Dziękujemy ci, hrabino Claro z Transylwanii, za twój wkład w dyskusję.

- Wal się.

- Clara. - Tym razem to Helen; rozlewa na stół sok pomarańczowy, który miał trafić do szklanki. Clara odsuwa krzesło i wstaje. Nigdy w życiu nie zrobiła czegoś takiego.

- Walcie się wszyscy.

Rowan opiera się na krześle i spogląda na rodziców.

- Teraz zamienia się w nietoperza?

NARÓD ZATRACENIA

Jesteśmy na miejscu. Siódmy krąg piekieł.

Po wjeździe do miasteczka Will delektuje się panoramą głównej ulicy. Pomalowany na różowo sklep z dziecięcym obuwiem - Dzwoneczek. Smętny pub i grzeczne delikatesy. *Sex-shop?* Skądże. Sklep z kostiumami dla gardzących sobą bezkrwawców, którzy myślą, że peruka afro i dzwony z cekinami złagodzą ból egzystencji. I apteka - jak to poprzednie nie zadziała. Nawet biorąc pod uwagę obowiązkowego menelika na spacerze z kulącym się stukniętym psiskiem, wszystko tchnie dławiającą poprawnością, atmosferą życia od kreski do kreski. Will zatrzymuje się na światłach, żeby przepuścić parę starszków. Powoli podnoszą trzęsące się dłonie w geście podziękowania.

Jedzie dalej, mija położony z dala od drogi parterowy budynek, częściowo zamaskowany drzewami, jakby wstydział się swojej względnej nowoczesności. To gabinet lekarza rodzinnego, jak informuje tabliczka. Wyobraża sobie tam swojego brata, dzień po dniu otoczonego schorowanymi ciałami niezdatnymi do konsumpcji.

Wspomina fragment z Dantego: *Przeze mnie droga w wiekuiste męki. Przeze mnie droga w naród zatracenia. Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją*⁶.

I oto jest. Mała czarno-biała tabliczka prawie całkowicie zakryta liśćmi z przerośniętych krzaków.

Orchard Lane. Will zwalnia i skręca w lewo, wzdryga się powitany zachodzącym za domami bogaczy słońcem.

Powolny, spokojny świat głównej ulicy jest tutaj jeszcze wolniejszy i spokojniejszy. Wolno stojącym willom w stylu regencji i georgiańskim, postawionym jeszcze przed pierwszą sfingowaną śmiercią Byrona, towarzyszą lśniące i standardowo eleganckie samochody na podjazdach. Wyglądają, jakby ktoś zaprojektował je tylko po to, żeby tak stały, niczym technologiczne dzieła sztuki do podziwiania.

Jedno jest pewne, przebiega mu przez myśl, furgonetka pamiętająca Woodstock będzie tu pasować jak pięść do nosa.

Parkuje na wąskim skrawku trawy naprzeciwko domu.

Spogląda na numer siedemnaście. Duża, wolno stojąca gustowna willa, z oknami po obu stronach wejścia, bezsilnie konkurująca z jeszcze większym domem obok. Ogląda minivana Radleyów. Wymarzony samochód dla zwyczajnej, szczęśliwej rodziny. Trzeba przyznać, że utrzymywanie pozorów idzie im całkiem nieźle.

⁶ D. Alighieri, *Boska Komedia*, przeł. Edward Porębowicz, Ossolineum 1986, s. 16.

Czuje, jak robi mu się słabo, może to wina słońca. Nie jest przyzwyczajony do bycia na nogach o tej porze. To mógł być błąd. Potrzebuje siły.

Jak zwykle, kiedy tak się czuje, sięga za siedzenie i wyciąga zwinięty śpiwór. Wsuwa dłoń do rozgrzanego wnętrza i wyjmuję butelkę ciemnoczerwonej krwi.

Pieści palcami etykietkę, zerka na własny charakter pisma. „WIECZNA - 1992”. Zabutelkowane marzenie - doskonałe i kompletne.

Nie otwiera jej. Jeszcze nigdy jej nie otworzył. Nigdy jeszcze nie było niezwyklej okazji - ani pilnej potrzeby. Wystarczy jej się przyjrzeć, dotknąć szkła, i wyobrazić sobie, jak by smakowała. I jak smakowała tysiące nocy temu. Po chwili wsadza ją z powrotem do śpiwora i odkłada za siedzenie.

Potem się uśmiecha i czuje radość na myśl, że za chwilę znów ją zobaczy.

ŁADNA

Clara patrzy na plakaty na ścianie.

Nieszczęsny beagle.

Małpa w klatce.

Modelka w futrze, za która po wybiegu ciągnie się krwawy ślad

Wszystkie obrazy mają idealną ostrość. Patrzy na swoje palce i widzi półksiężyc u podstawy każdego paznokcia, może policzyć fałdki skóry na zgięciach. W ogóle nie ma mdłości

W rzeczy samej, jest pełna energii. Bardziej pobudzona i natchniona chęcią życia niż kiedykolwiek. Wczoraj w nocy zabiłam Harpera myśli. To szokujący fakt, ale ona nie jest zszokowana. To zwykły fakt, tak jak każdy inny. I nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia, bo świadomie nie zrobiła nic złego. Zresztą jaki sens miały wyrzuty sumienia? Całe życie miała wyrzuty sumienia bez żadnego konkretnego powodu. Miała wyrzuty sumienia, że swoją dietą przysparza rodzicom zmartwień. Miała wyrzuty sumienia, bo zdarzało jej się zapomnieć posegregować odpady przed wyrzuceniem. Miała wyrzuty sumienia, bo wdychając dwutlenek węgla, zabierała go drzewom.

Nie. Clara Radley nie będzie miała więcej wyrzutów sumienia. Myśl o swoich plakatach. Po co obwiesiła sobie ściany takim paskudztwem? Dlaczego nie powiesiła zamiast nich czegoś przyjemniejszego? Przyklęka na kołdrze i zdejmuje je.

Potem, kiedy ściana jest już pusta, Clara delectuje się swoim odbiciem - zmienia się, ogląda swoje wydłużające i zaostarzające się kły.

Drakula.

Nie Drakula.

Drakula.

Nie Drakula.

Drakula.

Ogląda zakrzywione białe kły. Dotyka ich, naciska ostre zakończenie opuszką kciuka. Pojawia się czerwony, lśniący jak wisienka pęcherzyk krwi. Oblizuje go i rozkoszuje tą chwilą, po czym wraca do postaci człowieka.

Pierwszy raz w życiu zdaje sobie sprawę, że jest atrakcyjna. Jestem ładna, myśli. Nie rusza się, wyprostowana, uśmiechnięta i dumna, delectując się swoim wyglądem, z plakatami obrońców zwierząt zmiętymi u stóp.

Inną zmianą, nowością, którą dostrzegła, jest poczucie lekkości. Wczoraj, i każdego dnia wcześniej, zawsze czuła na sobie niewidzialny ciężar. Chodziła skulona, irytując nauczycieli zgarbionymi plecami. Dziś jednak ciężaru nie ma. Skoncentrowana na przypominającej hel lekkości uświadamia sobie, że jej stopy nie dotykają wykładziny, tylko unoszą się nad nią, tuż nad zmiętymi plakatami.

Ktoś dzwoni do drzwi i Clara opuszcza się z powrotem na podłogę.

Nigdy nie zapraszajcie do domu praktykującego wampira, nawet jeżeli to wasz przyjaciel albo krewny.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 87

PŁOTY

Helen stoi na korytarzu i nie protestuje. Pozwala mężowi zaprosić go do domu i wyściskać. Will uśmiecha się i spogląda na nią; jego twarz nie straciła nic ze swojej mocy.

- Faktycznie, szmat czasu - mówi Peter głosem, który zdaje się dobiegać z oddali.

Will, nie przerywając uścisku, ciągle patrzy na Helen.

- Niezła wiadomość, Pete. „Pomóż mi, Obi-Wanie Kenobi, jesteś moją jedyną nadzieją”.

- No... tak - odpowiada Peter nerwowo. - Mieliśmy tu małe piekło, ale udało się opanować sytuację.

Will nie zwraca na niego uwagi i koncentruje się na Helen - korytarz nigdy wcześniej nie wydawał jej się tak wąski. Ściany i akwarele napierają coraz mocniej, i kiedy Peter zamyka drzwi, Helen jest na skraju ataku klaustrofobii.

Will całuje ją w policzek.

- Helen, rany, jakbyśmy się widzieli wczoraj.

- Czyżby? - odpowiada spięta.

- Zdecydowanie. - Will uśmiecha się i rozgląda. - Stylowy wystrój. Kiedy poznam dzieci?

Zakłopotany Peter odpowiada słabo:

- No... chyba teraz.

Helen prowadzi go bezwolnie do kuchni, błada jak żałobnik na pogrzebie. Clara wyszła, czego Helen w pewnym sensie żałuje, gdyż obecność dziewczyny dałaby jej pretekst do ucieczki przed dociekliwym wzrokiem Rowana.

- Kto to? - pyta.

- Twój wujek.

- Wujek? Jaki wujek?

Rowan jest zdezorientowany. Zawsze słyszał, że oboje rodzice są jedynakami. A tu nagle pojawia się tajemniczy wujek i Peter uśmiecha się bezmyślnie.

- To jest mój... brat, Will.

Rowan jest urażony i nie reaguje na uśmiech wujka. Helen wyobraża sobie, co myśli: kolejne kłamstwo w życiu usłanym kłamstwami.

Ku jej przerażeniu Will siada na krześle Petera i mierzy wzrokiem egzotyczny widok opakowań po płatkach śniadaniowych i zimnych tostów.

- A więc jemy śniadanie - podsumowuje Will.

Helen przygląda się zdesperowana rozgrywającej się na jej oczach scenie. Chce powiedzieć Willowi milion rzeczy, ale nie może wydusić z siebie słowa. On musi stąd zniknąć. Peter musi się go pozbyć. Wychodząc z kuchni, pociąga męża za koszulę.

- Musimy się go pozbyć.
- Helen, spokojnie. Wszystko jest w porządku.
- To nie do wiary, że nagrałeś mu wiadomość. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Co za głupota.

Rozzłoszczony Peter przyciska dłoń do czoła.

- Na miłość boską, Helen. To mój brat. Zupełnie tego nie rozumiem. Dlaczego na jego widok zawsze się tak rozklejasz?

Helen zerka w stronę kuchni i próbuje opanować głos.

- Nie rozklejam się. Jakoś się trzymam. Tylko że... Boże, kiedy widzieliśmy go ostatni raz, byliśmy... wiesz. On symbolizuje naszą przeszłość. Całą zgniliznę, którą odrzuciliśmy po przeprowadzce.

- Nie dramatyzuj. Posłuchaj, on może nam pomóc w sprawie Clary. Pamiętasz, jak on potrafi rozmawiać z ludźmi, z policją. Ma dar perswazji, umie mamić.

- Hemipnoza? To masz na myśli?

- Być może. Tak.

Patrzy na męża i zastanawia się, ile krwi wypił zeszłej nocy.

- Tak czy inaczej, teraz jest pod naszym dachem i mamy naszego wrażliwego syna. Może mu powiedzieć cokolwiek.

Peter spogląda na nią, jakby była histeryczką.

- Helen, daj spokój. Wampiry nie mogą zahemipnotyzować wampirów. Nie wmówi Rowanowi nic, co nie jest prawdą.

To jeszcze bardziej rozjusza Helen. Kręci zaciekle głową.

- Musi stąd zniknąć. Musi stąd zniknąć. Idź. Pozbądź się go. Zanim... - urywa, przypomniawszy sobie, ilu rzeczy nie wie Peter. - Po prostu się go pozbądź.

Rowan patrzy, jak jego wujek wżryza się w zimny razowy tost.

Zauważa lekkie podobieństwo do ojca, choć wymaga to od jego umysłu sporej obróbki w Photoshopie. Musi usunąć trzydniową brodę, płaszcz i podniszczone czarne buty motocyklisty; dodać trochę ciała na twarzy i brzuchu Willa, postarzyć o jakieś dziesięć lat, i wyobrazić go sobie z krótkimi włosami. Musi wymienić T-shirt z Nico na koszulę z kołnierzem i dodać pusty wzrok. Gdyby zrobił to wszystko, wyszedłby ktoś nieco podobny do ojca.

- Węglowodany - mówi Will a propos jedzonego tosta. Nie zawraca sobie głowy zasłanianiem ust. - Zanedbuję składniki z tej grupy.

Zakłopotanie Rowana siedzącego przy stole z nieznanym o wyglądzie szaleńca, który jest jego krewnym, to jedyne, co pozwala mu, z wielkim trudem, zapanować nad gniewem.

Will przelyka, machając odruchowo kromką w stronę chłopca.

- Nie wiedziałeś o moim istnieniu, prawda? Kiedy wszedłem, widziałem po twojej minie...

- Nie.

- W każdym razie nie powinieneś mieć pretensji do mamy ani do taty. Ja w każdym razie nie mam. To długa historia. Sporo w niej złej krwi. Ale też sporo dobrej. Widzisz, oni nie zawsze mieli zasady.

- Czyli ciągle jesteś...

Jego wujek jest przesadnie zakłopotany.

- Wampirem? Takie prowokacyjne słowo, kojarzy się z tyloma banałami i powieściadłami dla nastolatków. Ale tak, obawiam się, że jestem. Stuprocentowo sprawnym wampirem.

Rowan spogląda na okruchy chleba i kawałeczki niedojedzonej jajecznicy na talerzu. Czy przyspieszone tętno podsyca złość, czy gniew? Jakoś udaje mu się wyartykułować to, co chodzi mu po głowie.

- A co z... zasadami moralnymi?

Jego wujek wzdycha, jakby rozczarowany.

- Tylko które wybrać, w tym cały kłopot. W tych czasach asortyment jest niczego sobie. Od samego myślenia o tym boli mnie głowa. Ja trzymam się krwi. Krew jest prosta. W przypadku krwi wiadomo o co chodzi.

- Czyli po prostu chodzisz i mordujesz ludzi? Tak? Will nie odpowiada, tylko patrzy zdeprymowany. Rowan drży, jak ziemia podczas trzęsienia.

Do kuchni wchodzi Peter z zakłopotaną miną.

Nie, myśli Rowan. Will to zdecydowanie starszy brat.

- Will, moglibyśmy porozmawiać?

- Pewnie, Peter, moglibyśmy.

Rowan przygląda się, jak wychodzą z pomieszczenia. Wysypka dokucza mu bardziej niż zwykle i chłopiec mocno, zaciekle rozdrapuje skórę na ręce. Drugi raz w ciągu ostatnich dwunastu godzin wolałby być martwy.

Will spogląda na stylowe, subtelne obrazy na ścianie korytarza. Półabstrakcyjna akwarela jabłoni, z małym brązowym „H” w dolnym rogu.

Peter patrzy na Willa. Trzeba przyznać, że wygląda świetnie. Prawie w ogóle się nie zmienił, i musi żyć tak samo, jak zawsze.

Jego starszy brat, który wygląda, jakby był od niego młodszy o dziesięć lat, z zawiadackim błyskiem w oku i aurą - wolności? ryzyka? życia? - którą Peter stracił dawno temu.

- Will, posłuchaj - zaczyna - wiem, że przyjazd tutaj sporo cię kosztował i naprawdę to doceniam, ale rzecz w tym...

Will przytakuje.

- Jabłoń. Jabłoni nigdy za wiele.

- Słucham?

- Jabłka to zawsze jabłka, no nie? To jabłka się wielbi - mówi, jakby rozmawiali o tym samym. - Zawsze jebane jabłka. Ale nie, od razu trzeba namalować całe drzewo. Stare dobre ojcowskie drzewo.

Peter uświadamia sobie, o czym mówi Will.

- A, tak, to obraz Helen.

- Choć muszę przyznać, że podobały mi się jej obrazy olejne. Akty. W nich dopiero pokazała kły.

- Posłuchaj, chodzi o to... - mówi Peter, próbując ubrać w słowa to, co kazała mu przekazać Helen. Jego brat, którego nie widział przez dobre dwadzieścia lat, został tu „zaproszony”. A wypraszenie wampirów, nie mówiąc o krewnych, nigdy nie jest łatwe.

- Peter, to wszystko bomba, ale możemy przełożyć pogaduchę?

- Słucham?

Teatralne ziewnięcie Willa.

- Miałem ciężką noc - wyjaśnia. - I już dawno powinienem spać. Ale nie martw się. Nie wyciągaj materaca. Zdarza mi się je przekłuwać przez sen, kiedy śni mi się nie to, co trzeba. Co, nawiasem mówiąc, ostatnimi czasy zdarza mi się często.

Will wkłada okulary słoneczne i jeszcze raz całuje brata w policzek.

- Słęskniłem się za tobą, braciszku. Wychodzi z domu.

- Ale... - zaczyna Peter, choć wie, że jest już za późno.

Drzwi się zamykają.

Peter wspomina, jak było kiedyś. Jego brat zawsze miał ostatnie słowo. Patrzy na rozmytą zieloną chmurę liści i czerwone kropeczki oznaczające jabłka. Nie zgadza się z Willem. Jego zdaniem technika żony z czasem się poprawiła, przybyło jej subtelności, kontroli. Podoba mu się płot na pierwszym planie, kilka linii pędzlem podobnych do pnia jabłoni. Płoty ostatnio pojawiają się często na jej obrazach i kiedyś zapytał ją o to: „Czy ich zadaniem jest chronić, czy ograniczać?”. Nie odpowiedziała. Nie wiedziała. Myślała pewnie, że to przytyk, i może tak było, choć z całą pewnością nie chciał w ten sposób skrytykować jej malarstwa. Nawet sam ją zachęcał, żeby wystawiła swoje obrazy w kawiarni w Thirsk i był naprawdę zdziwiony, kiedy żaden się nie sprzedał. (Powiedział jej, że za nisko je wyceniła. Wyższe ceny byłyby oznaką wartości, zwłaszcza że Thirsk raczej nie stanowiło centrum artystycznego świata).

- Co powiedział? - Głos Helen wdiera się do jego myśli. Mówi tonem pełnym napięcia i nadziei.

- Nie słuchał. Po prostu wyszedł.

Helen jest bardziej zmartwiona niż rozgniewana.

- Och, Peter, on musi stąd zniknąć.

Peter przytakuje, zastanawiając się, jak to osiągnąć i dlaczego dla Helen stanowi to największy problem ze wszystkich, które pojawiły się w ten weekend. Większy niż martwy chłopiec, plotki w miasteczku i policja.

Helen stoi obok niego, nie dalej niż metr, choć równie dobrze mogłaby być punkcikiem na horyzoncie. Chce położyć jej na ramieniu dłoń dla uspokojenia, ale zanim jej dosięga, Helen rusza się w stronę kuchni, żeby włożyć naczynia do zmywarki.

TANTRYCZNY DIAGRAM PRAWĘJ STOPY

Obok Radleyów, w domu przy Orchard Lane 19, panuje cisza.

Lorna Felt leży w łóżku obok męża, lekko skacowana, ale rozluźniona. Rozmyśla o przestraszonej minie Petera po jej subtelnych awansach pod stołem. Patrzy na plakat na ścianie po drugiej stronie pokoju. Tantryczny diagram prawej stopy - reprodukcja klasycznej osiemnastowiecznej hinduskiej jantry z rozrysowaną strukturą wewnętrzną i węzłami energetycznymi. Kupiła go na eBayu.

Mark oczywiście nie chciał, żeby tu wisiał. Tak jak nie chciał, żeby jej klienci zdejmowali w salonie skarpetki. Teraz się w niego wtula, a on się budzi.

- Dzień dobry - szepcze mu do ucha.

- Mm... dobry - odpowiada.

Niezrażona, sięga dłonią pod jego T-shirt i pieści jego skórę delikatnym dotykiem. Przesuwa palce niżej, zsuwa bokserki i delikatnie gładzi jego zwiotczały członek, niby domową mysz. Ten łagodny i subtelny masaż skutkuje. Mark ma wzwód, całuje ją i przechodzą szybko do seksu. Ale seks jak zwykle jest dla Lorny rozczarowaniem - szybki, bezceremonialny przeskok od A do B, podczas gdy ona chętnie zapoznałaby się z resztą alfabetu.

Z jakiegoś powodu, kiedy Mark zaciska powieki i się spuszcza, ma przed oczami sugestywną wizję kanapy rodziców. Tej, którą kupili na raty w dniu ślubu Karola i Diany, na ich cześć. Przypomina mu się, jak wyglądała przez cały rok. Z folią ochronną, na wypadek gdyby ktoś poczuł się zbyt swobodnie i ją pobrudził. („Musisz się nauczyć szanować rzeczy, Mark. Wiesz, ile to kosztowało?”).

Leżą pogrążeni w myślach, każde w swoich. Lorna czuje, że znowu kręci jej się w głowie.

- Szkoda, że nie możemy spędzić całego dnia w łóżku - mówi

Mark nieszczere, kiedy oddech mu się uspokaja. Ostatni raz wylegiwał się, kiedy miał osiemnaście lat.

- Przecież moglibyśmy spędzić trochę czasu razem, prawda? - proponuje Lorna.

Mark wzdycha, potem kręci głową.

- Muszę... mam do załatwienia... ten cholerny czynsz... Wstaje i idzie do łazienki. Dłoń Lorny leży na jego połówce materaca, czuje jałowe ciepło, które zostało po mężu.

Kiedy słucha, jak głośno oddaje mocz w toalecie, dochodzi do wniosku, że powinna zadzwonić do przychodni i umówić się na wizytę u Petera (koniecznie do Petera). Wie, że być może dziś zbierze się na odwagę, żeby poprosić sąsiada o to, o co chciała go poprosić, od kiedy poczuła na sobie jego intensywny, łapczywy wzrok podczas zeszłorocznego grilla.

Podnosi słuchawkę. Toby z kimś rozmawia. Lorna nie rozłącza się i podsłuchuje, co już nieraz jej się zdarzało, kiedy szukała dowodów nienawiści pasierba.

Dlaczego Mark nigdy nie stanął po jej stronie w kwestii Toby'ego? Dlaczego nie widział, jak bardzo chłopiec nią gardzi? Dlaczego Mark nie posłuchał jej i nie wysłał go do szkoły Steiner w Yorku? „Jasne, żeby mógł potem zostać bezrobotnym szczudlarzem” - tak Mark zamknął wtedy dyskusję.

- Dzień dobry, pani Harper, czy zastałem Stuarta? - Głos jest tak uprzejmy, że aż nie do poznania.

Potem pani Harper.

- Stuart! Stuart! Stuart?! - To ostatnie „Stuart” jest tak głośne, że Lorna musi odsunąć słuchawkę od ucha.

- Stuart, wstawaj! Dzwoni Toby.

Jednak nie słyhać, żeby Stuart Harper coś odpowiedział.

NOWE CIUCHY

Eve leży na łóżku w luźnym T-shircie, który miała na sobie tamtej nocy dwa lata temu, kiedy zaginęła jej matka. Gdyby nie to, już dawno by go wyrzuciła, bo wyblakł i ma dziury wokół szyi od jej zębów. Poza tym ma nadruk zespołu, którego już nie słucha.

Wyrzucenie T-shirtu byłoby spalaniem kolejnego mostu między „Czasem Przed” i „Czasem Po”, a od kiedy się tu przeprowadzili, tych mostów nie zostało już zbyt wiele.

Ich poprzedni dom w Sale był zupełnie inny niż ten. Przede wszystkim był to dom, a nie mieszkanie dla emeryta. - Miejsce zduszą. Każdy kąk przypominał jej matkę. Tymczasem ich obecne mieszkanie było żalosne, jego smutek był bardziej bezwzględny - jak smutek współczesnego domu starców.

Oczywiście częściowo rozumiała ich położenie. Wiedziała, że po tym, jak tata stracił pracę po redukcji etatów, nie mieli jak spłacać kredytu. A jednak. Po co wyjeżdżać do innego hrabstwa? Po co wyjeżdżać na drugą stronę Gór Pennińskich, prawie sto kilometrów od kuchni, w której ona i matka tańczyły do starych piosenek z radia?

Po co zostawiać stare łóżko, na którym siadała mama i opowiadała o wierszach i książkach, które przeczytała? Na którym, siedząc, pytała ją o szkołę, koleżanki i chłopaków?

Zamyka oczy i widzi ją teraz w myślach, z krótkimi włosami i przyjaznym uśmiechem, który dla Eve był czymś naturalnym. A potem jej ojciec wchodzi do pokoju i przerywa wspomnienie, informując, że dziewczyna ma szlaban na cały weekend.

- Co? - pyta Eve ochryplym głosem, który jest niezbitym dowodem dręczącego ją kaca.

- Eve, przykro mi. Tylko ten weekend. Zostaniesz w domu. - Ciągle ma na sobie płaszcz, w którym przed chwilą gdzieś był, a jego mina jest tak skłonna do kompromisu jak blokada drogowa.

- Dlaczego? - ostatnio to jedyne pytanie, które zadaje, i jak zawsze nie dostaje na nie satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Eve, proszę, nie możesz wyjść. To poważna sprawa.

I to wszystko. Wszystko, co ma jej do powiedzenia przed opuszczeniem pokoju.

Niedługo potem na stoliku przy łóżku wibruje komórka. Na ekranie wyświetla się „Clara”. Zanim odbierze połączenie, wychodzi z łóżka, żeby zamknąć drzwi, potem włącza radio.

Kiedy w końcu odbiera, ma wrażenie, że głos jej przyjaciółki brzmi inaczej. Potulność i przesadną skromność zastąpiły pewnością siebie i opanowanie.

- To jak, señorita, ruszamy dzisiaj na babskie zakupy?

- Nie mogę - odpowiada Eve. - Mam szlaban.

- Szlaban? Masz siedemnaście lat. Nie może cię zamknąć. To niezgodne z prawem.

- Nie dla niego. Mój ojciec jest poza prawem. Tak czy siak, jestem splukana.

- Nie ma sprawy. Ja stawiam.

- Nie mogę. Tata. Serio.

- Nie jest twoim właścicielem.

Ostatnie zdanie Clary brzmi w jej ustach tak nienaturalnie, że Eve zastanawia się przez chwilę, czy naprawdę rozmawia z przyjaciółką.

- Jakoś dziwnie dzisiaj mówisz.

- No - potwierdza opanowany głos. - Czuję się lepiej. Ale potrzebuję nowych ciuchów.

- Co? Czyli już nie rzygasz?

- Nie, wszystko przeszło. Ojciec mówi, że to był wirus. Coś w powietrzu.

- Ktoś przyszedł - mówi Eve.

- Wiem. Słyszałam.

- Co? Jak? Sama ledwo usłyszałam... Tak czy siak, muszę iść. Ojciec nie otwiera.

- Dobra - mówi Clara - w takim razie wpadnę do ciebie.

- Nie, to chyba nie jest...

Zanim Eve kończy, Clara odkłada słuchawkę. Eve wychodzi z sypialni, żeby otworzyć drzwi. Udaje, że nie słyszy szeptu ojca z salonu:

- Eve, nie otwieraj.

Ale ona otwiera i widzi nalaną, arogancką, bezduszną twarz właściciela mieszkania, który patrzy na nią z góry.

- Jest ojciec?

- Nie, wyszedł.

- Wyszedł. Akurat teraz. Przekaż mu, że to mi się nie podoba. W przyszłym tygodniu mam dostać czynsz za ostatnie dwa miesiące albo będziecie musieli poszukać sobie czegoś innego.

- Ma pracę - tłumaczy mu Eve. - Będzie mógł zapłacić, potrzeba mu tylko trochę więcej czasu. Czy... ee... Toby panu tego nie wytłumaczył?

- Toby? Nie. Dlaczego miałby mi coś tłumaczyć?

- Powiedział, że to zrobi.

Pan Felt uśmiecha się do niej, i to nie jest miły uśmiech. To uśmiech, od którego robi jej się głupio, jakby była puentą dowcipu, którego nie rozumie.

- Przyszły tydzień - oznajmia stanowczo. - Siedemset funtów.

MAŁY ATAK PANIKI

Clara poczuła coś podczas drogi do miasta - intensywną, egzotyczną woń, której nigdy wcześniej nie zauważyła w zatłoczonym autobusie numer 6. Zapach do tego stopnia wytrącił ją z równowagi, że czuła ulgę na każdym przystanku, kiedy do środka wpadało świeże orzeźwiające powietrze.

Teraz znowu się pojawia i mdli ją, kiedy przebiera się w przymierzalni w Topshopie. Ten dziwnie odurzający zapach, który kojarzy się jej z dziką, gwałtowną rozkoszą wczorajszej nocy.

Widzi siebie na ciele Harpera niczym welociraptor. Jej głowa śmiga ku pniącym się ranom, żeby wyssać z niego resztę życia. Drży na samo wspomnienie tego, ale nie wie, czy z przerażenia tym, co zrobiła, czy upojona rozkoszą czegoś, czego mogłaby jeszcze zaznać.

Uzmysławia sobie, że to zapach krwi. Krwi płynącej w ciałach, które rozbierają się w innych kabinach. Dziewczyn, których nie zna, i jednej, którą zna - tej, którą namówiła na ucieczkę z domu, od ojca.

Wychodzi urzeczona w nowym ubraniu. Niewidzialne siły ciągną ją do sąsiedniej kabiny, szykuje się, żeby odsunąć zasłonę. Jednak w samą porę ogarnia ją panika, rozlewająca się po całym ciele. Serce jej wali i czuje dreszcze.

Dociera do niej, co robi. Wybiega z przymierzalni i pędzi przez sklep, wpada na manekin przystrojony krótką bluzeczką w stylu lat osiemdziesiątych i połyskliwymi krucyfikami. Manekin przewraca się i ląduje wśród stojaków z ubraniami, tworząc jakby pomost.

- Przepraszam - mówi Clara bezgłośnie i dalej zmierza do wyjścia. Kiedy wybiega w zabezpieczonych sklepowych ubraniach, włącza się alarm, ale ona nie może wrócić. Potrzebuje świeżego powietrza, żeby złagodzić pożądanie.

W głowie dudni jej odgłos kroków. Ktoś za nią biegnie. Rzuca się do alejki, mija przepełnione pojemniki na śmieci, ale przed sobą widzi wysoki mur z czerwonej cegły. Ślepy zaułek.

Ochroniarz ze sklepu osaczył ją. Podchodząc do niej, mówi do przypiętego w kieszeni koszuli nadajnika.

- Wszystko gra, Dave. Mam ją. To tylko dziewczyna. Clara stoi oparta plecami o ścianę.

- Przepraszam - mówi. - Nie chciałam nic ukraść. Miałam tylko mały atak paniki. Mam pieniądze. Mogę...

Ochroniarz uśmiecha się, jakby opowiedziała kawał.

- Jasne, kotku. Wszystko opowiesz na posterunku. Choć wątpię, żeby ci uwierzyli.

Kiedy kładzie ciężką dłoń na jej ramieniu, Clara patrzy na wytatuowaną na jego ręce syrenę. Jej niebieska twarz spogląda na nią z podszytą żalem wyrozumiałością. Mężczyzna ciągnie ją w stronę ulicy. Kiedy zbliżają się do końca alejki, Clara słyszy kroki ludzi robiących zakupy, stukanie nabiera tempa,

aż zlewa się w jeden dźwięk. Dłoń ochroniarza zaciska się i dziewczynę ogarnia rozpaczliwa wściekłość. Próbuje się wyrwać.

- Nic z tego - mówi ochroniarz. Mimowolnie stosuje sztuczkę z kłami.

- Zostaw mnie - syczy.

Puszcza ją gwałtownie, jakby jej dotyk go parzył. Rozumie, że Clara czuje zapach jego krwi, i zaczyna się bać. Ze zdziwienia opada mu szczęka i cofa się o krok z podniesionymi rękami, jakby w geście mającym uspokoić wściekłego psa.

Clara widzi strach, który wzbudziła w dorosłym mężczyźnie, i drży przerażona myślą o posiadanej władzy.

NA RATUNEK DZIECIOM

Rano w przychodni Peter jest jakby nieobecny. Pacjenci wchodzą i wychodzą, a on mechanicznie robi swoje. W miarę jak mija dzień, myśli Petera coraz częściej krążą wokół radosnego uczucia, którego doświadczył, szybując zeszłej nocy w powietrzu, uczucia szybkości i słodkiej nieważkości.

Coraz trudniej mu się skoncentrować na tym, co się wokół niego dzieje. Na tym, jak otwierają się drzwi i pojawia się pan Bamber, który dopiero wczoraj był na badaniu per recrum.

- Dzień dobry - mówi Peter, a jego głos dochodzi z oddali, bo jego źródło jest wysoko nad Morzem Północnym. - Jak się pan czuje?

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej - odpowiada staruszek, usiadłszy na krzeselku z pomarańczowego plastiku. - To te antybiotyki. Wszystko mi tam rozregulowały.

Klepie się po brzuchu, żeby doprecyzować, do czego odnosi się owo „tam”. Peter zagląda do notatek.

- Rozumiem. No cóż, efekty uboczne amoksycyliny są zazwyczaj bardzo łagodne.

Pan Bamber wzdycha.

- Przestałem nad tym panować. To takie upokarzające. Jak mam potrzebę, to jakby puściła tama.

Staruszek nadyma policzki i imituje odgłos eksplodującej zapory.

To więcej, niż Peter chciałby wiedzieć. Zamyka oczy i masuje skronie, żeby złagodzić ból głowy, który przeszedł na kilka godzin, ale teraz powoli wraca.

- No dobrze - udaje mu się powiedzieć. - Zmienię panu receptę i przepiszę mniejszą dawkę. Potem zobaczymy.

Peter gryzmoli na recepcie i podaje ją mężczyźnie, po czym w gabinecie od razu pojawia się kolejny pacjent. Potem następny.

Zawstydzona kobieta z kandydozą.

Mężczyzna z natrętnym kaszlem.

Chora na grypę.

Starszy pan w marynarce do krykieta, któremu przestał stawać.

Hipochondryk cały w pieprzykach, który za pomocą Google'a zdiagnozował u siebie raka skóry.

Kobieta, która kiedyś była szefową poczty, przychodzi zionąć mu w twarz, żeby mógł zbadać jej cuchnący oddech („Nie, naprawdę, Margaret, prawie w ogóle nie czuć”).

O wpół do trzeciej Peter ma już dosyć. Jest w końcu sobota.

Sobota!

So-bo-ta.

Te trzy sylaby kiedyś niosły tak cudowne podniecenie. Przyglądając się wielkiej czerwonej kropli krwi na ścianie, wspomina, co niegdyś, wiele lat temu znaczyła dla niego sobota, kiedy razem z Willem chodzili do Stoker Club na Dean Street w Soho, zamkniętego klubu dla zdeklarowanych krwio pijców. Potem czasami wpadali do jakiejś „rzeźnioteki” na Leicester Square pooglądać mięso. I czasami, jakby faktycznie byli na KW, wznosili się ponad miastem, szybowali wzdłuż węzowych zawijasów Tamizy i rzucali się w dziki wir wampirzego weekendu.

Walencja. Rzym. Kijów.

Niekiedy śpiewali tę głupawą piosenkę, którą za młodu napisali dla swojego zespołu - Hemogoblinów. Teraz nie potrafi sobie jej przypomnieć. Nie całkiem.

To było jednak bezmyślne, niemoralne życie. Cieszył się, kiedy poznał Helen i zwolnił obroty. Oczywiście nigdy nie przypuszczał, że kiedyś odpuści sobie krew, czy świeżą, czy w ogóle z niej zrezygnuje. Nie, dopóki Helen nie zaszła w ciążę i nie powiedziała mu, żeby zastanowił się, jakie są w jego życiu priorytety. Nie, zupełnie się tego nie spodziewał. Nie spodziewał się przyszłości pełnej migren, monotonii i siedzenia na popsutym fotelu obrotowym w oczekiwaniu na otwarcie drzwi i wejście kolejnego hipochondryka.

- Proszę - mówi zmęczonym głosem. Delikatne pukanie zabrzmiało jak walenie młotkiem. Nawet nie podnosi wzroku. Gryzmoli na receptach krople krwi, aż wychwytuje znajomą woń. Zamyka na chwilę oczy, delektując się zapachem, a kiedy je otwiera, widzi Lornę, tryskającą zdrowiem, w obcisłych dżinsach i zwiewnej bluzeczce.

Gdyby był zwykłym mężczyzną, ze standardowym podejściem do pożądanego, zobaczyłby, jak faktycznie wygląda Lorna - jak średnio atrakcyjna trzydziestodwuletniarka z obłędem w zbyt mocno pomalowanych oczach. Ale dla Petera Lorna wyglądała niczym modelka z należącego do Helen kolorowego katalogu „Boden”. Podnosi się i całuje ją w policzek, jakby byli na przyjęciu.

- Lorna. Witam! Ładnie pachniesz.

- Naprawdę?

- Tak - mówi, usiłując skoncentrować się na zapachu perfum. - Łąką. A w ogóle to co słychać?

- Mówiłam ci, że przyjdę na wizytę.

- Tak, faktycznie mówiłaś. Siadaj. Siada na krześle.

Zgrabnie, przebiega mu przez myśl. Jak kocica. Ponętna birmańska kocica, tylko bez lęku.

- U Clary wszystko w porządku? - pyta konkretnym tonem.

- Tak, Clara jest... sama wiesz. Młoda, lubi eksperymenty... wiesz, nastolatki.

Lorna przytakuje, myśląc o Tobym.

- Tak.

- To co ci dolega? - pyta Peter.

Po cichu liczy, że dolegliwości mu ją obrzydzą. Że cierpi na coś, co rozładuje powstałe napięcie. Hemoroidy albo zespół jelita drażliwego, albo coś w tym stylu. Jednak jej objawy są tak wytworne i wiktoriańskie, że tylko dodają jej uroku. Mówi mu, że ma napady słabości, kiedy za szybko wstanie, pojawiają jej się mroczki przed oczami. Niesiony egoizmem Peter przez chwilę wmawia sobie, że Lorna to wszystko zmyśla.

Mimo to próbuje podejść do sprawy fachowo.

Owija jej wokół ręki opaskę do pomiaru ciśnienia i zaczyna ją nadmuchiwać. Lorna uśmiecha się do niego pewnie, uwodzicielsko, a on zmaga się z pożądaniem na widok jej żył.

Cienkie, piękne błękitne nitki na tle brzoskwiniowej cery.

To na nic.

Nie może się opanować.

Poniesiony urokiem chwili, traci kontrolę. Zamyka oczy i nachyla się nad jej ręką, co wzbudza chichot Lorny.

- Co robisz? - pyta.

- Muszę cię skosztować.

- Przetestować?

Krzyczy na widok jego kłów. On zatapia zęby w wystawionym przedramieniu i krew, pod ciśnieniem opaski, tryska na wszystkie strony. Na twarz Petera, na Lornę, na ciśnieniomierz, na plakaty.

- Wszystko w porządku? Jej głos rozwiewa fantazję.

Nigdzie nie ma śladu krwi. Mężczyzna mruga i już za chwilę nie ma śladu po halucynacji.

- Tak.

Odczytuje ciśnienie, rozpiną opaskę i sili się na powagę.

- Wszystko jest w normie - wyjaśnia, uciekając wzrokiem i oddychając przez usta. - To na pewno nic poważnego. Przypuszczam, że masz niski poziom żelaza. Mimo to lepiej dmuchać na zimne, więc skieruję cię na badanie krwi.

Lorna się krzywi.

- Tak się boję zastrzyków.

Peter odchrząkuje.

- Musisz umówić się z Eiaine w recepcji.

Szykując się do otwarcia drzwi, Lorna wyraźnie chce jeszcze coś powiedzieć. Ma figlarną, zdenerwowaną minę, która Peterowi bardzo się podoba i której zarazem się boi.

- Są takie wieczorki jazzowe - mówi w końcu. Jej głos wydaje się Peterowi jedwabisty i zachęcający niczym tafla wody. - W Lisie i Koronie przy Farley. Muzyka na żywo. Chyba w poniedziałki. Może moglibyśmy się wybrać. Mark jest w poniedziałek w Londynie, wraca późno. Więc pomyślałam, że nie wiem, moglibyśmy pójść.

Peter waha się, przypomina sobie ich stopy, ocierające się pod stołem i smak krwi, który niedługo potem zmył wyrzuty sumienia. Czuje frustrację,

myśląc o jego wszystkich wyznaniach miłosnych na które jego żona przez te wspólne lata nie raczyła odpowiedzieć. Musi zebrać wszystkie siły, żeby nieznacznie pokręcić głową.

- Chyba...

Lorna zagryza wargę, przytakuje, jej usta układają się powoli jak skrzydła rannego ptaka, w swoisty uśmiech.

- Jasne. Do widzenia, Peter - ucina, żeby nie usłyszeć odmowy.

Drzwi się zamykają i żal przyćmiewa ulgę.

- Do widzenia, Lorna. Do widzenia.

Wiadomość dla zainicjowanych: **NIGDY NIE WZNAWIAJCIE ZNAJOMOŚCI Z INICJATOREM.** Ciężko zapanować nad uczuciami wobec osobnika, którego krew wywołała tak istotną zmianę waszej natury. Spotkanie z nim może spowodować lawinę emocji, z których nie będziecie się mogli otrząsnąć.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 133

ŁÓDŹ BEZ WIOSEŁ

Jedną ze znanych konsekwencji przepicia krwią jest to, jak znaczący wpływ ma na sny. Z zasady wpływ ten jest pozytywny i przeciętny. Praktykujący wampir może rozkoszować się widowiskowymi snami pełnymi hedonizmu, ponętnych nagusek i egzotycznych szczegółów, nowych z każdym snem. Tego właśnie doświadczał Will Radley. W snach pojawiały się najdrobniejsze detale miejsc, w których był - a był wszędzie (choć tylko nocą) - wzbogacone o obrazy z bardziej szalonych rejonów jego wyobraźni. Ostatnio jednak zaczął miewać koszmary albo raczej jeden koszmar, w kółko ten sam. Tylko miejsce akcji lub fabuła zmieniały się nieznacznie.

Śni mu się to teraz, w tę sobotę.

Oto, co się w nim dzieje: Jest w łódce, bez wiosła, unosi się na jeziorze krwi. Dokoła widzi skaliste wybrzeże, a na skałach stoi boso piękna kobieta, która go woła.

Chce do niej dołączyć, ale ponieważ nie umie pływać, wiosłuje dłońmi, rozbryzgując krew, aż w coś uderza.

Na powierzchnię wypływa najpierw głowa, a potem z czerwonej wody wynurza się postać kobiety z wywróconymi oczami. Dzisiaj tą kobietą jest Julie, kasjerka z zeszłej nocy. Will siedzi w łódce bez wiosła, cofa się, a wokół niego wylaniają się twarze innych osób, wszystkie z białymi oczami i otwartymi ustami, ze śmiertelnie poranionymi szyjami. Tych wszystkich - mężczyzn i kobiety - zabił on.

Setki głów - seryjne randkowiczki, chorwackie kelnerki, francuska studentka na wymianie, pieczeniarze ze Stoker Club i Czarnego Narcyza, syberyjscy pasterze, Włoszki o łabędzich szyjach, niezliczone Rosjanki i Ukrainki - kołyszają się na powierzchni krwawego jeziora niczym boje.

Kobieta na brzegu nadal tam stoi i wciąż woła go do siebie. Teraz już widzi, kim jest. To Helen sprzed siedemnastu lat, i teraz, kiedy już o tym wie, pragnie z nią być bardziej niż kiedykolwiek. Pluskanie.

Ktoś płynie przez krwawe jezioro. Potem ktoś inny płynie rozpaczliwym kraulem.

To ciała. To zmarli płyną po niego.

Julie jest najbliżej. Z jej martwych oczu wychodzą źrenice, a jej ręka wynurza się z jeziora i chwytą się łodzi.

Potem, kiedy Julie podciąga się na pokład, Will słyszy coś jeszcze. Ktoś jest pod łódką, uderza w dno, chce się przebić.

Spogląda na brzeg w stronę Helen. Zniknęła. Na jej miejscu stoi teraz Alison Glenny - zadowolona z siebie, krótko ostrzyżona zastępczyni komendanta, która dowodzi policyjnymi działaniami przeciw wampirom. Przytakuje, jakby wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Otoczają go zwłoki, które dołączając do Julie, wyciągają zakrwawione ręce, chwytają się łodzi, a stukanie w dno się nasila. Kiedy Will zamyka oczy, ich ręce właśnie go dosięgają. Kiedy znowu je otwiera, jest w furgonetce z zaciągniętymi roletami.

To tylko sen.

Ten sam, co zawsze.

Bierze nóż i idzie do drzwi, zobaczyć, kto puka. To Helen.

- Właśnie mi się... Helen patrzy na nóż.

- Przepraszam - mówi Will, uśmiechając się. - Nawyk. Pełno tu KW. To cenny towar. Na Syberii zasadziła się na mnie grupa krwiopijców. Potężne chuje z Danii. W takich sytuacjach, jak wiesz, kły na wiele się nie zdają. - Zaprasza ją gestem, którym ona zapraszała go we śnie. - Chodź, wygrzejesz się w cieniu.

Helen zamyka oczy, odrzucając zaproszenie. Potem mówi cicho, żeby nie usłyszał ich żaden sąsiad.

- Peter usiłował ci przekazać, że masz stąd zniknąć. Nie jesteś nam potrzebny.

- Fakt, w rzeczy samej był trochę arogancki. Mogłabyś spróbować go przekonać, Hel?

Helen jest oniemiała.

- Co?

Nie podoba mu się to. Skulony jak jakiś garbus w furgonetce, nie prezentuje się dobrze.

- Przyzwyczyłaś się do słońca. Wejdz, usiądź.

- Nie do wiary - mówi zirytowana. - Chcesz, żebym porozmawiała z Peterem, żebyś mógł zostać?

- Tylko do poniedziałku, Hel. Muszę się trochę przyciąć.

- Nic tu po tobie. Ja i Peter chcemy, żebyś stąd odjechał.

- Rzecz w tym, że ostatnio trochę przegiąłem. Muszę się zaszyć w jakimś... spokojnym miejscu. Ściga mnie masa rozjuszonych krewnych. Zwłaszcza jeden.

To akurat prawda, i to od dłuższego czasu. W zeszłym roku dowiedział się z dobrze poinformowanych źródeł, że ktoś szuka „profesora Willa Radleya”. Ma wrażenie, że to uraza jeszcze z czasów uczelnianych. Wściekły ojciec albo żądny zemsty wdowiec. Nie martwi go wprawdzie bardziej niż Alison Glenny, ale to kolejne źródło napięć między wampirami ze Stowarzyszenia Sheridan.

- Ktoś zaczął zadawać pytania. Nie wiem kto, ale nie odpuszcza. Gdybym w związku z tym mógł...

- Narazić moją rodzinę na niebezpieczeństwo? Nie. W życiu. Will wysiada z furgonetki i zza zmrużonych powiek widzi ptaki, które spłoszone odlatują z pobliskich drzew. Helen, równie zaniepokojona, rozgląda się po ulicy. Will podąża za jej wzrokiem i widzi idącą o lasce staruszkę.

- Rany, będzie potrzebny wysoki faktor - mówi i mruga oślepiiony słońcem.

Will nadal trzyma nóż.

- Co ty wyprawiasz? - pyta Helen. Staruszka do nich podchodzi.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, pani Thomas.

Pani Thomas uśmiecha się do Willa, który niedbale unosi dłoń z nożem i macha nią w geście pozdrowienia. Uśmiecha się.

- Pani Thomas.

Droczenie się z Helen sprawia mu przyjemność, a ona jest przerażona. Pani Thomas chyba nie zauważyła noża, a w każdym razie jej nie zaniepokoił.

- Dzień dobry - odpowiada im przyjaźnie skrzekliwy głos. Pani Thomas rusza dalej przed siebie.

Helen rzuca Willowi piorunujące spojrzenie, więc ten postanawia jeszcze bardziej ją rozdrażnić i udaje zaskoczenie na widok trzymanego noża.

- Ups! - Wrzuca nóż od niechcienia do furgonetki, twarz piecze go od słońca. Helen spogląda na dom obok, z którego wychodzi Mark Felt z wiadrem i gąbką. Zaczyna myć samochód. Mężczyzna, ku rozbawieniu Willa, wygląda na zaniepokojonego złowrogim towarzyszem Helen.

- Wszystko w porządku, Helen?

- Tak, Mark.

Zabrawszy się do szorowania dachu swojego drogiego samochodu, Mark zerka co jakiś czas na Helen nieco podejrzliwie.

- U Clary wszystko w porządku? - pyta, wręcz agresywnie, kiedy pienista woda ścieka po oknach.

Co oni właściwie powiedzieli sąsiadom?, zastanawia się Will, obserwując nerwowe zachowanie Helen.

- Tak, wszystko gra - odpowiada. - Teraz już dobrze się czuje. Takie tam... problemy nastolatek.

Kolejny zabawny moment. Helen zdaje sobie sprawę, że powinna przedstawić Willa Markowi, ale nie potrafi się na to zdobyć. Will przygląda się zdumiony płaczącej się Helen, niczym obcej osobie.

- To dobrze - komentuje Mark, niespecjalnie przekonany. - Cieszę się, że wszystko u niej tip-top. O której Peter wraca z przychodni?

Helen wzrusza ramionami, wyraźnie dążąc do zakończenia rozmowy.

- W soboty to zależy. Koło piątej. Czwartej, piątej...

- Jasne.

Helen przytakuje i uśmiecha się, ale Mark jeszcze nie skończył.

- Chciałbym kiedyś wpaść i pokazać wam plany. Chociaż może lepiej jutro. Idę później na golfa.

- Jasne - mówi Helen.

Will z trudem powstrzymuje uśmieszek.

- Przejdźmy do konkretów w domu - szepcze Helen.

Will przytakuje i idzie za nią do frontowych drzwi.

Podryw nieco agresywny, ale co tam. Uwiodłaś mnie.

PARYŻ

Chwilę później Will siedzi wygodnie na kanapie w gustownie urządzonym salonie. Helen stoi do niego plecami, wygląda na taras i ogródek. Ciągle jest piękna, pomimo decyzji o przejściu na stronę nieubłaganej śmiertelności. Mogłaby być stara i pomarszczona jak orzech, a on nadal by jej pragnął.

Jest jak matryoszka. Pod nerwową małomiasteczkową maską kryją się inne, lepsze oblicza Helen. Jest tego pewien. Helen, z którą leciał kiedyś nad morzem, ręka w zakrwawioną rękę. Czuje tętniącą w jej żyłach żądzę życia, ryzyka. Wie, że to właściwa chwila, żeby dać jej impuls, zmusić ją, żeby przypomniała sobie siebie z lepszych czasów.

- Pamiętasz Paryż? - pyta. - Tę noc, kiedy tam poleciliśmy i wylądowaliśmy w ogrodzie Muzeum Rodina?

- Mów ciszej - upomina go. - Rowan jest na górze.

- Słucha muzyki. Nic nie usłyszy. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy myślisz jeszcze o Paryżu.

- Czasami tak. Myślę o wielu rzeczach. Myślę o tobie. Myślę o sobie, jaka byłam kiedyś. Ile musiałam poświęcić, żeby przenieść się tu, między normalnych ludzi. Czasami mam ochotę, sama nie wiem, przestać się maskować i wyjść nago na ulicę, żeby zobaczyć, co ludzie powiedzą. Ale próbuję wymazać błąd, Will. Dlatego tak żyję. To był jeden wielki błąd.

Will podnosi wazon i zagląda do czarnego rzeźbionego otworu.

- To nie jest życie, Helen. Ta miejscina to kostnica. Czuć tu martwymi marzeniami.

Helen mówi cicho.

- Byłam z Peterem. Byłam z nim zaręczona. Kochałam go. Dlaczego musieliśmy to zmieniać? Dlaczego się na mnie uwzięłeś? O co ci chodziło? Co sprawia, że pojawiaasz się jak koszmar, żeby wszystko zniszczyć? Rywalizacja między braćmi? Nuda? Klasyczne kompleksy? Zabić albo zgnoić cały świat, żeby nie było już komu zazdrościć? O to chodzi?

Will uśmiecha się. Teraz widzi w niej część dawnej Helen.

- Daj spokój, z monogamią nigdy nie było ci do twarzy.

- Byłam młoda i głupia. Kurewsko głupia. Nie rozumiałam konsekwencji.

- Cały tamten rok był głupi. Biedny Pete. Nie powinien był przechodzić na nocną zmianę... Nigdy mu nie powiedziałaś, prawda?

- Komu? - pyta.

- Na razie mówimy o Peterze. Helen zasłania oczy dłonią.

- Ty rozumiałeś, co się dzieje.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi - mówi Will powoli, jak gdyby sama data była czymś delikatnym i cennym. - Wyborny rok. Zachowałem naszą pamiątkę. Wiesz, jaki jestem sentymentalny.

- Zatrzymałeś moją... - Oczy Helen robią się wielkie z przerażenia.

- Oczywiście. Na moim miejscu nie zrobiłabyś tego samego? - Zaczyna deklamować: - Mieszkać na serca twojego przedmieściach?⁷ - uśmiecha się. - To pytanie retoryczne. Wiem, że jestem ścisłym centrum miasta. Jestem wieżą Eiffla. Ale owszem, zachowałem twoją krew. I jestem raczej pewien, że Pete by ją poznał. Zawsze był takim specem od krwi. A, i zachowałem też listy...

Will ostrożnie odstawia wazon na stół.

- Chcesz mnie szantażować? - szepcze Helen. Jej oskarżenie oburza go:

- Nie bagatelizuj swoich uczuć, Helen. W listach byłeś dla mnie taka miła.

- Kocham swoją rodzinę. To są moje uczucia. Rodzina, myśli.

- Rodzina - powtarza Will. Samo słowo brzmi, jak gdyby było głodne. -

Wliczamy w to Petera czy trzymamy się dzieci?

Helen miażdży go wzrokiem.

- Nie bądź śmieszny. Myślisz, że dalej coś do ciebie czuję, bo zainicjowałeś mnie przed nim?

Kiedy Helen to mówi, Rowan idzie po schodach i słyszy ich. Nie zauważyli go. Rowan nie rozróżnia wyrazów, ale dociera do niego zaciekły głos matki. Zatrzymuje się, żeby posłuchać, co mówi Will. Jego słowa są wyraźne, choć pozbawione sensu.

- Przed nim? - powtarza za nią Will, a w jego głosie pojawia się gniew. - Nie można zainicjować kogoś dwa razy, Helen. Sporo rzeczy wyleciało ci z głowy. Może przydałyby ci się korepetycje...

Rowan przechyla się w lewo i słysząc skrzypnięcie podłogi. Głosy urywają się i przez chwilę dochodzi tylko tykanie małego antycznego zegara przy telefonie.

- Rowan?

Głos matki. Rowan rozważa, czy się odezwać.

- Boli mnie głowa - mówi w końcu. - Chyba wezmę tabletkę. Potem wychodzę.

- Aha - mówi matka po długiej przerwie. - Dobrze. W porządku. Kiedy...

- Później - przerywa jej Rowan.

- Jasne, później. To do zobaczenia.

W jej głosie rozpoznaje chyba fałsz. Skąd jednak ma po tym wszystkim wiedzieć, co jest fałszem, a co nie? Wszystko, w co wierzył, okazało się złudzeniem. Chciałby za to zniechęcić rodziców, ale nienawiść to silne uczucie, dla silnych ludzi, a on jest najsłabszym ze słabeuszy.

Idzie korytarzem do kuchni. Otwiera szafkę z lekarstwami i wyjmuje z pudełka ibuprofen. Przygląda się uważnie nieskazitelnie białemu plastikowemu opakowaniu.

Zastanawia się, czy wystarczyłoby, żeby się zabić.

⁷ W. Szekspir, Juliusz Cezar, przeł. Leon Ulrich, w: Dzieła dramatyczne Williama Shakespeara, t. VII, Gebethner i Spółka, Warszawa 1895.

OPARTY O CIS

Słyszą, jak Rowan wchodzi do kuchni. Jak otwiera i zamyka szafkę. Potem wychodzi z domu, i kiedy Helen słyszy, że zamknął drzwi, znowu może swobodnie oddychać. Ale to tylko chwila odprężenia, którą zaraz przerywa Will.

- Mogło być gorzej - komentuje. - Mógł znaleźć listy. Albo to mógł być Peter.

- Will, zamknij się. Po prostu się zamknij.

Jej gniew jest zaraźliwy. Will wstaje i zbliża się do Helen, przez cały czas mówiąc do nieobecnego Petera.

- Wiesz, Pete, zawsze mnie intrygowało, że jesteś taki słaby z matmy. Przy twoim wykształceniu. I do tego lekarz... Jasne, dostałeś od Helen fałszywe daty, a nastraszenie konsultantki sprawiło mi sporo radochy, a mimo to...

- Zamknij się, zamknij się, zamknij się. - Helen nie myśli. Rzuca się na Willa, drapie go po twarzy i czuje wielką satysfakcję. Will przykłada palec do ust, potem go jej pokazuje. Helen patrzy na krew, krew, którą tak dobrze знаła i kochała. Ma go tuż przed sobą - smak, który pozwoliłby jej zapomnieć o wszystkim. Żeby zapanować nad instynktem, musi wybiec z pokoju. Kiedy Will woła, między słowami słysząc śmiech.

- Tak jak mówiłem, Hel, tylko do poniedziałku.

Rowan siedzi na przykościelnym cmentarzu oparty o cis, z dala od ulicy. Wziął całe opakowanie ibuprofenu, ale czuje się tak samo jak pół godziny temu, choć ból głowy minął.

To koszmar, myśli. Być uwięzionym w życiu, odsiadując długi i straszny wyrok na jakieś dwieście lat bez możliwości ucieczki.

Żałuje, że nie zapytał taty, jak zabić wampira. Chciałby się dowiedzieć, czy samobójstwo jest możliwe. Może coś będzie w *Poradniku abstynenta*. W końcu podnosi się i rusza do domu. W połowie drogi widzi wysiadającą z autobusu Eve. Dziewczyna podchodzi do niego i nagle uświadamia sobie, że już nie zdąży się ukryć.

- Widziałeś siostrę? - pyta.

Wpatruje się w niego tak intensywnie, że Rowanowi odejmuje mowę.

- Nie - udaje mu się w końcu wydusić.

- Właśnie zniknęła mi gdzieś w Topshopie.

- O! Nie. Nie... nie widziałem jej.

Rowan martwi się o siostrę. Może zatrzymała ją policja. Przez chwilę zmartwienie bierze górę nad zdenerwowaniem, które dopada Rowana przy każdej rozmowie z Eve. Niepokój o Clarę przeradza się w poczucie winy na myśl o tym, że pół godziny temu chciał opuścić siostrę i cały świat.

- W każdym razie to było dziwne - tłumaczy Eve. - Poszliśmy razem i nagle znik...

- Eve! - krzyczy ktoś i biegnie do nich. - Eve, wszędzie cię szukam.

Eve przewraca oczami i wzdycha do Rowana, jakby ten był jej przyjacielem.

Ma teraz powód, żeby żyć.

- Przepraszam, muszę iść. Mój tata. Do zobaczenia.

Zbiera się na odwagę, żeby uśmiechnąć się do niej, ale wychodzi mu to, dopiero kiedy dziewczyna się odwraca.

- Jasne - odpowiada. - Do zobaczenia.

Parę godzin później, słuchając w łóżku ulubionego albumu The Smiths - *Meat is Murder* - zagląda do indeksu Poradnika abstynenta i na stronie 140 trafia na następujące informacje:

Uwagi o samobójstwie

Depresja i skłonności samobójcze to typowe problemy abstynentów.

Brak regularnego spożywania ludzkiej bądź wampirzej krwi ma znaczący wpływ na skład chemiczny mózgu. Poziom serotoniny jest często za niski, podczas gdy w sytuacjach kryzysowych niepokojąco rośnie produkcja kortyzolu. Jesteśmy wtedy skłonni podejmować pochopne decyzje, bez zastanowienia.

Oprócz tego trzeba oczywiście wziąć pod uwagę naturalną pogardę dla samych siebie, wynikającą ze świadomości, kim jesteśmy, oraz tragiczną ironię abstynentów: nienawidzimy swoich popędów po części dlatego, że ich nie realizujemy. W odróżnieniu od zaślepionych żądzą praktykujących krwiopijców zachowujemy trzeźwość umysłu, dzięki której widzimy potwora, który w nas drzemie. Wizja ta wielu z nas przerasta.

Zadaniem podręcznika nie jest ocena moralna tych, którzy postanowili zakończyć swoje istnienie. W rzeczy samej, w wielu przypadkach - na przykład abstynentów, którzy rozważają powrót na drogę występków i mordów - samobójstwo jest wręcz zalecane.

Należy jednak wziąć pod uwagę następujące fakty:

1. Choć abstynenci żyją tak jak ludzie, znacznie trudniej ich zabić.
2. Teoretycznie rzecz biorąc, da się popełnić samobójstwo, zażywając farmaceutyki, ale dawka znacznie przewyższa tę niezbędną do zglądzenia zwykłego śmiertelnika. Dla przykładu, przeciętny wampir musiałby spożyć około trzystu czterystumiligramowych tabletek paracetamolu.
3. Zatrucie tlenkiem węgla, rzucenie się z budynku i podcinanie żył są równie niepraktyczne. Zwłaszcza to ostatnie, gdyż widok i woń własnej krwi może wzbudzić natychmiastową potrzebę pozyskania świeżej dawki owej substancji z innych, żywych źródeł.

Zamykając książkę, Rowan czuje dziwną ulgę. W końcu gdyby się zabił, już nigdy nie zobaczyłby Eve, a ta myśl przeraża go bardziej niż perspektywa dalszego życia.

Zamyka oczy, kładzie się do łóżka i wsłuchuje w hałasy dobiegające z innych pokoi. Na parterze słychać terkot miksera mamy. Tata sapie ciężko na wiosłach treningowych w sypialni dla gości. Najwięcej hałasu robią Clara i Will, którzy śmieją się i słuchają rzeżących gitar.

Rowan koncentruje się na śmiechu siostry, reszta hałasów się zlewa. W śmiechu Gary słychać autentyczne i niezaprzeczalne szczęście. Brak regularnego spożywania ludzkiej bądź wampirzej krwi ma znaczący wpływ na skład chemiczny mózgu.

Czyli?

Rowan zamyka oczy i stara się nie myśleć o autentycznym i niezaprzeczalnym szczęściu, które mogłoby być również jego udziałem.

Kręci głową i usiłuje przepędzić tę wizję, ale ta trzyma się go uparcie, jak słodko-gorzki smak na języku.

WODA

Peter ćwiczy na wiosłach treningowych, dając z siebie więcej niż zwykle. Chciał przepłynąć pięć kilometrów w dwadzieścia minut, ale idzie mu znacznie lepiej. Sprawdza wyświetlacz. Cztery tysiące sześćset pięćdziesiąt trzy metry w piętnaście minut i pięć sekund. To znacznie szybciej niż zazwyczaj, co wyraźnie zawdzięcza wypitej wczoraj krwi.

Słyszy muzykę z pokoju Clary.

Hendrix.

Absurdalna krwawa muzyka z lat sześćdziesiątych, którą Will najwyraźniej nadal lubi tak samo, jak w wieku siedmiu lat, kiedy tańczył na krypie z ojcem do *Crosstown Traffic*.

Słyszy, jak Clara śmieje się z wujkiem.

Nie pozwala sobie jednak na dekoncentrację. Patrzy tylko na klawisze znajdujące się pod wyświetlaczem: „ZMIANA JEDNOSTKI. ZMIANA TRYBU”.

Producent sprzętu zna potęgę tego słowa. ZMIANA.

Myśli o Lornie i mamrocze do rytmu ćwiczeń, na ostatnich stu metrach dając z siebie wszystko.

- Jazz. Jazz. Jazz... Kurwa.

Zatrzymuje się, patrzy, jak całkowita odległość rośnie przy ostatnich obrotach. Koniec końców, zatrzymuje się na 5068 metrach. Zajęło mu to siedemnaście minut i dwadzieścia dwie sekundy.

Robi wrażenie.

Poprawił dotychczasowy rekord o dobre cztery minuty. Choć jest teraz tak bardzo zmęczony, że nie ma siły zejść.

Niewiarygodnie spragniony, spogląda na nabrzmiąle na przedramieniu żyły.

Nie, mówi sobie. Woda wystarczy.

Woda.

Do tego sprowadza się obecnie jego życie. Do czystej, nudnej, pozbawionej smaku wody.

A utopić się w niej można tak samo jak we krwi.

Clara słucha prehistorycznej muzyki gitarowej, którą ściągnęła z internetu za namową Willa i nawet nie próbuje udawać, że się jej podoba.

- Nie - mówi ze śmiechem. - To beznadzieja.

- To przecież Jimi Hendrix - mówi Will, jakby to wyjaśniało wszystko. - Jeden z najbardziej utalentowanych krwiopijców w historii! Zdarzało mu się grać na gitarze kłami. Na scenie. I nikt nie zauważył - śmieje się. - Tata nam to opowiadał, zanim... - Will urywa na chwilę i Clara chce go zapytać o ojca, ale widzi w jego oczach ból. Pozwala mu skończyć opowieść o Jimim Hendriksie. -

Bezkrwawcy myśleli, że to sprawka LSD. Nigdy nie zapytali, co to za purpurowe opary⁸. Oczywiście to nie były żadne opary. „Purpurowe żyły” to byłaby lekka przesada. Prince miał ten sam problem. Ale potem przeszedł na abstynencję, został świadkiem Jehowy i zszedł na psy. Nie to, co Jimi. Ten sfingował swoją śmierć i nadal działa. Nazywa się Orson Parry. Parry. Prowadzi krwawy klub rockowy o nazwie Raj Kobiet w Portland w Oregonie.

Clara opiera się o ścianę sypialni, zwiesza stopy z łóżka.

- Tak czy siak, nie kręć mnie ciągnące się w nieskończoność solówki na gitarze. To tak jak ci wokaliści, którzy, by się popisać, przechodzą przez całą gamę, po czym wyśpiewują jeden wyraz. A człowiek sobie wtedy myśli: stary, do rzeczy.

Will kręci głową, wręcz ze współczuciem, potem popija krew z przyniesionej z furgonetki butelki.

- Mmm. Zapomniałem, jak ta pani wybornie smakuje.

- Kto?

Pokazuje Clarze odręcznie podpisaną etykietę. Druga butelka tego wieczoru. Pierwsza - ALICE - którą wydoił jednym haustem - leżała pod łóżkiem Clary.

„ROSELLA-2001”.

- Ta... była przepiękna. Unaguapa.

Clara jest tylko trochę zaniepokojona.

- Czyli je zabiłeś? Wujek udaje oburzenie.

- Za kogo ty mnie masz?

- Za żadnego krwi wampira mordercę.

Will wzrusza ramionami, jakby chciał jej przyznać rację.

- Ludzka krew szybko się psuje - wyjaśnia. - Nabiera metalicznego smaku, nie ma sensu trzymać jej w butelkach. Hemoglobina we krwi wampira nigdy się nie zmienia. A właśnie tam odbywa się cała magia - w hemoglobinie. Tak czy siak - Rosella to wamp. Hiszpanka. Spotkałem ją, kiedy byłem przelotem w Walencji. Miasto wampirów. Jak Manchester. Zaczęliśmy ze sobą kręcić. Wymieniliśmy się upominkami. Skosztuj jej.

Will podaje Clarze butelkę, patrzy, jak dziewczyna rozważa propozycję.

- Wiesz, że masz ochotę.

W końcu Clara poddaje się i bierze butelkę, podtyka ją sobie pod nos i wacha, żeby poczuć, czego za chwilę spróbuje. Willa to bawi.

- Odrobina cytrusa, nutka dębu i powiew wiecznego życia.

Clara pociąga łyk i zamyka oczy, delektując się słodkim dreszczem po wypiciu krwi. Potem zaczyna chichotać, a chichot przechodzi w rechotliwy śmiech.

⁸ Purple Haze - tytuł albumu Jimiego Hendriksa.

Uwagę Willa zwraca zdjęcie na korkowej tablicy. Obok Clary stoi ładna blondynka. Przychodzi mu do głowy niepokojąca myśl, że skądś ją zna.

- Kto to jest?

- Kto? - pyta Clara, która właśnie się uspokoiła.

- Ta Olivia Newton John.

- A, Eve. Gwiazda. Trochę ją dzisiaj wystawiłam do wiatru. Zostawiłam ją w Topshopie. Spanikowałam, że coś zrobię w przebieralni.

Will przytakuje.

- Atak PZK. Przyzwyczaisz się.

- PZK?

- Przemoczna Żądza Krwi. Tak czy inaczej, wracając do Eve.

- Właśnie. Jest tu nowa. Dopiero co się przeprowadziła. - Clara pociąga kolejny łyk. Wyciera sobie usta. Coś przyszło jej do głowy i znowu się śmieje. - Miłość Rowana. Są w jednej klasie, ale on nie może się zdobyć na to, żeby z nią pogadać. Tragedia. Jej tata jest zdrowo pokrecony. Eve ma siedemnaście lat i musi prosić o pozwolenie za każdym razem, kiedy chce wyjść z domu. Wcześniej mieszkała w Manchesterze.

Clara nie zwraca uwagi na poważne spojrzenie Willa.

- W Manchesterze?

- Tak, są tu dopiero od kilku miesięcy.

- Jasne - mówi i spogląda na drzwi. Te za chwilę się otwierają i staje w nich wściekła Helen w fartuchu. Kiedy wchodzi do pokoju, psuje nastrój. Zaciska szczękę na widok butelek krwi.

- Mógłbyś łaskawie zabrać to - i siebie - z pokoju mojej córki?

Will uśmiecha się.

- A, dobrze. Już jesteś. Właśnie martwiliśmy się, że za dobrze się bawimy.

Clara, ciągle podekscytowana, tłumi parsknięcie.

Helen nic nie mówi, ale jej mina nie pozostawia żadnych wątpliwości - jej cierpliwość jest właśnie na wyczerpaniu. Will wstaje z podłogi. Mijając Helen, nachyla się i szepcze jej na ucho coś, czego Clara nie słyszy.

Coś, co bardzo niepokoi jej mamę.

- Hej! - obrusza się Clara. - Co to za tajemnice?!

Nikt jej nie odpowiada. Will wyszedł już z pokoju, a Helen stoi nieruchomo, wyglądając jak figura woskowa.

Clara widzi, jak za plecami Helen Will rozmawia z ojcem. Peter jest spocony i czerwony po ćwiczeniach. Brat chce go poczęstować krwią z butelki.

- Idę wziąć prysznic - odmawia szorstko i pędzi do łazienki.

- Boże - mówi Clara do oniemiałej matki. - A temu o co chodzi?

SZKARŁATNE OPARY

Peterowi chodzi, między innymi, o to.

Kiedy miał osiem lat, w latach siedemdziesiątych, Will uratował mu życie. Dwóch mężczyzn, których tożsamości ani motywacji nigdy nie poznał, włamało się na barcę, na której mieszkali, z zamiarem przebicia serc ich rodziców specjalnie w tym celu zaostrzonymi kawałkami głogowego drewna.

Petera obudziły ich rozzdzierające wrzaski i schował się pod przesiąkniętą moczem kołdrą. Potem mężczyźni poszli do małej sypialni Petera, już bez kołków, za to z orientalnym mieczem.

Nadal ma ich przed oczami - wysokiego chudzielca w kurtce z brązowej skóry i zapuszczonego grubasa w T-shircie z Wejścia smoka.

Pamięta wielkie przerażenie na myśl, że zaraz umrze, i wielką ulgę, kiedy zrozumiał powód, dla którego wysoki zaczął nagle wyć z bólu.

Will.

Dziesięcioletni brat Petera uczepił się jego karku niczym nietoperz i wgryzł się w niego, obryzgując krwią wszystkie leżące na podłodze longplaye Hendriksa i The Doors.

Jednak prawdziwy dowód braterskiej miłości Will dał w trakcie drugiego pojedynku. Podtuczony fan Bruce'a Lee podniósł miecz przyjaciela i skierował go w stronę lecącego nad nim w powietrzu dziesięciolatka.

Will dawał Peterowi znaki. Starał się zasugerować mu ucieczkę do drzwi, aby mogli stamtąd wylecieć bez konieczności stawiania czoła właścicielowi miecza. Jednak strach przyłgnał do Petera wraz z wilgotną pościelą i chłopiec się nie ruszył. Leżał i patrzył, jak Will płąsa niczym mucha w starciu z tnącym zaciekle samurajem, jak miecz paskudnie przecina mu rękę i jak chłopcu w końcu udaje się zatopić kły w twarzy i czaszce przeciwnika.

Potem Will wyciągnął Petera z łóżka i poprowadził go po zbryzganej krwią podłodze, nad ciałami, przez wąski kambuz i po schodach. Kazał Peterowi poczekać na brzegu. Peter posłuchał go, i w miarę jak docierało do niego, że rodzice nie żyją, po twarzy ciekły mu łzy.

Will podpałił barcę, zabrał brata i odlecieli.

Jakiś tydzień później Will skontaktował się z kobietą z wampirzyńca i znalazł im dom. Przygarnęli ich Arthur i Alice Castle - dwójka kulturalnych abstynentów i miłośników krzyżówek - uosobienie wszystkiego, czego przysięgli się wystrzegać Will i Peter.

Will oczywiście nie był najlepszym wzorem.

Kiedy byli nastolatkami, systematycznie sprowadzał młodszego brata na złą drogę. Namówił go, żeby wgryzł się w Chantal Feuillade, francuską studentkę na wymianie, której zarazem nienawidzili i pragnęli. Potem były wycieczki do Londynu o „krwawych” porach. Podpatrywanie wampirów punków w Stoker Club. Zakupy w sklepach dla wampirów, jak Zgryz na King's

Road albo Róż w Soho, gdzie byli najmłodszymi klientami. Gra na bębnach z bratem w Hemogoblinach. (I odgrywanie dynamiki McCartney-Lennon, kiedy Peter ułożył tekst ich jedynej autorskiej piosenki *Kiedy cię kosztuję, smakujesz wiśniami*). Zasuszanie krwi i jej palenie, odurzanie się szkarłatnymi oparami przed pójściem do szkoły.

Will z całą pewnością sprowadził go na manowce, ale uratował mu życie, i to nie mogło pozostać dla niego bez znaczenia.

Peter zamyka oczy pod prysznicem.

Pograża się we wspomnieniach.

Widzi płonącą barękę na wodzie wiele kilometrów pod nim, która coraz bardziej się oddala, a oni coraz wyżej się wznoszą. Zmniejsza się i znika. Jak złote światło dzieciństwa pochłonięte przez falę mroku.

UPIÓR JAK SIĘ PATRZY

Helen coraz bardziej się martwi. Jutro wyruszy ekipa z psami na poszukiwanie chłopca. Mogą wysłać wiele grup, które przeczeszą każde pole stąd do Farley.

Mogą znaleźć krew i ślady na ziemi. A przedtem, być może jutro rano, policja przyjdzie przepytac w tej sprawie Clare.

Tylko trzy fakty ją pocieszają.

Po pierwsze, nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie podejrzewał niskiej, drobnej, piętnastoletniej weganki, która nigdy nie została nawet odesłana za karę do domu, o zamordowanie dwa razy większego od niej chłopca.

Po drugie, wczoraj widziała córkę pod prysznicem nago i dziewczyna nie miała na sobie najmniejszego draśnięcia. Nawet jeżeli znajdą krew, to nie będzie krew Clary. Prawdą jest, że zostały tam jej ślady DNA, zaczynając od śladów śliny zmieszanej z krwią ale postawienie hipotezy, jakoby Clara zabiła chłopca bez żadnej broni i nie dając się nawet zadrasnąć, wymagałoby ponadprzeciętnego polotu.

I po trzecie, nikt nie znajdzie zwłok chłopca - niezbitego dowodu morderstwa - gdyż Peter zapewnił ją, że wyrzucił je do morza, bardzo daleko od brzegu.

Cała nadzieja w tym, że kombinacja tych trzech faktów uniemożliwi policji dojście do wniosku, że Clara jest wampirzycą

Pomimo tego Helen nie może pozbyć się uczucia, że sprawa jest mocno pogmatwana. Zeszłej nocy nie mieli czasu, żeby usunąć ślady opon, czego nie omieszkaliby zrobić za dawnych czasów. Może Peter powinien sam wrócić później, nad ranem, i zatrzeć ślady, które zostawił, wlokąc ciężkie ciało. Może powinni to zrobić teraz, zanim będzie za późno. Może powinna przestać modlić się o ulewę i wykazać inicjatywę.

Oczywiście wie, że gdyby wczoraj w nocy napiła się krwi, teraz podchodziłaby do sprawy na luzie, tak jak mąż i córka. Szklanka byłaby do połowy pełna, a nie w połowie pusta, jak to się mówi, i Helen byłaby przekonana, że mając Willa przy sobie, uda się wyhemipnotyzować z każdej sytuacji. Żaden policjant w North Yorkshire nie pomyśli nawet, że ich córka to morderczyni, a co dopiero upiór jak się patrzy.

Nie piła jednak ostatnio krwi i niepokój szaleje jej w sercu niczym horda wygłodniałych psów. A największym i najbardziej wygłodniałym psem jest sam Will. Za każdym razem, kiedy wygląda przez okno i widzi jego furgonetkę, ma wrażenie, że to znak, który wyjawia światu winę Clary, winę Radleyów.

Po kolacji Helen próbuje ubrać w słowa swoje wątpliwości. Przypomnieć wszystkim, że niedługo upłyną dwadzieścia cztery godziny od zniknięcia chłopca i policja będzie zadawać pytania i że powinni opracować solidne alibi. Ale nikt jej nie słucha, oprócz Willa, który bagatelizuje jej obawy.

Will opowiada Helen i Peterowi, jak bardzo się zmieniły policyjne zwyczaje.

- Wampiryzm urósł w siłę w połowie lat dziewięćdziesiątych. Powstało stowarzyszenie, które nawiązało kontakt z policją. Mają listę nietykalnych. Znacze wampiry. Zawsze kręciła je szczypta hierarchii. Tak czy siak, jestem na tej liście.

To niewielka pociecha dla Helen.

- Ale Clary tam nie ma. I nas też nie.

- To prawda. I Stowarzyszenie Sheridan przyjmuje tylko tych najaktywniejszych, ale z drugiej strony - nocka wciąż młoda. Moglibyśmy wyruszyć na łowy.

Helen posyła mu gniewne spojrzenie.

- Posłuchaj - mówi Will. - To nie policją powinnaś się przejmować. A w każdym razie nie tylko policją. Groźni są ludzie, których skrzywdziliście. Ci, którym naprawdę zależy. Matki, ojcowie, mężowie i żony. Z nimi trudniej sobie poradzić. - Wytrzymuje jej spojrzenie i uśmiecha się tak znacząco, że Helen wyczuwa przez skórę jego tajemnice. - Widzisz, Helen, kiedy wchodzisz komuś z buciarami w życie uczuciowe, wtedy masz faktycznie powody do zmartwień.

Sącząc kieliszek krwi, Will wyciąga się na kanapie i Helen przypomina sobie tę noc w Paryżu. Jak całowała się z nim na dachu Musee d'Orsay. Jak trzymając go za rękę, podeszła z nim do recepcjonistki w ekskluzywnym hotelu na Avenue Montaigne i patrzyła, jak Will hemipnotyzuje ją i zmusza, żeby dała im apartament prezydencki. Ciągłe wygląda tak samo jak wtedy, a jego twarz przywodzi wspomnienia jak zawsze świeże, cudowne i przerażające zarazem.

Te wspomnienia wybijają Helen z rytmu i gubi wątek. Czy Will zrobił to celowo? Czy wniknął do jej umysłu i namieszał? Zdekoncentrowana Helen z ubolewaniem obserwuje, jak wieczór zamienia się w *Wywiad z wampirem*, a Will - zasypywany pytaniami Clary - delektuje się rolą naczelnego krwiopijcy. Uwagi Helen nie uchodzi też zainteresowanie Rowana opowieściami Willa. Tylko jej mąż jest niewzruszony. Siedzi zgarbiony na skórzanym fotelu, wpatrzony w dokument o Louisie Armstrongu, który leci z wyłączonym dźwiękiem na BBC Four, pogrążony we własnym świecie.

- Zabiłeś wielu ludzi? - pyta Clara.

- Tak.

- Jasne, czyli żeby napić się czyjejś krwi, trzeba ich najpierw zabić?

- Nie, można ich zainicjować.

- Zainicjować?

Will przez chwilę nie odpowiada i spogląda na Helen.

- Oczywiście nie każdego da się zainicjować. To poważna sprawa. Trzeba napić się czyjejś krwi, potem ten ktoś pije twoją. To wymiana. I zobowiązanie. Jeżeli się kogoś zainicjuje, to będzie cię pożądać. Kochać do końca twoich dni. Niezależnie od świadomości, że ta miłość to najgorsze, co mogło mu się przytrafić. Nie będzie w stanie nic na to poradzić.

Ta rewelacja wyjątkowo intryguje Rowana. Helen widzi, jak wzrok wyostrza mu się na myśl o takiej miłości.

- Nawet jeżeli mu się nie podobasz? - pyta. - Po inicjacji będzie cię kochać?

Will przytakuje.

- Tak to właśnie wygląda.

Helen jest pewna, że słyszy, jak jej mąż mruczy coś pod nosem. Jazz?

- Peter, mówiłeś coś?

Podnosi wzrok, jak pies, któremu na chwilę wyleciało z głowy, że ma właściciela.

- Nie - odpowiada zaniepokojony. - Chyba nie. Clara kontynuuje przesłuchanie.

- Zainicjowałeś kogoś? - pyta wuja.

Odpowiadając, Will przygląda się Helen. Od jego głosu przechodzi ją dreszcz niepokoju i mimowolnego podniecenia.

- Tak. Kiedyś. Wieki temu. Zamykasz oczy i próbujesz zapomnieć. Ale się nie da. To jest jak stara piosenka, która ciągle chodzi ci po głowie.

- To była twoja żona?

- Clara - upomina ją Helen głośniej i bardziej stanowczo, niż powinna. - Dostyc.

Will upaja się jej zakłopotaniem.

- Nie, nie moja.

CZARNY NARCYZ

Wiele godzin później, kiedy reszta Radleyów już śpi, Will leci na południowy zachód, do Manchesteru. Udaje się do klubu, do którego zwykle chodzi w sobotnie wieczory, do Czarnego Narcyza. Przechodzi przez tłum krwiopicjów i pozerów, podstarzałych fanów gotyku, dzieciaków spod znaku emo i wampirów ze Stowarzyszenia Sheridan. Przechodzi przez parkiet pełen lalusiów i idzie na piętro, mija Henriettę i małą czerwoną tabliczkę na ścianie: „SALA VIV-ów”.

- Henrietta - mówi, czując, że go ignoruje. I dziwi go to. Krwiopicjcy wszelkiej maści leżą rozwaleni na podniszczonych skórzanych kanapach, słuchają Nicka Cave'a i popijają z butelek i szyj. Na ścianie leci stary niemiecki horror - nieme wrzaski i niepokojące ujęcia.

Choć Will jest tu wszystkim dobrze znany, nastrój jest dziś o wiele mniej przyjazny niż zazwyczaj. Nikt nie przystaje na pogawędkę. Ale jemu jest wszystko jedno. Podchodzi do zasłony. Uśmiecha się do Vince'a i Raymonda, ale ci nie odwzajemniają uśmiechu. Odsuwa zasłonę.

Za nią widzi to, czego się spodziewał. Isobel i gromadka znajomych opijają się krwią z dwóch par nagich zwłok na podłodze.

- Cześć, myślałam, że nie przyjdiesz - mówi Isobel, podnosząc głowę. Przynajmniej ją cieszy obecność Willa. Ten się jej przygląda; usiłuje wykrzesać z siebie pożądanie, zerkając na widoczny wśród krwi tatuaż „GRYŹĆ TUTAJ”. Jest ponętna - trochę w stylu retrowampa z lat siedemdziesiątych, trochę w stylu Pam Grier ze *Scream Blacula Scream*. Choć tak naprawdę jej widok powinien wzbudzać nieco silniejsze pożądanie.

- Niezła - mówi. - Sam spróbuj.

Ciała na podłodze nie wyglądają tak smakowicie jak zazwyczaj.

- Spasuję - odpowiada.

Kilku znajomych Isobel o zakrwawionych twarzach mierzy go bez słowa beznamiętnym wzrokiem. Krwiszony z Sheridan. Wśród nich Otto, brat Isobel. Otto nigdy go nie lubił, tak jak zresztą żadnego mężczyzny, który zdobył serce jego siostry, ale tej nocy nienawiść w jego oczach połyskuje silniej niż kiedykolwiek.

Will przywołuje Isobel skinieniem do cichego zakątka, gdzie siadają na ogromnej fioletowej poduszce. Druga co do smaku kobieta, jaką poznał. Lepsza od Roselli. Lepsza od tysiąca innych. I chce się dowiedzieć, czy będzie umiał zapomnieć o Helen. Odejść, jeżeli zajdzie taka konieczność.

- Chcę cię skosztować - oznajmia Will.

- Na dole możesz mnie sobie kupić w butelce.

- Wiem. To też. Ale chcę świeżej.

Jego prośba zasmuca ją, jakby niepokoiła ją żądza, którą w niej wzbudza. Mimo to nadstawia szyję, a on się częstuje. Zamyka oczy i koncentruje się na jej smaku.

- Podobało ci się wczoraj w nocy? - pyta go.

Nie przerywając ssania, Will zastanawia się, o czym mowa.

- Alison Glenny węszyła. W sprawie dziewczyny z supermarketu. Przypomina sobie, jak miłośniczka gotyku - Julie, czy jak ją zwał - wrzeszczy i szarpie go za włosy. Przestaje ssać Isobel.

- I? - pyta, wskazując na martwą, wpół zjedzoną parę po drugiej stronie pokoju.

- I twoją furgonetkę nagrała kamera przemysłowa. Jedyny pojazd na parkingu.

Will wzdycha. Jak praktykować, to zgodnie z zasadami. Trzeba wybierać ofiary, których zniknięcie łatwo zatuszować - niedoszłych samobójców, bezdomnych, nastolatki na gigancie, nielegalnych imigrantów.

Will nigdy nie trzymał się reguł. Jaki był sens folgowania żądzy, jeżeli nie można było... jej pofolgować? To było takie sztuczne, takie zasadniczo nieromantyczne, ograniczać pożądanie do tego, co bezpieczne. Choć prawdą jest, że swego czasu bardziej przykładał się do zacierania śladów morderstw.

- Chodzą słuchy, że robisz się nieuważny. Isobel zawsze potrafiła zepsuć atmosferę.

- Słuchy? Jakie słuchy? - Widzi, jak jej szczywany braciszek Otto zerka na niego znad jednego z ciał. - Chcesz powiedzieć, że Otto chce, żebym wypadł z listy?

- Musisz uważać. To chcę powiedzieć. Wszyscy możemy mieć przez ciebie kłopoty.

Will wzrusza ramionami.

- Isobel, policji nie obchodzą żadne listy - kłamie. - Gdyby chcieli mnie dorwać, to by to zrobili. Nie obchodzi ich, kto się z kim zna.

Isobel posyła mu srogie spojrzenie z gatunku tych, po które zwykle sięgają bezkrwawi mordercy.

- Glenny to obchodzi, możesz mi wierzyć.

- Isobel Child, muszę skonstatować, że intymne zwierzenia kiedyś lepiej ci wychodziły.

Głaszcze go po włosach.

- Martwię się o ciebie. To wszystko. Zachowujesz się, jakbyś chciał, żeby cię złapali.

Kiedy go całuje, Will rozważa, czy chce jeszcze się z nią napić.

- Nie krępuj się - mówi ponownie uwodzicielskim tonem. - Wyssij mnie do czysta.

Ale sprawa przedstawia się tak jak pięć minut temu. To go w ogóle nie kręci.

- Słuchaj - mówi cicho, znowu gładząc go po głowie. - To kiedy wybieramy się do Paryża? Od wieków mi to obiecujesz.

Paryż.

Dlaczego musiała to powiedzieć? Teraz nie będzie mógł przestać myśleć o pocałunku z Helen na dachu Musee d'Orsay.

- Nie. Nie do Paryża.

- No to gdzie indziej - odpowiada zaniepokojona, jakby wiedziała coś, czego on nie wie. - Przecież możemy polecieć wszędzie. Ty i ja. Będzie fajnie. Wyjedziemy z tego gównianego kraju i osiedlimy się daleko stąd.

Will wstaje.

Swego czasu zwiedził cały świat. Spędził wiele tygodni na nieskazitelnie białych, oszronionych brzegach Bajkału na Syberii. Upijał się w sztok w baśniowych krwawych burdelach starego Dubrownika, leżał w oparach czerwonego dymu w melinach Laosu, skorzystał z awarii sieci w Nowym Jorku w 1977, a ostatnio wgrzyzał się w girlsy z Vegas w apartamencie Deana Martina w Bellagio. Przyglądał się, jak hinduscy abstynenci zmywają swoje grzechy w Gangesie, tańczył tango o północy na bulwarze w Buenos Aires i ssał gejszę w cieniu pawilonu szoguna w Kioto. Ale teraz chce być tylko w North Yorkshire.

- Co jest? Prawie nic nie wypiliśmy - mówi Isobel, stukając palcem w gojącą się szyję.

- Nie mam dzisiaj ochoty - mówi. - W sumie będę się zbierać. Zatrzymałem się u rodziny.

Isobel jest urażona.

- Rodziny? - powtarza. - Jakiej rodziny?

Will się waha. Wątpi, czy Isobel by to zrozumiała.

- Po prostu... rodziny.

I zostawia ją na luksusowej poduszce z aksamitu.

- Will, zaczekaj...

- Przepraszam, muszę już iść. - Gna po schodach do szatni, gdzie kupuje butelkę krwi, której posmak nadal czuje na języku.

- Właścicielka jest na piętrze - podpowiada wychudły, łysy szatniarz, zdezorientowany wyborem Willa.

- Tak, Dorian, wiem - odpowiada Will. - Ale chciałbym się nią podzielić.

PINOT ROUGE

W Manchesterze, w wampirzej populacji znaczących rozmiarów, od miesięcy mówiło się o Willu Radleyu. I nie mówiło się o nim niczego dobrego.

Podczas gdy wcześniej otaczano go szacunkiem, uważając za doskonały przykład krwiopijcy, któremu mordy - dzięki trzymaniu się odpowiedniego typu bezkrwawców - uchodzą płazem, teraz coraz bardziej się wystawiał, niepotrzebnie ryzykował.

Wszystko zaczęło się od studentki, żony oficera wydziału śledczego. Oczywiście wtedy uszło mu to na sucho. Oddział ds. Bezimiennych Drapieżników, nieistniejąca oficjalnie jednostka policji Greater Manchesteru, zadbała o to, żeby relacja rzeczonego oficera - który był świadkiem uznanego później za zaginięcie morderstwa żony - nie została potraktowana poważnie.

Jednak do ostrożnych relacji między policją a społecznością wampirów - relacji opartych na dialogu między OdBD a brytyjską filią Stowarzyszenia Sheridan (luźno zhierarchizowaną organizacją dbającą o interesy wampirów) z siedzibą w Manchesterze - sprawa Copelandów wprowadziła wyjątkowe napięcie.

Mimo to przez jakiś czas Will miał silne wsparcie krwiopijców i nikt nie ugiął się pod presją policji, która chciała go zgładzić. O jego zdolnościach hemipnotyzerskich krążyły legendy, a jego wnikliwe analizy twórczości wampirycznych poetów: lorda Byrona i Elizabeth Barrett Browning (wydane w drugim obiegu przez oficynę Christabel), znalazły uznanie wśród członków Stowarzyszenia Sheridan.

Jednak po tym, jak zrezygnował ze stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Manchester, coraz trudniej było znaleźć usprawiedliwienie dla jego postępów. Popelniał coraz więcej zabójstw na ulicach miasta. I choć wiele z nich wydłużało tylko rejestr osób zaginionych, sama ich liczba była niepokojąca.

Wyglądało, jakby w psychice Willa pojawiły się jakieś zaburzenia.

Oczywiście większość praktykujących wampirów raz na jakiś czas zabija bezkrwawca, ale większość dba o utrzymanie delikatnej równowagi między mordami a mniej ryzykowną konsumpcją wampirzej krwi. Bądź co bądź, krew wampira jest zasadniczo lepszej jakości, a jej smak bardziej złożony i intensywniejszy niż niezainicjowanej istoty ludzkiej. A odmiana najsmaczniejsza - pinot rouge, który uznawany jest powszechnie za apogeum rozkoszy, to krew wypita z żył osoby tuż po inicjacji.

Jednak Willa nie interesowało inicjowanie. W rzeczy samej, krążyły plotki, jakoby Will zainicjował przez całe życie tylko jedną osobę i z niewiadomych przyczyn nie mógł tego powtórzyć. Nadal jednak pijał standardową wampirzą krew. W istocie pijał ją butelkami, podsysając w przerwach Isobel Child, z którą co jakiś czas romansował.

Tymczasem coraz trudniej było mu zaspokoić pragnienie. Wyruszał na nocne łowy i w gryzał się w kogo popadnie, wampira czy nie. Bez etatowego zatrudnienia mógł sypiać dłużej i miał więcej energii, żeby robić to, co chciał, i chodzić tam, dokąd chciał. Ale to nie była kwestia energii. Brawurowe zachowanie Willa - na przykład brak skrupułów w kwestii rejestracji morderstwa przez kamerę przemysłową - zaczęto postrzegać jako wyraźny objaw instynktu samozagłady.

Jeżeli coś mu się stanie - mówiono - to sam sobie będzie winien.

Jednak pomimo nasilającej się presji policji większość członków Stowarzyszenia Sheridan wierzyła, że Will pozostanie pod ochroną z uwagi na słabość, jaką miała do niego Isobel Child. Bądź co bądź, Isobel cieszyła się niezwykle popularnością w społeczności wampirów, a jej bratem był nie kto inny jak sam Otto Child, nadzorca listy.

Lista zawierała spis nietykalnych - praktykujących krwiopijców-morderców, których policja nie mogła ruszyć, nie ryzykując utraty zaufania i kontaktu ze stowarzyszeniem, i, co za tym idzie, ze społecznością wampirów en masse.

Oczywiście sprawa żadnej śmierci z rąk wampira nigdy nie skończyła się w sądzie, nie mówiąc już o jakimkolwiek wyroku. Od samego początku istnienia oddziałów policji wszystko tuszowano w imię dobra ogółu. Jednak nawet wtedy podejmowano pewne kroki. Zazwyczaj leżały one w gestii nielicznych policjantów wyszkolonych w obsłudze kuszy - broni niezbędnej do zgładzenia wampira. I w ten sposób delikwenci po prostu znikali. To bezkompromisowe podejście spowodowało jednak wyłącznie wzrost liczby inicjacji i policja zaczęła obawiać się rozległej i nagłośnionej wojny.

Dlatego też poszła na ustępstwa i zaproponowała ochronę niektórych wampirów przy założeniu, że ci będą przestrzegać określonych reguł. Oczywiście rozporządzenie to było moralnie mocno podejrzane. Współpracując ze Stowarzyszeniem Sheridan, policja faktycznie nagradzała wyjątkowo notorycznych i żądnych krwi wampirów, podczas gdy abstynenci i co bardziej umiarkowani podgryzacze byli poza ochroną. Logika policji była następująca - mając pod ochroną tych najgroźniejszych, będą mogli jednocześnie ich kontrolować i temperować ich zachowanie.

Według reguł dopuszczalne było morderstwo, które odbyło się bez świadków, zwłoki musiały zniknąć bez śladu, a ofiara powinna znajdować się poza kręgiem zainteresowania dziennikarzy tabloidów i przeciętnego obywatela. prostytutki, narkomani, bezdomni, nielegalni imigranci i chorzy na psychozę maniakalno-depresyjną byli na liście dań. Żony oficerów wydziału dochodzeniowo-śledczego, seryjne randkownicze i nawet kasjerki zarabiające minimum socjalne - nie.

Problem polegał na tym, że Will, choć był członkiem Stowarzyszenia Sheridan o imponującym stażu, nigdy powyższych zasad nie przestrzegał. Nie potrafił okiełznać swojej żądzy i wtłoczyć jej w ramy akceptowanych społecznie

i zalecanych przez policję reguł. Beztraska jego ostatnich morderstw spowodowała wzrost napięcia na linii policja - Stowarzyszenie Sheridan.

Przed piętnastoma dniami zastępca komendanta policji Greater Manchesteru, Alison Glenny, odebrała telefon podczas odprawy nowego rekruta OdBD. Dzwonił mężczyzna, którego znajomy, bezwzględny, zmęczony szept powiedział jej, że Will Radley wypadł z listy.

- Myślałam, że to wasz dobry przyjaciel - oznajmiła Alison, wyglądając przez okno z szóstego piętra Chester House na ulicę w godzinach szczytu. Samochody podjeżdżały i zatrzymywały się niczym paciorki na liczydło. - A w każdym razie dobry przyjaciel twojej siostry.

- Ale nie mój.

Alison wyczuła gorzki ton. Wiedziała, że lojalność wśród wampirów należy do rzadkości, ale mimo to zaskoczyła ją tak wyraźna pogarda wobec Willa.

- Jasne, Otto, myślałam tylko, że... Przerwał jej.

- Możesz mi zaufać, los Willa Radleya nikogo już nie obchodzi.

NIEDZIELA

Nigdy nie opowiadajcie o swojej przeszłości bezkrwawym znajomym i sąsiadom ani nie wychwalajcie ryzykownych uroków wampiryzmu niewtajemniczonym.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 29

DZIWOLĄGI

Można mieszkać tuż obok rodziny wampirów i nie mieć pojęcia, że ludzie, których macie za sąsiadów, w głębi duszy chcą wam wyssać krew z żył.

Jest to tym bardziej możliwe, jeżeli połowa wyżej wymienionej rodziny sama nie zdaje sobie z tego sprawy. I choć prawdą jest, że żaden z mieszkańców Orchard Lane 19 nie zrozumiał w pełni, z kim sąsiaduje, przez lata wychodziły różne podejrzone dziwactwa, które intrygowały Feltów.

Na przykład kiedyś Helen malowała portret Lorny - akt, zgodnie z życzeniem tejże - i musiała wybiec z pokoju chwilę po tym, jak pomogła Lornie odpiąć sprzączkę, tłumacząc się: „Przepraszam, Lorna, mam problemy z pęcherzem”.

Innym razem na grillu u Feltów Mark zastał w kuchni Petera, który wykrecił się od rozmów o sporcie z sąsiadami i podjadał surowy kawałek wyborowej polędwicy wołowej: „Jezu, rany... To przecież surowe mięso. Ale ze mnie gapa!”.

Parę miesięcy przed tym, jak Peter zadławił się czosnkiem z tajskiej sałatki Lorny, Feltowie niefortunnie zabrali ze sobą nowego psa, Gałkę, żeby przedstawić ją sąsiadom spod siedemnastki. Zwierzak dał dyla na widok ciasteczka, którym chciała go nakarmić Clara i walnął głową w drzwi na patio. („Nic jej nie będzie - zawyrokował Peter lekarskim tonem, kiedy wszyscy nachylali się nad leżącą na wykładzinie seterką. - Niegroźny wstrząs mózgu”).

Oprócz tego były też drobiazgi.

Sąsiadów dziwiło na przykład, dlaczego Radleyowie zawsze w słoneczne dni opuszczali rolety. Dlaczego, żeby dać inny przykład, Petera nigdy nie można było namówić, żeby wstąpił do klubu krykieta Bishopthorpe albo chociaż wybrał się z Markiem i jego znajomymi na miłą partyjkę golfa? I dlaczego Peter i Helen wynajmowali ogrodnika, mimo że ogródek Radleyów był trzy razy mniejszy od olbrzymiego, regularnie koszonego trawnika Feltów?

Mark był zawsze nieco bardziej podejrzliwy od swojej żony, ale jego podejrzenia nie wykraczały poza tezę, że Radleyowie są po prostu odrobinę dziwni. Uważał, że to pewnie dlatego kiedyś mieszkali w Londynie i pewnie głosowali na demokratów oraz chodzili do teatru na spektakle, które nie były musicalami.

Tylko jego syn, Toby, żywił do Radleyów wyraźną niechęć i na wzmiankę o nich zawsze mamrotał coś do Marka. „To dziwolągi” - zwykł powtarzać, choć nigdy nie ujawniał powodów swojego uprzedzenia. Mark tłumaczył to teorią Lorny, wedle której jego syn w następstwie rozwodu Marka i matki Toby'ego pięć lat temu nie potrafił nikomu zaufać. (Mark przyłapał swoją ówczesną żonę w łóżku z instruktorem pilatesu, i choć specjalnie się tym nie przejął, ponieważ sam zdradzał ją już wcześniej z Lorną i szukał pretekstu, żeby

się rozwieść, to jedenastoletni Toby tak bardzo przeżył rozstanie rodziców, że zaczął oddawać mocz na ścianę swojego pokoju).

Jednak tego niedzielnego ranka podejrzania Marka zaczynają się krystalizować. Kiedy Lorna wychodzi z psem, Mark oparty o chłodny blat z wypolerowanego granitu je śniadanie. Kiedy jest w połowie tostu z miodem lipowym, słyszy, jak jego syn odbiera telefon.

- Co...? Ciągle...? Nie, nie mam pojęcia... Poszedł za taką jedną dziewczyną. Clarą Radley... Nie wiem, chyba mu się podobała albo co... Tak, przykro mi... Dobrze, pani Harper... Tak, odezwę się...

Chwilę później rozmowa dobiega końca.

- Toby? O co chodziło?

Toby wchodzi do kuchni. Choć jest zbudowany jak mężczyzna, ciągle ma twarz nadąsanego chłopczyka.

- Harper zaginął.

Mark się zastanawia. Czy powinien znać Harpera? Tyle tych imion do zapamiętania.

- Stuart - wyjaśnia szorstko Toby. - Wiesz, Stuart Harper. Mój najlepszy przyjaciel.

A, tak, przypomina sobie Mark, dzikus-półanalfabeta z gorylimi łapami.

- Jak to „zaginął”?

- Zaginął. Od piątku w nocy nie wrócił do domu. Wczoraj jego mama tak bardzo się nie przejęła, bo Harper czasami jeździ bez uprzedzenia do Thirsk do babci.

- Ale nie ma go u babci?

- Nie, nigdzie go nie ma.

- Nigdzie?

- Nikt nie wie, gdzie jest.

- Wspomniałeś coś o Clarze Radley.

- Ona ostatnia go widziała.

Mark przypomina sobie piątkowy wieczór i kolację u Radleyów. Gwałtowny koniec wieczoru. Clara. „Problemy nastolatek”. I minę Helen, kiedy przekazywała mu tę informację.

- Ostatnia?

- Tak, powinna coś wiedzieć.

Słyszą, jak Lorna wraca z psem. Toby ucieka na górę, co często robi na widok macochy. Ale i tak, w tej samej chwili co Mark, spostrzega jeszcze idących za Lorną młodego mężczyznę i młodą kobietę w mundurach.

- Policja - wyjaśnia Toby emu Lorna, siląc się na matczyne spojrzenie. - Chcą z tobą porozmawiać.

- Dzień dobry - mówi młody policjant. - Posterunkowy Henshaw, to jest posterunkowa Langford. Chcielibyśmy zadać pana synowi kilka rutynowych pytań.

KONIEC GRY

- Tato? Ta-ato?

Eve rozgląda się po pokoju, ale ojca nigdzie nie widać.

Telewizor jest włączony, ale nikt go nie ogląda.

Jakaś kobieta na ekranie naciska przenośny odświeżacz powietrza, który wpuszcza do jej salonu strumień animowanych kwiatów.

Jest kwadrans po dziewiątej w niedzielę rano.

Ojciec nie chodzi do kościoła. Od śmierci matki nie biega. Więc gdzie jest? W sumie obchodzi ją to tylko dla zasady. On może wychodzić bez tłumaczenia się, więc dlaczego ona nie może?

Usprawiedliwiona w ten sposób opuszcza mieszkanie i przemierza miasteczko w stronę Orchard Lane. Stojący obok kiosku dwaj mężczyźni rozmawiają poważnie szeptem:

- Podobno nikt go nie widział od piątkowej nocy. - To wszystko, co udaje jej się uchwycić, kiedy ich mija.

Po dotarciu na Orchard Lane ma zamiar iść prosto do domu Clary, ale wtedy dostrzega kilka rzeczy, które odwodzą ją od tego pomysłu. Po pierwsze, widzi radiowóz zaparkowany w połowie drogi między numerami 17 a 19, naprzeciwko starej furgonetki po drugiej stronie ulicy. Toby stoi na progu, podczas gdy dwoje umundurowanych policjantów wychodzi z domu. Eve, częściowo ukryta w cieniu za wysokimi krzakami, widzi, jak Toby wskazuje na dom Clary.

- To ten - wyjaśnia. - Tam mieszka.

Policjanci zegnają się, zerkają na furgonetkę i idą do domu obok. Toby znika pod dziewiętnastką. Eve stoi cicho jak trusia. Jest na tyle daleko od alejki, że słyszy ćwierkające radośnie na drzewach ptaki. Przygląda się, jak policja puka do drzwi Clary i widzi jej matkę, która przyjmuje gości z zaniepokojoną miną. W końcu zaprasza policjantów do środka.

Eve rusza i postanawia wpaść na chwilę do Toby'ego i zapytać go, co jest grane. Tak czy inaczej, chciała z nim przed szkołą porozmawiać, żeby go przeprosić za to, że w piątek wieczorem zgarnął ją tata.

Na szczęście drzwi otwiera przyjaźnie nastawiona macocha Toby'ego. Tym samym dziewczynie udaje się uniknąć rozmowy z panem Feltem na temat czynszu. Pani Felt odciąga za obrożę rudą seterkę, która ziaje radośnie na Eve.

- Dzień dobry. Czy zastałam Toby'ego?

- Tak - odpowiada kobieta tonem, który wydaje się dość beztronski w świetle niedawnej wizyty policji. - Jest na gorze. Pierwszy pokój po prawej.

Po wejściu do pokoju Eve widzi, jak Toby siedzi plecami do niej i postępuje, wykonując gwałtowne ruchy rękami.

Gra na Xboksie, myśli dziewczyna z ulgą. Kiedy siada na łóżku, Toby nie zwraca na nią uwagi. Eve siedzi chwilę, przyglądając się galerii plakatów na ścianie - Lii Wayne, Megan Fox, tenisiści, Christian Bale.

- Miotacz! Miotacz! Zdychaj... no właśnie.

- Słuchaj - mówi Eve, kiedy widzi, że chłopiec próbuje przejść kolejny poziom. - Naprawdę przykro mi z powodu piątku. Mojemu tacie nie leży, kiedy późno wracam do domu.

Toby wydaje pomruk zrozumienia i wraca do podpalania chodzących jaszczurów.

- Czego chciała policja?

- Harper zaginał.

Przetrawienie tego zdania zajmuje Eve chwilę. Potem przypomina sobie rozmowę dwóch mężczyzn obok kiosku.

- „Zaginał?”. Jak to zaginał? - Aż za dobrze zna poczucie grozy, które niesie to słowo.

- Nie wrócił w piątek do domu. Wiesz, po imprezie. Harper to niemrawy drab, ale jest też przyjacielem Toby'ego i może mieć poważne kłopoty.

- Boże - mówi Eve. - To straszne. Dwa lata temu zaginała moja mama. Do dziś' jej nie...

- Clara coś wie - mówi Tobi, agresywnie przerywając Eve. - Głupia dziwka. Wiem, że coś wie.

- Clara nie jest żadną dziwką. Toby marszczy brwi.

- To niby kim jest?

- Moją przyjaciółką.

Drzwi otwierają się i do pokoju wpada, merdając ogonem, energiczna seterka. Eve głaszcze ją i daje jej do polizania słoną dłoń. Toby odpowiada:

- Nie. Jest kimś, z kim się zadawałaś, bo byłaś tu nowa. Tak to działa. Jak zmieniasz szkołę, to zaczynasz się trzymać z dzikuską w pinglach. Ale teraz minęło już parę miesięcy. Powinnaś sobie znaleźć kogoś, nie wiem, takiego jak ty. A nie byle dziwkę, siostrę dziwoląga.

Ruda seterka przerzuca się na Toby'ego, trąca nosem jego nogę. Chłopiec odsuwa ją i odpycha zwierzę.

- Małpa.

Eve patrzy na ekran telewizora, na którym grał: „KONIEC GRY”.

Może i koniec. Dziewczyna wzdycha.

- Chyba już sobie pójdę - mówi, wstając.

- Wiesz, że to już niedługo?

- Słucham?

- Mój tata chce dostać pieniądze. Czynsz.

Eve przygląda mu się przez chwilę. Kolejny samolubny wieprz do jej kolekcji samolubnych wieprzów.

- Jasne - odpowiada, nie pozwalając sobie na okazanie emocji. - Przekażę.

POLICJA

W normalnych okolicznościach siedzenie w salonie na kanapie pomiędzy rodzicami w trakcie przesłuchania przez policjantów w kwestii chłopca, którego zamordowała, byłoby dla Clary traumatycznym przeżyciem. Zwłaszcza jeżeli sąsiad zrobił wszystko, żeby ją zadenuncjować. Jednak nie czuje stresu, nie czuje - o dziwo - nic. To doświadczenie jest równie traumatyczne jak wizyta na poczcie.

Wie, że powinna być zdenerwowana i stara się wręcz, by udzielił jej się niepokój matki. Nic z tego nie wychodzi, a w każdym razie nie na tyle, na ile powinno. W pewnym sensie Clara dobrze się bawi.

- Czyli po co Stuart za tobą poszedł, jeżeli mogę zapytać? - pyta jeden z dwójki policjantów. Mężczyzna, posterunkowy Hen-coś tam. Uśmiecha się przyjaźnie, podobnie jak siedząca obok kobieta. Wszyscy są bardzo przyjaźni.

- Nie wiem - mówi Clara. - Przypuszczam, że za namową Toby'ego. On lubi takie okrutne żarty.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie jest miłą osobą.

- Claro - upomina ją łagodnie Helen.

- Helen - broni jej Peter. - Nie przerywaj jej.

- Rozumiem - mówi policjantka, pociągając łyk kawy, wpatrując się intensywnie w jasnobezową wykładzinę. - Tak przy okazji, wspaniały dom. Trochę jak mojej mamy.

- Dziękuję - świergocze nerwowo Helen. - W zeszłym roku odremontowaliśmy ten pokój. Był już trochę zapuszczony.

- Jest piękny - dodaje policjantka.

I kto to mówi, myśli Clara, patrząc na koszarne kędzierzawe włosy kobiety spięte w kok na klasyczną modłę policjantki, z prostokątną grzywką sterzącą jej na czole niczym chlapacz.

Skąd te wredne myśli? Wszystko wydaje jej się teraz potencjalnym obiektem pogardy. Wszystko trąci fałszem - nawet ten pokój z niepotrzebnymi pustymi wazonikami i stylowo małym telewizorem wydaje jej się sztuczny jak reklamówka.

- A więc - mówi policjant, wracając do sedna rozmowy - Stuart za tobą poszedł. I co powiedziałaś? On coś powiedział?

- No, tak.

- Co? Co powiedział? Clara postanawia się zabawić.

- Powiedział: „Clara, zaczekaj”.

Chwila ciszy. Policjant i policjantka wymieniają spojrzenie.

- I potem powiedział, że mu się podobam. Co było dziwne, bo nie zdarza się, żeby chłopcy mówili mi takie rzeczy. W każdym razie był pijany i zaczął się

trochę przystawiać, więc chciałam go łagodnie splawić, ale potem się... Aż mi głupio, bo... Potem się popłakał.

- Popłakał?

- Tak. Był pijany. Czuć było od niego alkoholem. Ale i tak ten jego płacz był dziwny, bo to zupełnie nie w jego stylu. W życiu nie pomyślałabym, że to taki romantyk, chociaż z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo, prawda?

- Aha. I co się działo potem?

- Nic. Znaczący się, on sobie płakał. A ja pewnie powinnam była go pocieszyć albo coś w tym stylu, ale nic nie zrobiłam. I to wszystko.

Policjantka zerka spod grzywki w kształcie chlapacza. Nagle robi się surowsza.

- Wszystko?

- Tak, po prostu sobie poszedł.

- Dokąd?

- Nie wiem. Z powrotem na imprezę.

- Nikt na imprezie nie widział go po tym, jak wyszłaś.

- No to pewnie poszedł gdzie indziej.

- Dokąd?

- Nie wiem. Mówiłam, że był roztrzęsiony.

- Był roztrzęsiony i sobie poszedł. Tak po prostu.

Helen spina się.

- Clara jest naprawdę przygnębiona zaginięciem biednego Stuarta i...

- Nie! - przerywa Clara, a oniemiałi policjanci na chwilę przestają notować. - Nie, nie jestem wcale przygnębiona jego zaginięciem. Nie wiem, dlaczego ludzie zawsze tak się zachowują, za każdym razem, kiedy ktoś umiera. Wszyscy muszą udawać, jaki to był cudowny świętoszek, kiedy za życia się ich nienawdziło.

Policjantka wygląda, jakby się o coś potknęła.

- Powiedziałaś „umiera”.

Clara z początku nie rozumie, dlaczego to miałoby mieć znaczenie.

- Słucham?

- Powiedziałaś przed chwilą „za każdym razem, kiedy ktoś umiera”. O ile nam wiadomo, Stuart na razie tylko zaginął. Chyba że wiesz coś więcej na ten temat?

- To był taki skrót myślowy.

Peter odchrząkuje i sięga za plecami Clary, żeby po kryjomu trącić Helen w ramię.

Posterunkowi mierzą Clary wzrokiem. Atmosfera robi się napięta.

- To było ogólne sformułowanie.

Clara jest zaskoczona, kiedy jej matka nagle wstaje.

- Mamo?

Helen uśmiecha się ponuro.

- Muszę zająć się suszarką. Słysząc pikanie. Przepraszam.

Policjant i policjantka są równie zaskoczeni jak Clara. Nikt nie słyszy żadnego pikania.

* * * *

Will nie śpi, kiedy Helen puka w okno furgonetki. Wpatruje się w krople starej, zasuszonej krwi na suficie, wyglądającym niczym mapa gwiazdozbioru, a raczej kronika jego rozpustnej historii. Historii, na której obecnie także leży, drobiazgowo spisanej w siedmiu oprawionych w skórę tomach dzienników pod materacem. Są tam relacje z tych wszystkich nocy dzikiej, krwawej rozpusty.

Ktoś puka do furgonetki. Odsuwa zasłonę i widzi zdenerwowaną Helen.

- Co byś powiedziała na lot do Paryża dzisiejszej nocy? - pyta. - Spacer nad Sekwaną w niedzielę wieczorem. Tylko ty, ja i gwiazdy.

- Will, przyjechała policja. Przesłuchują Clarę. To nie wygląda dobrze. Musisz wejść i z nimi porozmawiać.

Will wysiada z furgonetki, widzi radiowóz. Pomimo jaskrawego światła dnia robi mu się przyjemnie. Helen go o coś prosi. Potrzebuje jego pomocy.

Postanawia wycisnąć z tej chwili, ile się da.

- Wydawało mi się, że nie jestem tu mile widziany.

- Will, wiem. Myślałam, że sobie poradzimy, ale teraz mam wątpliwości. Peter miał rację.

- Czyli chcesz, żebym wszedł do domu i co właściwie zrobił? - Oczywiście wie. Chce tylko, żeby ona powiedziała to pierwsza.

- Porozmawiał z nimi?

Bierze głęboki wdech, wychwytuje zapach jej krwi w wiejskim powietrzu.

- Porozmawiał? Nie miałaś na myśli „zahemipnotyzował”?

Helen przytakuje.

Nie umie się powstrzymać, żeby jej nie podpuścić.

- Czy to nie jest takie trochę nieetyczne? Hemipnotyzować policjantów?

Helen zamyka oczy. Między brwiami robi się jej mała pionowa zmarszczka.

Chcę ją mieć z powrotem dla siebie, uświadamia sobie Will. Chcę kobietę, którą stworzyłem.

- Will, proszę cię - błaga go.

- No dobra, do diabła z etyką. Do roboty.

Przybycie Willa zaskakuje policjantów. Jednak Peter przytakuje, uśmiecha się do Helen, zadowolony, że zrozumiała sens dyskretnego szturchnięcia.

- To mój wujek - wyjaśnia Clara.

Helen stoi obok Willa, czekając, aż zacznie działać.

- Właśnie zadajemy Clarze kilka pytań - mówi policjant, podnosząc brew na arogancką modłę podpatrzoną w serialach kryminalnych.

Will uśmiecha się. Zahemipnotyzuje ich bez większego problemu, nawet o tej porze. Dwoje młodych, potulnych, małych bezkrwawców, którym praca w policji wpoła poczucie posłuszeństwa. Wystarczy jedno zdanie, może dwa, i jego słowa zaczną usuwać i zastępować treść ich słabowitych, poddańczych umysłów.

Rusza do ataku, żeby pokazać Helen, że nie utracił mocy. Subtelne spowolnienie i pogłębienie tonu, wykalkulowane pauzy między słowami i prosta sztuczka ignorowania twarzy oraz zwracania się bezpośrednio do krwi. A ponieważ stoi na tyle blisko, żeby czuć zapach zawartości ich żył, nie zwleka ani chwili.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi - zaczyna. - Proszę zadawać pytania. Proszę zadawać pytania i dotrzeć do prawdy: dziewczyna, która przed wami siedzi, jest tak niewinna i nieświadoma jak pole nietkniętego śniegu i nie posiada absolutnie żadnej wiedzy na temat losów chłopca po ich spotkaniu w piątek wieczorem. Dlatego też spisywanie czegokolwiek w notatniczkach jest cokolwiek jałowe.

Podchodzi do policjantki i wyciąga dłoń. Kobieta wręcz przeprasza ją, z pustym wyrazem twarzy podaje mu notatnik. Will wyrywa zapisane kartki, po czym jej go zwraca.

- A wszystko, co słyszeliście wcześniej, to kłamstwa. Clara nic nie wie. Przyjrzyjcie się jej, tylko się jej przyjrzyjcie...

Patrzą.

- Widzieliście kiedykolwiek osobę tak niewinną i nieskalaną? Nie czujecie wstydu, że przez chwilę zwątpiliście w tę niewinność?

Przytakuja, jak dzieci surowemu nauczycielowi. Czują głęboki wstyd. Will widzi, jak zdumiona Clara robi wielkie oczy.

- Teraz sobie pójście. Pójście i zrozumiecie, że w tej sprawie nie ma żadnych tropów. Chłopiec zaginął. To kolejna niewyjaśniona tajemnica w świecie pełnym niewyjaśnionych tajemnic. Teraz wstańcie i wyjdźcie tędy, którą weszliście, a w chwili, kiedy świeże powietrze popieści wam twarze, zdacie sobie sprawę, że właśnie one przydają światu piękna. Wszystkie te niewyjaśnione tajemnice. I już nigdy więcej nie będziecie próbowali zbrukać tego piękna.

Will widzi, że nawet Peter i Helen są pod wrażeniem, kiedy policjanci wstają i wychodzą z pokoju.

- Do widzenia. I dziękuję za wizytę.

SZYNKA DELIKATESOWA

Kiedy przychodzi Eve, Clara siedzi w pokoju i je szynkę delikatesową brata. Zaczyna tłumaczyć się z wczorajszego incydentu w Topshopie. Wyjaśnia, że dostała ataku paniki i musiała wyjść na świeże powietrze. To półprawda. A raczej ćwierćprawda. Ale nie wierutne kłamstwo.

Jednak Eve prawie jej nie słucha.

- Była u was policja? - pyta. - W sprawie Harpera?

- Tak - mówi Clara.

- I co chcieli wiedzieć?

- Ee... takie tam. Czy Harper miał myśli samobójcze. I temu podobne.

- Clara, co się naprawdę stało tamtej nocy?

Clara spogląda przyjaciółce w oczy i stara się mówić przekonująco.

- Nie wiem. Wyrzygałam mu się na adidas, a potem sobie poszedł.

Eve przytakuje. Nie ma powodu, żeby podejrzewać przyjaciółkę o kłamstwo. Rozgląda się po pokoju i wpada jej w oko brak plakatów.

- Co się stało ze smętnymi małpami w klatkach? - pyta.

Clara wzrusza ramionami.

- Zrozumiałam, że zwierzęta będą umierać bez względu na to, co będą miały na ścianie.

- Jasne. A ta furgonetka przed domem?

- Mojego wujka. Wujka Willa. Jest naprawdę w porzo.

- I gdzie teraz jest?

Pytania zaczynają działać Clarze na nerwy.

- Pewnie śpi. Sypia całymi dniami.

Eve zastanawia się nad tym przez chwilę.

- To...

Wtedy coś słyszą. Ktoś krzyczy na dole.

- Eve!

Clara widzi, jak na twarzy Eve pojawia się przerażenie.

- Nie tutaj - szepcze najpierw do siebie, a potem zwraca się do Clary: - Powiedz mi, że tego nie słyszałaś. Powiedz mi, że zaczęłam słyszeć głosy i potrzebuję pomocy psychiatrycznej.

- Co? Czy to twój... - zaczyna mówić Clara.

Słyszą głośne człapanie po schodach. Potem Clara widzi, jak do pokoju wpada wysoki, podobny do gronostaja mężczyzna w koszulce Manchester United.

- Eve, wracasz do domu. Natychmiast.

- Tata? Nie do wiary. Jak możesz mi to robić na oczach przyjaciółki? - żali się Eve.

- To nie jest żadna przyjaciółka. Pójdiesz ze mną. - Łapie ją za rękę.

Clara się przygląda.

- Proszę ją zostawić. Jest pan... - Urywa. Coś w jego zaciekłym spojrzeniu zmusza ją do odwrotu.

On coś wie. On na pewno coś wie.

- Puszczaj mnie! Boże! - mówi Eve. Szamocze się, a potem, zawstydzona, daje się wywlec z pokoju, przewracając po drodze kopnięciem kosz ze zmiętymi plakatami.

Rowan słyszy hałasy dobiegające z korytarza. Odkłada pióro i zostawia wiersz, który usiłuje dokończyć: *Życie i inne formy Wiecznego Piekła*. Kiedy wychodzi ze swojego pokoju, widzi, jak Eve opiera się ojcowi.

- Au, tato, zostaw mnie.

Kiedy idą w kierunku schodów, Rowan stoi za ich plecami. Nie zauważyli go. Zbiera się na odwagę, żeby się odezwać, co udaje mu się w ostatniej chwili.

- Proszę ją puścić - mówi cicho.

Jared zatrzymuje się, potem odwraca. Nie wypuszcza ręki Eve z uścisku i rzuca Rowanowi wściekle spojrzenie.

- Słucham?

Rowan nie może uwierzyć, że to ojciec Eve. Blond włosy to jedyne, czym przypomina córkę. W jego wytrzeszczonych oczach jest tyle nienawiści, że wystarczyłoby dla całej armii.

- Sprawia jej pan ból. Proszę ją puścić.

Eve pokazuje mu skinieniem, żeby, dla własnego dobra, nie wtrącał się. Kiedy na niego patrzy, dociera do niej, że Rowanowi z jakichś absurdalnych względów naprawdę na niej zależy. Podobała się wielu chłopcom i zdążyła się już do tego przyzwyczaić, ale w oczach żadnego z nich nie widziała nigdy tego, co teraz widzi we wzroku Rowana. Autentyczna troska o jej dobro, jak gdyby była częścią niego samego. Przez chwilę jest tak zaskoczona, że nie zauważa, kiedy ojciec puszcza jej rękę.

Jared podbiega do Rowana.

- Ja sprawiam jej ból? Ja sprawiam jej ból? To boskie. Tak, po prostu boskie. Czyli że z ciebie taki bohater? Na bohatera to tylko pozujesz. W każdym razie, jeżeli jeszcze raz zobaczę ją z tobą lub z kimś z twojej rodziny, to zajmę się tobą siekierą. Bo wiem, czym jesteście. Wiem. - Grzebie pod koszulką piłkarską i wyciąga niewielki krucyfiks, który podtyka Rowanowi pod nos.

Stojąca w drzwiach swojego pokoju Clara przygląda się speszona całą tą sytuacją.

Jared kieruje słowa do niej i do jej brata.

- Pewnego dnia powiem jej, co z was za jedni. Zdradzę jej małą tajemnicę Radleyów. Nauczę ją bać się was. Nauczę ją, żeby na Wasz widok uciekała z krzykiem.

Krucyfiks nic im oczywiście nie robi, za to słowa wywierają na Rowanie wielkie wrażenie. Widzi, jak Eve umiera ze wstydu podczas tyrady ojca i patrzy na niego jak na wariata. Za chwilę ucieka, mijając kogoś na schodach.

- Eve! - woła Jared. - Wracaj! Eve!

- Co tu się dzieje? - pyta Peter.

Jared przeciska się obok niego, wyraźnie przerażony perspektywą kontaktu fizycznego.

- Przepuść mnie!

Peter wycofuje się pod ścianę i puszcza Jareda. Ten zdesperowany zbiega po schodach, ale Eve nie ma już w domu. Peter patrzy na Clarę.

- Co tu się dzieje? O co mu chodziło?

Clara nie odpowiada.

- Nie chce, żeby jego córka zadawała się z mordercami - wyjaśnia Rowan.

- Taki z niego staroświecki gość.

Peter pojmuje.

- Wie o nas?

- Tak - mówi Rowan. - Wie o nas.

Poradnik abstynenta - pielęgnacja skóry

Nie da się prowadzić normalnego, bezkrwawego życia bez wystawiania się na światło dzienne. Choć słońce zagraża zdrowiu zarówno abstynentów, jak i praktykujących wampirów, niektóre środki pomagają ograniczyć rozwój wielu schorzeń i problemów skórnych.

Oto nasze najważniejsze zalecenia dotyczące się codziennej pielęgnacji naskórka:

1. Trzymajcie się cienia. Na zewnątrz za wszelką cenę unikajcie bezpośredniego kontaktu ze światłem słonecznym.

2. Stosujcie olejek do opalania. Powinniście pokryć całe ciało olejkiem z filtrem z numerem co najmniej 60. Niezależnie od pogody, niezależnie od ubrania - ta reguła obowiązuje zawsze.

3. Jedzcie marchewkę. Marchewka wspomaga odbudowę tkanki skórnej i jest cennym źródłem witaminy A. Jest bogata w przeciwutleniacze, w tym substancje fotochemiczne, które pomagają zmniejszyć wrażliwość na światło i wspomagają regenerację skóry.

4. Ograniczajcie wyjścia z domu. Nie spędzajcie na dworze więcej niż dwie godziny dziennie.

5. Nigdy się nie opalajcie na słońcu. Jeżeli wymagają tego od was okoliczności, sięgnijcie po substytut.

6. Bądźcie czujni. Jeżeli poczujecie słabość albo zauważycie, jak zaognia się wysypka, musicie jak najszybciej wejść do cienia, najlepiej do pomieszczenia.

Nie traćcie fasonu. Stres wzmacnia nękające abstynentów problemy skórne. Grunt to pozytywne nastawienie. Pamiętajcie - nawet jeżeli skóra was swędzi albo piecze, postępujcie właściwie.

SŁOŃCE ZACHODZI ZA CHMURĄ

Rowan jest tak wstrząśnięty zajściem z Eve, że musi wyjść z domu.

Ile mu jeszcze potrzeba czasu?

Ile jeszcze musi minąć, zanim zbierze się na nadludzką odwagę, żeby jej wyznać, co do niej czuje?

Kiedy się dowie, że Rowan jest potworem?

Spacer po głównej ulicy męczy go, tym bardziej że zza chmury wychodzi słońce. Mocne i jaskrawe - nie można stawić mu czoła, tak samo jak prawdzie. Kiedy Rowan idzie, zaczyna go swędzieć skóra i czuje, jak uginają się pod nim nogi. Uświadamia sobie, że nie nasmarował się wystarczająco dokładnie olejkami i że powinien wrócić do domu. Zamiast tego przechodzi przez ulicę w stronę ukrytej częściowo w cieniu ławki naprzeciwko pomnika wojennego. Czyta wyryte w kamieniu słowa: „CHWAŁA POLEGŁYM”.

Co się dzieje po śmierci wampira? Czy w zaświatach krwiopijcy mają miejsce obok bohaterów wojennych?

Kiedy zbiera się, żeby wstać, słyszy za sobą czyjś głos, który ubóstwia ponad wszystkie inne.

- Rowan?

Odwraca się i widzi zbliżającą się Eve, która właśnie wyszła spod wiaty, pod którą się schowała.

Patrzy na niego i Rowan czuje znajomy dyskomfort, który pojawia się zawsze wtedy, kiedy znajdzie się w zasięgu jej wzroku. Jakby jej piękno lustrowało jego niedoskonałości.

Siada obok niego. Przez chwilę nic nie mówią i Rowan zastanawia się, czy koleżanka słyszy, jak głośno bije mu serce.

- Przepraszam - zaczyna Eve po długiej ciszy - za tatę. On... - urywa.

Rowan widzi, że dziewczyna z czymś się zmagą. Potem mówi:

- Parę lat temu zaginęła moja mama, zanim tu przyjechaliśmy. Po prostu zniknęła. Nie wiemy, co się z nią stało. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyje.

- Nie wiedziałem. Przykro mi.

- Prawdę mówiąc, nie lubię o tym rozmawiać.

- To na pewno trudne - przyznaje Rowan.

- Dlatego mój tata jest, jaki jest. Nigdy się z tym do końca nie pogodził. Wiesz, mamy inne podejście do radzenia sobie z takimi sprawami. On wpada w paranoję, a ja próbuję obrócić wszystko w żart. I umawiam się z debilami.

Spogląda na Rowana i uświadamia sobie, że niesłusznie uważała brata Clary za nieśmiałego dziwaka. Przez chwilę zdaje sobie sprawę, jak przyjemnie jej się siedzi obok niego na ławce i z nim rozmawia. Jakby coś w niej rozbudzało. Od wielu lat nie czuła się bardziej sobą niż w tej właśnie chwili.

- Posłuchaj, Rowan, jeżeli chcesz mi coś powiedzieć albo o coś mnie zapytać, to po prostu zrób to. Serio.

Chce usłyszeć z jego ust to, co i tak już wie od Clary. Poza tym słyszała, jak Rowan mamrocze jej imię, kiedy zasypia na lekcjach. Słońce zachodzi za chmurą. Cię się pogłębia.

Rowan wyczuwa, że to jest okazja, o jakiej marzył, od kiedy pierwszy raz usłyszał w autobusie śmiech Eve, która swojego pierwszego dnia w szkole usiadła obok Clary.

- No... bo chodzi o to... - Ma suche usta. Myśli o Willu, o tym, jak łatwo przychodzi mu bycie sobą. Przez następne pięć sekund Rowan nie może oprzeć się pragnieniu przemiany siebie w wuja, żeby móc dokończyć zdanie. - Naprawdę myślę, że... że... To znaczy chcę powiedzieć, że jesteś... no... po prostu zupełnie inna od wszystkich pozostałych dziewczyn... Nie przejmujesz się tym, co ludzie powiedzą... i ja... po prostu... kiedy cię nie widzę, czyli przez większość czasu, to o tobie myślę i...

Odwraca się od niego. Ma mnie za dziwoląga, myśli Rowan. Ale wtedy słyszy i widzi to, co Eve usłyszała i zobaczyła pierwsza - przed nimi zatrzymuje się samochód jego sąsiadów. Lśniący i srebrny niczym broń. Mark Felt opuszcza szybę.

- Boże - mówi Eve.

- Słucham?

- Nic. Tylko...

Mark spogląda na Rowana podejrzliwie, potem zwraca się do Eve.

- Toby powiedział mi, że twój tatuś chce mnie zrobić w konia. Powiedz mu, że od jutra zaczynam pokazywać mieszkanie chętnym, jeżeli nie zapłaci całej sumy, siedmiuset funtów.

Eve wygląda na zakłopotaną, choć Rowan nie ma pojęcia, o co chodzi.

- Dobrze - mówi dziewczyna. - Dobrze. Potem Mark zwraca się do Rowana.

- Co słyhać u twojej siostry?

- W porządku.

Mark przez chwilę mierzy go wzrokiem, jakby chciał go rozgryźć. Szyba się podnosi i mężczyzna odjeżdża. Eve wbija wzrok w trawę.

- To właściciel naszego mieszkania.

- Aha.

- I nie mamy pieniędzy, żeby mu zapłacić, bo po przeprowadzce tata nie mógł znaleźć pracy. Przez długi czas nawet nie próbował.

- Jasne.

Zapatrzona w pomnik Eve mówi dalej.

- I mieliśmy masę długów z czasów, kiedy mieszkaliśmy w Manchesterze. Kiedyś tak bardzo uważali, on i mama. Miał dobrą pracę. Był policjantem. Był w policji. W wydziale kryminalnym. To była dobra praca.

- Naprawdę? - pyta Rowan, zaniepokojony tą informacją. - I co się stało?

- Kiedy mama zaginęła, miał załamanie nerwowe. Oszałał. Przychodziły mu do głowy różne teorie, kompletnie zwariowane. W każdym razie policja

wydała zaświadczenie, że jest chory psychicznie. Przez dwa miesiące był w zakładzie, a ja mieszkałam wtedy z babcią. Już nie żyje. Kiedy ojciec wyszedł ze szpitala, nic już nie było tak jak kiedyś. Brał lekarstwa i pił, stracił pracę, wychodził na całe dni Bóg wie po co. - Pociąga nosem, przez chwilę milczy. - Nie powinnam ci tego opowiadać. To dziwne, nikomu tego nie mówiłam.

Rowan zdaje sobie sprawę, że zrobiłby wszystko, żeby usunąć smutek z jej twarzy.

- To nic złego - mówi. - Może to dobrze móc tak się zwierzyć. I Eve mówi dalej, prawie jakby go tam nie było, jakby to było coś, czego musi się pozbyć.

- Nie było nas stać na mieszkanie w Manchesterze i to było naprawdę do dupy, bo zawsze myślałam, że jeżeli tam zostaniemy, to przynajmniej mama nas odnajdzie, jeżeli będzie chciała wrócić. - To wspomnienie ją rozdrażnia.

- Jasne.

- Ale nie przeprowadziliśmy się blisko Manchesteru. Ojciec chciał się przenieść tutaj. Do mieszkanca dla staruszki. Nie stać nas nawet na nie. Wygląda na to, że jeżeli ojciec czegoś nie wymyśli, czeka nas kolejna przeprowadzka. A ja nie chcę się znowu przenosić, bo dopiero co tu zamieszkaliśmy i każda przeprowadzka oddala mnie od przeszłości. Jakbym za każdym razem traciła kolejny kawałek mamy. - Kręci nieznacznie głową, jakby sama siebie zadziwiła. - Przepraszam. Nie chciałam cię zmuszać do słuchania tyrady. - Sprawdza godzinę na komórce. - Lepiej już pójdę, zanim tata mnie tu znajdzie. Niedługo wraca.

- Dasz sobie radę? Znaczą się, jak chcesz, to mogę cię odprowadzić.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Jasne.

Eve wyciąga rękę, delikatnie ściska jego dłoń na pożegnanie. W tej doskonałej chwili Ziemia przestaje wirować. Rowan zastanawia się, jak zareagowałaby Eve, gdyby udało mu się wyznać to, co naprawdę siedzi mu w głowie i ciśnie mu się na usta.

- Bardzo dzisiaj spokojnie, prawda?

- Raczej tak - odpowiada Rowan.

- W ogóle nie ma ptaków.

Rowan przytakuje i wie, że nigdy nie zdobyłby się na wyznanie, że śpiew ptaków zna tylko z Internetu i że kiedyś spędzili razem z Clarą ponad godzinę, oglądając ze łzami w oczach nagranie wideo świerkających rokitniczek i zieb.

- Do zobaczenia w szkole - mówi po chwili Eve.

- Pewnie - odpowiada Rowan.

Przygląda się odchodzącej dziewczynie. W końcu idzie do bankomatu przy poczcie i sprawdza stan konta: +353,28 GBP.

Oto co mu zostało po roku pracy w sobotnie popołudnia w hotelu Willows i serwowaniu potraw na czterdziestu ośmiu wersjach tego samego pijackiego wesela.

Wyciąga tyle, ile może, a potem wyjmuję swoją kartę NatWest, żeby wybrać pieniądze z konta „dorosłe życie”, na które rodzice wpłacają raz w miesiącu pieniądze i którego nie ma prawa ruszać aż do studiów. Nie może sobie przypomnieć PIN-u, ale w końcu mu się udaje i wyciąga potrzebną kwotę.

Po powrocie do domu wkłada wszystkie dwudziestofuntowe banknoty do koperty i pisze na niej „Czynsz za Lowfield Close 15B”.

KIEDY KTOŚ SPADŁ Z ROWERU W 1983 ROKU

O czwartej po południu Radleyowie jedzą niedzielny obiad. Peter, przyglądając się gotowanej jagnięcinie na talerzu, nie jest zaskoczony, z jak wielką determinacją żona stara się, żeby wszystko toczyło się jak zwykle. Wie, że rutyna to dla Helen forma terapii. Coś, co pomaga jej ukryć niewygodną prawdę. Choć sądząc po drżących dłoniach, które nakładają pieczone ziemniaki, ta terapia nie skutkuje.

Może to przez Willa.

Ten od pięciu minut ciągnie swoje wywody, odpowiadając na pytania Clary, i nie wygłada, jakby miał zamiar przestać.

- Bo widzisz, na swój użytek nie muszę nikogo hemipnotyzować. Jestem pod ochroną. Policja nie może mnie zatrzymać. W Manchesterze jest tak zwane Stowarzyszenie Sheridan. Organizacja praktykujących wampirów, którzy dbają o swoje interesy. Trochę jak związki zawodowe, tylko mają seksowniejszych przedstawicieli.

- A kto to jest Sheridan?

- Nikt. Sheridan Le Fanu. Stary pisarz wampir. Od dawna nie żyje. Tak czy siak, polega to na tym, że co roku przesyłają listę wampirów, od których policja ma się trzymać z daleka. A ja jestem dość wysoko na tej liście.

- Policja? - powtarza Rowan. - Czyli policja wie o istnieniu wampirów?

Will kręci głową.

- Ogólnie rzecz biorąc, nie. Wiedzą tylko niektórzy policjanci w Manchesterze. Wszystko jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy.

Informacja niepokoi Rowana i chłopiec wyraźnie blednie. Clara ma inne pytanie.

- Czyli gdybyśmy znaleźli się na tej liście, to policja nie mogłaby nam nic zrobić?

Will się śmieje.

- Trzeba być regularnie praktykującym wampirem i mieć na koncie całkiem sporo zabójstw. Ale być może tak. Mógłbym przedstawić was paru właściwym osobom. Użyć wpływów...

- Nie trzeba, Will - wtrąca Helen. - Nie potrzebujemy takiej pomocy.

Podczas gdy wokół Petera toczy się dyskusja, ten wgryza się w krwiste mięso. Dostrzega drżącą dłoń żony, która dolewa sobie merlota.

- Helen, wszystko w porządku? - pyta. Żona uśmiecha się słabo.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

Chwilę później podskakuje przestraszona na dźwięk dzwonka. Peter bierze swój kieliszek i idzie do drzwi, modląc się po cichu wraz z żoną, by to nie był powrót policji. Widok Marka Felta choć raz napełnia go ulgą. Sąsiad trzyma duży arkusz papieru.

- Plany - wyjaśnia Mark. - Wiesz. To, o czym ci mówiłem. Plany rozbudowy piętra.

- Jasne. Ale akurat...

- Tylko że właśnie jutro wieczorem wyjeżdżam służbowo i pomyślałem, że dobrze byłoby je teraz przejrzeć.

Peter nie jest zachwycony.

- Pewnie. Wejdz.

Chwilę później musi znieść obecność Marka rozkładającego na szafce plany architektoniczne.

Żałuje, że nie zjadł więcej jagnięcia.

Żałuje, że nie zjadł stada żywych jagniąt.

Albo że nie wypił jednej kropli krwi Lorny.

W kieliszku ma żalospną resztkę merlota. Po co w ogóle zawraca sobie tym głowę? Picie wina ma być częścią projektu dopasowania ich stylu życia do tego, w jakim żyją normalni ludzie, ale to tylko podkreśla ich odmienność. Helen twierdzi, że piją je dla smaku, ale Peter nie jest przekonany, czy wino mu w ogóle smakuje.

- Właśnie pijemy wino, jeżeli masz ochotę. - Bierze jedną z opróżnionych do połowy butelek, które stoją obok tostera i sumiennie częstuje Marka.

- Pewnie - mówi Mark. - Dzięki.

Peter nalewa wino i kuli się zażenowany na dźwięk dochodzącego z salonu hałaśliwego głosu Willa.

- ...prawie się utopił!

Peter widzi, że Mark też go usłyszał i że chciałby porozmawiać nie tylko o rozbudowie piętra.

- Peter, posłuchaj - zaczyna złowieszczym tonem. - Była dzisiaj u nas policja. W sprawie tego chłopca, który zaginął po imprezie. I pytali o Clare.

- Tak?

- Tak, i jeżeli to nie moja sprawa, to mi powiedz, ale tak się właśnie zastanawiałem... Co właściwie stało jej się tamtej nocy?

Peter widzi w tosterze swoje zniekształcone odbicie. Oczy, które patrzą na niego z chromowanych krzywizn są duże i potworne. Nagle ma ochotę wykrzyknąć prawdę. Powiedzieć zgrywającemu Poirot sąsiadowi, że Radleyowie to krwio pijcy. W ostatniej chwili udaje mu się opanować.

- Wzięła coś, czego nie powinna. A co? Odwraca się z dwoma pełnymi kieliszkami.

- Słuchaj, przepraszam - mówi Mark. - Jestem tylko... Ten mężczyzna z furgonetki. Kto to jest?

Peter wyciąga do Marka jego kieliszek.

- To mój brat. Nie zostaje długo. Jest trochę ekscentryczny, ale w sumie niczego sobie. Wiesz, jak to jest z rodziną.

Mark przytakuje, bierze kieliszek. Chce trochę podrażnić temat, ale powstrzymuje się.

- Więc - zagaja Peter. - Zerknijmy na te plany.

Mark zaczyna opowiadać, choć do Petera dochodzą tylko fragmenty:

- Chcemy postawić... powierzchni parteru... rozbudowane w latach pięćdziesiątych... znaczące ryzyko... wyburzyć ścianę...

Pociągając z kieliszka, Peter nic nie słyszy. Napój w ogóle nie przypomina mu wina, które pił wcześniej. Ten smak jest tak wyborny i intensywny jak smak samego życia.

Spogląda przerażony na kieliszek.

Dociera do niego, że to Will zostawił na szafce wypitą do połowy butelkę. Gorączkowo szuka pretekstu, żeby odebrać Markowi kieliszek. Jednak jest już za późno. Mark już spróbował wina i tak mu zasmakowało, że resztę wypił jednym haustem.

Mark odstawia pusty kieliszek. Na jego twarzy maluje się zachwyty.

- Boże, było cudowne.

- Jasne. To może rzućmy okiem na te plany - mówi Peter, nachylając się nad prostokątami i obliczeniami na arkuszach.

Mark nie zwraca na niego uwagi. Podchodzi do butelki i czyta etykietę.

- Rosella 2007? Pierwszorzędny towar.

Peter przytakuje z miną konesera win.

- Hiszpańskie. Odmiana rioja. Z małej winiarni. Minimum reklamy. Zamawiamy je w sieci. - Peter pokazuje na plany. - To zerkniemy?

Mark zbywa propozycję gestem.

- Życie jest za krótkie. Może zabiorę Lornę w jakieś niezwykle miejsce. Dawno już tego nie robiłem.

Może zabiorę Lornę w niezwykle miejsce.

- Pewnie - mówi Peter, a zazdrość piecze go niczym czosnek. Mark klepie sąsiada w plecy i z szerokim uśmiechem wychodzi szybkim krokiem z kuchni.

- *Adiós amigo! Hasta luego!*

Peter patrzy, jak papier na szafce zwija się w rolkę.

- Twoje plany - mówi.

Ale Marka już nie ma.

JESTEŚMY POTWORAMI

Skończyli jagnięcinę. Helen nie sprząta jeszcze talerzy, bo nie chce zostawić dzieci samych z Willem. Siedzi więc niczym więzień na swoim krześle, świadoma władzy, jaką ma nad nią mężczyzna.

Oczywiście to władza, którą zawsze nad nią sprawował. Jednak teraz Helen ma przed sobą brutalny i niezaprzeczalny dowód, dodatkowo poparty jej prośbą, żeby pomógł im uporać się z policją.' Świadomość tego kła wszystko, tak że każdy przedmiot - jej pusty talerz, kieliszki, lampa HeaFs, którą Peter kupił jej pod choinkę parę lat temu - wydaje jej się emanować negatywną energią. Niczym tajna broń w niewidzialnej wojnie z nią, z całą ich rodziną.

- Jesteśmy potworami. - Słyszy słowa syna. - To nie jest w porządku.

Na co Will odpowiada z uśmiechem, jakby tylko czekał na tę kwestię. Na okazję, żeby kolejny raz dopiec Helen.

- Lepiej być tym, kim się jest, niż nikim. I lepiej umrzeć, niż żyć w grobowcu kłamstw.

Po wygłoszeniu tych sentencji wyciąga się na krześle, delektując się pogardliwym spojrzeniem Helen, jakby miało wyrażać miłość. Wtedy wchodzi Peter, wymachując ze złością butelką.

- Co to jest? - pyta brata.

Will udaje, że nie wie, o co chodzi.

- Gramy w szarady? Nie mam pojęcia, Pete. To jakiś film? Książka? - Drapie się po brodzie. - *Stracony weekend? Pierwsza krew? Bloodsucker Proxy?*

Helen nigdy nie widziała, żeby Peter postawił się bratu, ale teraz zaklina go w duchu, żeby przestał. Każde słowo jest jak tupnięcie w zapadnię.

- Nasz sąsiad - niezwykle poważany notariusz - właśnie wypił cały kieliszek krwi. Wampirzej krwi.

Will śmieje się. Nie wydaje się specjalnie przejęty.

- To powinno nim trochę zakręcić.

Clara chichocze, a Rowan siedzi bez słowa, kontemplując to wspaniałe poczucie, kiedy trzymał dłoń Eve w swojej dłoni.

- Mój Boże - mówi Helen, do której dociera powaga słów męża.

To psuje nieco humor Willa.

- I o co tyle hałasu? Nikt go nie ugryzł. Nie grozi mu inicjacja. Wróci do domu i uszczęśliwi żonę.

Ta wizja rozwściecza Petera.

- Will, powinieneś się stąd wynieść. On nabiera podejrzeń. Ludzie nabierają podejrzeń. Całe, kurwa, miasteczko będzie się zaraz zastanawiać, co, do kurwy nędzy, robisz tu ty i ta twoja zasrana, gówniana furgonetka.

- Tato - upomina Clara z boku.

Will jest szczerze zaskoczony agresją brata.

- Och, Petey, ale żeś się nam zdenerwował.

Peter z całej siły stawia butelkę na stole, jakby chciał przyznać rację bratu.

- Przepraszam cię, Will. To wszystko na nic. Prowadzimy teraz inne życie. Zadzwoiłem do ciebie, bo sytuacja była podbramkowa. Ale teraz już nie jest. Musisz stąd wyjechać. Nie potrzebujemy cię. Nie chcemy, żebyś tu był.

Will patrzy urażony na brata.

- Peter, może po prostu... - zaczyna Helen. Will odwraca się do Helen. Uśmiecha się.

- Hel, powiedz mu.

Helen zamyka oczy. W mroku będzie łatwiej.

- Zostanie do jutra - oznajmia. Potem wstaje, zaczyna składać talerze.

- Myślałem, że to ty chciałaś, żeby sobie...

- Jutro stąd zniknie - powtarza i dostrzega, jak Rowan i Clara wymieniają spojrzenie.

Peter zostawia butelkę na stole i wychodzi z pokoju.

- Pięknie. Kurwa, pięknie.

- Ci ojcowie... - komentuje Will.

Helen stoi przy stole i udaje, że nie widziała mrugnięcia, które miało przypieczętować to małe zwycięstwo.

NOC PRZED PARYŻEM

Zrobili to w furgonetce, w nocy przed lotem do Paryża.

Oboje byli nadzy i rozchichotani, dotykając nawzajem swojej skóry czuli słodki dreszcz życia.

Will przypomina sobie, jak pierwszy raz ją ugryzł, tę intensywność, zaskoczenie jej wybornym smakiem. To było jak pierwsza wizyta w Rzymie, jak spacer po niepozornej uliczce i nagle powalenie splendorem Panteonu.

Tak, tamta noc była idealna. Cały związek w mikroskali. Pożądanie, doznania, subtelna polityka smakowania i bycia smakowanym. Wysysanie krwi drugiego i jej uzupełnianie.

- Przemień mnie - wyszeptwała. - Uczyń mnie lepszą osobą.

Will siedzi na patio wpatrzony w bezgwiezdną noc. Pamięta wszystko - słowa, smaki, rozkosz na jej twarzy, kiedy krew ściekała do butelki z dziury po kle na jej nadgarstku, a on poił ją własną krwią i z delirycznym chichotem recytował Christabel Coleridge'a.

*Znużona panno, Geraldine,
O, proszę, pij ten kordiał z win!
To wino, w którym moc jest rzadka,
Robiła z dzikich kwiatów matka⁹.*

Wspomina to wszystko, kiedy patrzy na rozświetlony księżycem ogród i wysoki drewniany płot. Podąża wzrokiem wzdłuż płotu na tył ogrodu, ponad stawem, trawnikiem i pokrytym igłami zarysem dwóch drzew. Między nimi widzi słabą poświatę okienka szopy, niczym oko podglądacza.

Nagle coś wyczuwa, jakąś żywą istotę za szopą. Słyszy trzask gałązki, parę sekund później wychwytuje w powietrzu woń krwi Popija Isobel dla wyostrenia zmysłów, potem powoli wciąga powietrze nosem. Woń jest zmieszana z zapachami trawy i roślin co uniemożliwia mu stwierdzenie, czy ma do czynienia z krwią ssaka - borsuka, może przestraszonego kota - czy czegoś większego, rozmiarów człowieka.

Za to krew, którą wyczuwa chwilę później, jest znajoma. Krew Petera. Ten odsuwa szklane drzwi i wychodzi na patio z winem

Po zdawkowym powitaniu siada na jednym z ogrodowych krzesełek.

- Przepraszam - mówi niepewnie. - Znaczy się, za to wtedy Poniosło mnie.

Will unosi dłoń.

- Nie, to moja wina.

⁹ Coleridge S. T. Christabel, w: Angielscy „Poeci Jezior”, przeł. Stanisław Kryński, Ossolineum 1963, s. 295.

- Dobrze, że przyjechałeś. I naprawdę nam dzisiaj pomogłeś z policją.

- Nie ma sprawy - mówi Will. - Myślałem o naszym zespole. Peter się uśmiecha.

Will zaczyna śpiewać ich jedyną piosenkę:

- „Tak jest ci do twarzy w szkarłatnej sukience, chodź ze mną, maleńka, pobrudzimy ręce...”.

Peter mimo woli się przyłącza, uśmiechając się na myśl o absurdzie ich tekstu.

- „Zostawmy rodziców z winem i pieśniami, bo kiedy cię kosztuję, smakujesz wiśniami...”.

Ich śmiech wybrzmiewa powoli.

- Mógłby powstać do tego świetny teledysk - mówi Peter.

- T-shirty już mieliśmy.

Rozmowa toczy się dalej, w obecności Willa Peter zaczyna wspominać ich dzieciństwo na barce. Jak ich rodzice zawsze robili wszystko, co mogli, żeby zapewnić im niezwykle dzieciństwo jak kiedyś na wigilijną wieczerzę przynieśli do domu dopiero co zabitego Mikołaja z supermarketu. Później zaczynają rozmawiać o tych bardziej ponurych latach, w nowoczesnej willi na przedmieściach w Surrey, jak obrzucili kamieniami ojca abstynenta z rodziny zastępczej, kiedy podlewał pomidory w szklarni, i zagryzali przerażone świnki morskie, które naiwnie oddawano im pod opiekę.

Teraz rozmawiają o lotach do Londynu na występy wampirzych zespołów punkowych.

- A noc, kiedy poleciliśmy do Berlina? - pyta Will. - Pamiętasz to?

Peter przytakuje. Polecieli oglądać Iggy'ego Popa i Davida Bowiego grających razem w nocnym klubie Autobahn. Peter mocno odstawał wiekiem od reszty.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy - wspomina. - Genialny rok.

Ze śmiechem wspominają wampirze filmy porno z lat osiemdziesiątych, które razem oglądali.

- *Vein Man?* - mówi Peter - Ten pamiętam. O autystycznym wampirze, który zapamiętywał grupę krwi każdej spotkanej osoby.

- A resztę?

- *Wampir z Beverly Hills.*

- *Mój lewy kiel.* To była spora przesada.

- *Wolna noc Ferrisa Buellera* była niezła - wspomina z uśmiechem Peter.

Wyczuwając odpowiedni moment, Will pokazuje butelkę wampirzej krwi.

- Za stare czasy? Odstaw tego merlota.

- Will, chyba dziękuję.

Może gdyby wyjaśnił.

- Pete, teraz jest inaczej. KW można dostać wszędzie. A konkretnie, w Manchesterze jest taki jeden lokal. Nocny klub. Czarny Narcyz. Byłem tam

zeszłej nocy. Jak na mój gust trochę za mocno jedzie gotykiem, ale ciągle działa. I policja go nie ruszy, bo właścicielem jest Stowarzyszenie Sheridan. Dwadzieścia funtów za butelkę u szatniarza. Lepszej nie znajdziesz.

Peter rozważa propozycję i Will widzi na jego twarzy napięcie, jakby wewnątrz toczyły się właśnie zmagania dwóch drużyn przeciągających linę. W końcu jednak Peter kręci głową.

- Pójdę już do łóżka.

BEZKRWAWA ILUZJA MAŁŻEŃSTWA

Jednak kiedy Peter jest już w łóżku, nie może przestać o tym myśleć.

Picie krwi - bez kłopotów, bez wyrzutów sumienia.

Żeby zaspokoić pragnienie, nie trzeba było zdradzać żony, kraść ani mordować. Wystarczyło tylko udać się do lokalu w Manchesterze, kupić krew i wypić, i człowiek był znowu szczęśliwy, o ile to właściwe słowo.

Tyle się zmieniło od tego czasu. Teraz wszystko wydawało się takie proste. Było stowarzyszenie, o którym opowiadał Will, i lista nietykalnych wampirów.

Peter leży, rozmyśla o tym i zastanawia się, jak Helen może czytać, kiedy dzieje się tyle rzeczy. No dobrze, właściwie od wejścia do łóżka nie przewróciła ani jednej strony, więc chyba tak naprawdę nie czyta, ale siedzi z jakimś bezkrawawym smętem, który musi zmęczyć na spotkanie klubu czytelników w przyszłym tygodniu. W sumie chyba na jedno wyjdzie.

Zerka na książkę Helen. Ambitna powieść historyczna *Zaćwierkał ostatni wróbel*. Tytuł nic Peterowi nie mówi. W życiu nie słyszał ćwierkania.

Zastanawia się, dlaczego to dla niej takie ważne. Zachowywać się, jakby nic się nie stało. Zawracać sobie głowę przygotowywaniem niedzielnej pieczeni, chodzeniem do klubu czytelników, segregowaniem odpadów, jedzeniem śniadań jak należy przy stole i parzeniem kawy. Jak ona to robi, kiedy stres iskrzy wszędzie jak elektryczność wokół słupa wysokiego napięcia?

To wszystko po to, żeby ukryć prawdę, ale kiedy prawda bije w oczy, jaki ma sens zawracanie sobie tym głowy? To dla niego tajemnica. Tak jak powód, dla którego uległa w sprawie Willa. „Zostanie do jutra”. Dlaczego? Wzbiera w nim gniew, choć nie jest pewien, czego ów gniew dotyczy ani dlaczego tak się tym wszystkim przejmuje.

Postanawia przerwać milczenie w niektórych sprawach, przedstawić je na forum sypialni, ale po chwili uświadamia sobie, że to pomyłka.

- Nocny klub? - Helen kładzie książkę na łóżku. - Nocny klub?

Peter czuje się bezbronny i jest mu trochę wstyd, ale jednocześnie to dla niego wielka ulga, że może porozmawiać szczerze z żoną.

- Tak - ciągnie temat, z najwyższą ostrożnością. - Will mówi, że można ją kupić u szatniarza. Myślałem, że to mogłoby nam pomóc.

O, nie, myśli. Posunąłem się za daleko. Helen zaciska zęby. Rozszerzają się jej nozdrza.

- Jak to pomóc? Pomóc w czym? Teraz nie ma już odwrotu.

- Pomóc nam. Mnie i tobie.

- Między nami wszystko jest w porządku. Peter zastanawia się, czy Helen mówi poważnie.

- Tak? A na jakim świecie?

Helen odkłada książkę o wróblach na szafkę, zsuwa się, kładzie głowę na poduszce i gasi światło. Peter czuje w mroku nerwowe napięcie, niczym pole elektryczne.

- Słuchaj - zaczyna Helen tonem, który oznacza: starczy już tych banialuk! - Nie mam zamiaru siedzieć pół nocy i omawiać twojego kryzysu wieku średniego. Nocne kluby!

- Moglibyśmy przynajmniej raz na jakiś czas spróbować swojej krwi. Kiedy ostatni raz to zrobiliśmy? W Toskanii? W Dordogne? W te święta, kiedy pojechaliśmy do twojej mamy? W którym stuleciu?

Serce mu wali i jest zaskoczony, ile jest w nim gniewu. Jak zwykle podczas kłótni, złość nie jest jego sojusznikiem.

- Spróbować krwi! - Helen prycha gniewnie, szarpiąc mocno kołdrę. - Tylko to ci w głowie?

- W rzeczy samej, owszem! - Odpowiedział za szybko i teraz musi stawić czoła prawdzie. Prawdzie, którą jeszcze raz ubiera w żalony wyraz: - Tak.

Helen nie chce się kłócić z Peterem.

Po pierwsze, nie ma na to siły. I ma przed oczami dzieci w łózkach, wsłuchane w każde ich słowo. I Willa. Jeżeli dalej jest na patio, to pewnie też ich słyszy i bez wątpienia ma nieziemski ubaw.

Próbuje uciszyć męża, ale ten nawet jej nie słucha. Tak czy inaczej, dalej wylewa żale, co tylko wzmacnia jej gniew, nad którym - podobnie jak nad całą resztą wydarzeń tego upiornego weekendu - nie potrafi zapanować.

Więc tylko leży, wściekła w równej mierze na siebie i na Petera, podczas gdy ten dalej sypie sól w otwartą ranę ich małżeństwa.

- Nie rozumiem - mówi. - Po co to wszystko? Nie pijemy swojej krwi. Kiedyś dawało nam to tyle przyjemności. Ty dawałaś mi tyle przyjemności. Razem chodzimy teraz tylko do teatru na niekończące się sztuki. A przecież chodzi o nas, Helen. To my jesteśmy cholernym spektaklem.

Jedyną odpowiedzią, na jaką Helen się zdobywa, jest wzmianka o tętniącym jej w głowie bólu. To prowokuje kolejną agresywną tyradę męża.

- Boli cię głowa! - powtarza, wydzierając się na cały regulator. - Wiesz co? Mnie też boli głowa. Wszystkich nas boli głowa. I mamy mdłości. I anemię. I stare obolałe gnaty. I brak choćby śladowego poczucia sensu użerania się z kolejnym dniem. A jedyne lekarstwo, które by to wszystko wyeliminowało, jest nam zabronione.

- No to je sobie weź - odpowiada. - Weź je! Zabieraj się ze swoim bratem i mieszkaj z nim w tej jego cholernej furgonetce. I weź ze sobą Lornę!

- Lornę? Lornę Felt? A co ona ma z tym wspólnego?

Hel en nie daje się nabrać na fałszywe zdziwienie, ale ścisza głos.

- Peter, daj spokój, flirtujesz z nią. To żenujące, jak się na was spojrzy.

Helen szybko układa w myślach listę, na wypadek gdyby zależało mu na konkretach. W piątek na kolacji. W kolejce w delikatesach. Na wszystkich wywiadówkach. Na grillu zeszłego lata.

- Helen, nie bądź śmieszna. Lorna! - To aż się prosi o ripostę. - A zresztą tobie jest i tak wszystko jedno.

Helen słyszy, jak gdzieś w domu skrzypi podłoga. Chwilę później ze schodów dobiegają znajome kroki syna.

- Peter, jest późno - szepcze. - Chodźmy już spać.

Jednak teraz to on jest w ofensywie i chyba nawet jej nie usłyszał. Ciągłe krzyczy tak zaciekle, że żadnemu z domowników nie umknie nawet sylaba.

- Sama przyznaj - mówi. - Jeżeli tak to ma wyglądać, po co mamy w ogóle być razem? Zastanów się. Dzieci pójdą na studia i zostaniemy tylko my, uwięzieni w bezkrwawej iluzji małżeństwa.

Helen nie wie, czy się śmiać, czy płakać. Wie za to, że jeżeli zacznie jedno albo drugie, to już nie przestanie. Uwięzieni.

Czy to właśnie powiedział?

- Nie masz o niczym pojęcia, Peter. Nie masz pojęcia! Leżąc skulona w małej mrocznej jamie, którą wymościła sobie pod kołdrą, Helen czuje, jak cała jej istota, nad którą nie panuje, z całej siły tęskni za uczuciem, którego doświadczyła wiele lat temu, kiedy zapomniała o wszystkich problemach - o pracy, o tym, jak zrozpaczona odwiedzała umierającego ojca, i o ślubie, co do którego miała wątpliwości. Zapomniała o tym, tworząc nowy problem, jeszcze większy, z tyłu cholernej furgonetki. Choć wtedy nie wyglądało to na problem. To wyglądało na miłość, i to miłość tak totalną, że mogła się w niej taplać i zmyć nią wszystko inne, wkroczyć do idealnego, przynoszącego pocieszenie mroku i żyć swobodnie jak we śnie.

A co najgorsze, wie, że ów sen siedzi na dworze, na patio, sączy krew i czeka, aż ona zmieni zdanie.

- Nie mam pojęcia? - mówi Peter gdzieś nad kołdrą. - Nie mam pojęcia? To kolejny konkurs, który wygrałeś? Konkurs tego, kto czuje się bardziej uwięziony?

Helen wychodzi spod kołdry.

- Przestań zachowywać się jak dziecko. - Zdaje sobie sprawę z ironii swoich słów, rozumie, że tak naprawdę jest w takim samym stopniu dzieckiem jak on, że dorosłość nigdy nie przyjdzie im naturalnie. To zawsze będzie poza, zbroja wkładana na złaknione dziecięce dusze.

- Do kurwy nędzy - cedzi Peter. - Po prostu chcę być sobą. Czy to zabronione?

- Jak najbardziej. Peter prycha.

- To jak mam niby przeżyć całe życie, nie będąc sobą?

- Nie wiem - mówi zgodnie z prawdą Helen. - Naprawdę nie wiem.

MILENIA

Lorna Felt czuje na wewnętrznej stronie uda twarde zarost męża i zastanawia się, co wstąpiło w Marka.

Leżą pod różowo-żółtym tantrycznym schematem prawej stopy i pod symbolami oświecenia.

Muszelka i lotos.

Leżą nadzy na łóżku i Lorna delektuje się tym, jak Mark ją liże, całuje i muska, jak nigdy w życiu nie lizał, nie całował i nie muskał.

Musi mieć otwarte oczy, żeby upewnić się, że to ten sam mężczyzna, którego rozmowy łóżkowe zazwyczaj schodzą na temat zaległego czynszu.

Wchodzi na nią. Ich pocałunki są brutalne i pierwotne, całują się tak, jak ludzie całowali się zapewne tysiące lat temu, zanim wymyślono imiona, ubrania i dezodoranty.

Nagle, kiedy rozkoszna słodycz rozchodzi się po jej ciele z każdym jego pchnięciem, Lorna czuje się obiektem pożądania. Chwyta się tego uczucia - i Marka - ze swoistą zaciekłością, wpija mu się palcami w plecy, przylepia się do jego słonej skóry jak do skały uderzanej wściekłymi falami.

Szepcze jego imię, wiele razy, a on jej. Potem słowa się kończą, Lorna obejmuje go nogami i przestają być „Markiem” i „Lorną” czy „Feltami”, i stają się czymś tak doskonałym i nieskończonym jak sama noc.

WŚCIEKŁY, ZŁY, NIEBEZPIECZNY DRAŃ

Odwodnienie to jedna z częstszych przypadłości Rowana, która gnębi go właśnie teraz, mimo że wypił przed pójściem do łóżka cały karton soku z jabłka i dzikiego bzu. Ma wysuszone usta. Zaszło mu w gardle. Jego język jest jak kawałek szorstkiej gliny i przełykanie śliny przychodzi mu z wielką trudnością.

Kiedy rodzice zaczęli się kłócić, usiadł na łóżku i wypił wszystko, co zostało z Night Nurse, co jednak ani nie ugasiło pragnienia, ani nie pomogło mu zasnąć. Zszedł więc na parter do kuchni, gdzie teraz nalewa sobie wody z dzbanka z filtrem.

Z korytarza widzi, że drzwi na patio są otwarte i wychodzi w piżamie na dwór. Noc jest ciepła i Rowan nie ma jeszcze ochoty wracać na górę, nie - dopóki rodzice skaczą sobie do oczu. Chce z kimś porozmawiać, żeby zapomnieć o problemach, nawet jeżeli tą osobą ma być Will.

- To czym się zajmujesz? - pyta Rowan, kiedy rozmowa trochę się rozkręca. - To znaczy, masz jakąś pracę?

- Jestem profesorem. Zajmuję się literaturą romantyczną. Głównie poetami wampirami. Choć musiałem też wspomnieć Wordswortha.

Rowan przytakuje. Jest po wrażeniu.

- Na której uczelni?

- Wykładałem wszędzie. Na Cambridge. W Londynie. W Edynburgu. Tu i ówdzie za granicą. Spędziłem rok na uniwersytecie w Walencji. Koniec końców, wylądowałem w Manchesterze. Tam jest bezpiecznie. Dla wampirów. Jest tam sieć wsparcia.

- I dalej tam wykładasz?

Will kręci głową. Oczy zachodzą mu smutkiem.

- Zacząłem mieszać pracę z przyjemnościami i skończyło się tym, że przegiąłem ze studentką. Doktorantką. Była mężatką. Miała na imię Tess. Posunąłem się za daleko. I choć władze uczelni nigdy nie odkryły prawdy, dwa lata temu zrezygnowałem z posady. Spędziłem miesiąc na Syberii, żeby wszystko sobie poukładać.

- Na Syberii?

- Festiwal Grudniowy. Wielka feta dla miłośników sztuki i krwi.

- Jasne.

Patrzą na mętną wodę w stawie, a nad nimi dalej rozbrzmiewają wściekłe głosy. Will pokazuje na niebo, jakby dyskusja, która do nich dociera, toczyła się między odległymi bóstwami.

- Zawsze tak jest? Czy to na moją cześć? Rowan mówi, że to rzadkość.

- Zazwyczaj to w sobie tłamszą.

- Ach, małżeństwo. - Delektuje się brzmieniem słowa, pociągając łyk swojego trunku. - Znasz to powiedzenie: Miłość to wino, a małżeństwo - ocet.

W każdym razie ja tak mawiam. Nie, żebym był miłośnikiem wina. - Przygląda się Rowanowi. - Masz jakąś dziewczynę?

Rowan myśli o Eve i nie umie zamaskować bólu w głosie.

- Nie.

- Toż to karygodne.

Rowan popija wodę, potem wyjawia kłopotliwą prawdę.

- Nie podobam się dziewczynom. W hierarchii szkolnej jestem na samym dole. Jestem tylko bladym cherlakiem, typkiem z wysypką.

Przypomina sobie, jak Eve opowiedziała mu, że mamrotał przez sen jej imię, i wzdryga się na myśl o tym.

- Czyli nie jest wam lekko - komentuje Will z troską w głosie, jak dla Rowana autentyczną.

- Clara radzi sobie chyba troszkę lepiej. Will wzdycha ciężko.

- Szkoła. Okrutne czasy.

Popija krew, w tym świetle czarną, a zamyślony Rowan nie może oderwać od niej wzroku. Czy po to wyszedł? Po krew? Próbuje przegonić te myśli i kontynuuje opowieść. Mówi Willowi, że w szkole nie jest wcale tak ciężko (kłamstwo) i że dałby sobie spokój, gdyby nie matura - chce zdawać angielski, historię i niemiecki - żeby pójść na studia.

- Jakie?

- Właśnie na anglistykę.

Will uśmiecha się do niego przyjaźnie.

- Studiowałem na Cambridge. Nie znosiłem studiów. Opowiada Rowanowi o krótkim epizodzie w Klubie Nocnych

Motocyklistów, dość antypatycznej klice chodzących w apaszkach, wiecznie rozbawionych krwiopijców, którzy spotykali się regularnie na słuchanie niszowej psychodelii, debaty o poezji bitników, odgrywanie skeczy Monty Pythona i wymianę krwi.

To w sumie całkiem równy gość, myśli Rowan. Może zabija tylko tych, którzy na to zasłużyli?

Jego wuj wydaje się przez chwilę zaabsorbowany czymś po drugiej stronie ogródka. Rowan patrzy na szopę, ale nic nie widzi. Tak czy siak, nie wygląda, jakby Will się tym przejmował. Mężczyzna mówi dalej tonem, w którym pobrzmiwa wieczność i wszechwiedza.

- Ciężko być odmieńcem. Ludzie się tego boją. Ale ze wszystkim można sobie poradzić. - Upija krew z kieliszka. - Spójrz choćby na Byrona.

Rowan zastanawia się, czy to nie haczyk, na który ma się złapać, ale nie przypomina sobie, żeby zwierzał się wujowi ze swojego uwielbienia poezji Byrona.

- Byron? - pyta. - Lubisz Byrona?

Will spogląda na niego, jakby to było oczywiste.

- Najlepszy poeta w historii. Pierwsza prawdziwa sława czasów nowożytnych. Wściekły, zły, niebezpieczny drań. Podziwiany przez mężczyzn i

adorowany przez kobiety. Nieźle jak na pyzatego, zezowatego knypka z kulasem.

- Nieźle - powtarza Rowan i uśmiecha się mimo woli. - Faktycznie nieźle.

- Oczywiście w szkole był popychadłem. Dopiero inicjacja w burdelu przez florencką wampirzycę, kiedy miał osiemnaście lat, wszystko wyprostowała.

Will spogląda na butelkę. Pokazuje Rowanowi etykietę. *Upiciem chwile są najśłodsze za młodu*¹⁰. Byronowi spodobałaby się Isobel.

Rowan patrzy na butelkę i czuje, jak jego opór słabnie. Nie może sobie przypomnieć, dlaczego właściwie każe mu się za wszelką cenę wytrwać. W końcu i tak jest wampirem - czy pija krew, czy nie. A Clara nie zabiła Harpera po wypiciu wampirzej krwi. Jeżeli już, to było na odwrót. Może gdyby pijała wampirzą krew w umiarkowanych ilościach, tak by się to nie skończyło.

Will przygląda się chłopcu. Jak pokerzysta, który szykuje się do wyłożenia najlepszego układu.

- Chcesz polecieć - mówi - to jej skosztuj. Jeżeli jest w szkole jakaś dziewczyna, która ci się podoba, niezwykła dziewczyna, spróbuj tylko Isobel i patrz, co się będzie działo.

Rowan myśli o Eve. Jak się czuł, kiedy siedział obok niej na ławce. A skoro i tak ma się dowiedzieć, że Rowan jest wampirem, to równie dobrze może być wampirem atrakcyjnym i pewnym siebie.

- Sam nie wiem... Trochę się...

- Zrób to - zachęca Will uwodzicielskim tonem diabła. - Nie skreślaj czegoś, czego nie znasz. Weź ją do pokoju, nie musisz pić teraz.

Kiedy to mówi, krzyki na piętrze przybierają na sile, zwłaszcza wybija się głos Petera.

- Co to ma znaczyć?!

I matka:

- Doskonale wiesz, co to ma znaczyć! Rowan prawie bezwiednie sięga po butelkę. W oczach Willa lśni duma.

- Oto świat. Masz go u stóp.

Rowan przytakuje i się podnosi, nagle zdenerwowany i zakłopotany.

- Zgoda. Wezmę i sobie to przemyślę.

- Dobranoc, Rowanie.

- Dobranoc.

¹⁰ G. Byron, Don Juan, przeł. Edward Porębowicz, w: G. Byron, Wybór dzieł t. 3., PIW, Warszawa 1986, s. 124.

PANIKA I RDESTNICA

Will dopija resztkę Isobel z kieliszka i zamyka oczy. Teraz, kiedy Peter i Helen przestali się w końcu kłócić, naprawdę dostrzega panującą ciszę. Myśli o wszystkich dźwiękach, które składają się na jego życie. Miarowy szum autostrady. Klaksony i młoty pneumatyczne miasta. Ostry ryk gitar. Uwodzicielskie szepty dopiero co poznanych kobiet i, niedługo potem, ich jęki rozkoszy i strachu. Pęd powietrza podczas lotu nad morzem w poszukiwaniu miejsca na wyrzucenie zwłok.

Cisza zawsze wzbudzała w nim niepokój. Nawet czytając poezję, musi coś słyszeć w tle - muzykę albo szum ruchu drogowego, albo gwar głosów w zatłoczonej kawiarni.

Hałas to życie.

Cisza to śmierć.

Ale teraz, w tej chwili, cisza nie jest aż taka straszna. Wydaje się pożądanym zakończeniem, celem, miejscem, do którego dąży hałas. Spokojne życie.

Widzi siebie i Helen prowadzących tuczarnię i ta wizja go rozśmiesza.

Potem, kiedy lekki wiatr zmienia kierunek, wychwytuje zapach krwi, ten sam, który poczuł wcześniej. Przypomina sobie o żywym stworzeniu za szopą.

Wstaje z krzesła i przechodzi miarowym krokiem obok stawu, podczas gdy intensywność woni rośnie. To nie jest borsuk ani kot. To człowiek.

Will słyszy kolejny trzask gałązki i zamiera.

Nie boi się, ale wie, że ten, kto chowa się za szopą, jest tam z powodu Willa.

- Tiru-riru - mówi cicho Will.

Potem zapada kompletna cisza. Nienaturalna cisza. Cisza spiętych kończyn i wstrzymanego oddechu.

Will zastanawia się, co zrobić. Czy pójść ku drzewom i zaspokoić ciekawość, czy wrócić do domu. Nie ma specjalnej ochoty na kwaśną krew mężczyzny. W końcu odwraca się i odchodzi. Jednak zaraz potem słyszy podążające za nim kroki i świst przecinanego powietrza. Robi unik i kątem oka widzi wymierzoną w siebie siekiere. Napastnik prawie upada od siły ciosu. Will chwyta go, mocno przytrzymuje za koszulkę piłkarską. Potrząsa nim, widzi zdesperowaną twarz. Nieznajomy nadal trzyma w dłoni siekiere, więc Will podnosi go razem z nią i wrzuca do stawu.

Czas na straszaki.

Kiedy wyciąga mężczyznę z wody, ten ma na twarzy panikę i rdestnicę. Błysk kłów, potem pytanie:

- Kim jesteś?

Nie otrzymuje odpowiedzi. Jego nadludzki słuch rejestruje dobiegający z domu odgłos. Will widzi, jak w sypialni Petera i Helen zapala się światło i kiedy w otwartym oknie pojawia się brat wampira, mężczyzna jest już pod wodą.

- Will? Co ty wyprawiasz?

- Miałem ochotę na sushi. Na coś, co zagryzione będzie się wić.

- Na miłość boską, wyjdź ze stawu.

- Jasne, Petey. Dobranoc.

Teraz mężczyzna zaczyna się naprawdę wrywać i Will musi przytrzymać go głębiej, żeby nie robił fal. Napiera mu kolanem na brzuch i przyciska do dna stawu. Wtedy Peter zamyka okno i znika z powrotem w pokoju, chcąc zapewne uniknąć zainteresowania sąsiadów.

Will wyciąga mężczyznę z wody.

Ten, choć kaszle i prycha, nie błaga o litość.

Will mógłby go zabić.

Mógłby z nim polecieć i zabić go trzysta metrów nad tą żalostną Mieścią, gdzie nikt by nic nie usłyszał. Ale coś się stało. Coś się dzieje. Tutaj, w ogrodzie należącym do jego brata i ukochanej kobiety wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Pojawia się chwila namysłu przed działaniem. Idea związku między czynem a jego konsekwencjami. Przychodzi mu do głowy, że ów mężczyzna trafił tu w wyniku czegoś, co Will zrobił kiedyś, z powodu jakiejś spontanicznej decyzji podjętej przez niego kilka dni albo miesięcy, albo lat temu. Zabicie go wiązałoby się z dalszymi konsekwencjami.

Will pragnie tylko odpowiedzi.

- Kim jesteś?

Widział już kiedyś te oczy. Czuł tę krew. Dostrzegł tę samą mieszankę strachu i nienawiści. Ta konstatacja go demotywuje.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Will puszcza mężczyznę. Bezimienny napastnik ucieka przez wodę, potem szybko wychodzi ze stawu. Idzie tyłem, żeby nie stracić Willa z oczu, a woda znaczy na bruku trasę jego ucieczki aż do samej bramy. Potem nieznajomy ulatnia się.

Chwilę później Will przeklina swoją słabość. Wkłada dłoń z powrotem do zimnej wody, żeby poczuć ślizgającą się rybę. Chwyta ją. Wyciąga.

Stworzenie rzuca się i miota w pustce powietrza.

Will wciska sobie brzuch ryby do ust i, wysuniętymi ponownie kłami, wgryza się w jej ciało. Wysysa mizerną ilość krwi, po czym wyrzuca truchło do wody.

Wychodzi ze stawu i wraca, ociekając, do furgonetki. Zostawia za sobą unoszącą się w wodzie martwą rybę i zatopioną siekiere.

SATURN

Po powrocie do pokoju Rowan siedzi chwilę na łóżku z butelką wampirzej krwi w dłoniach.

Co by się stało, myśli, gdybym wypił tylko jeden łyk? Gdybym trzymał usta prawie zaciśnięte i pozwolił przesączyć się tylko najmniejszej kropli, na pewno opanowałbym się potem, żeby nie wypić reszty.

Nie słyszy hałasów z ogrodu po drugiej stronie domu. Dociera do niego dźwięk kroków wychodzącej z pokoju siostry. Od razu chowa butelkę pod łóżkiem, obok starej lalki z papier mache, którą zrobił wiele lat temu, zmuszony pewnego sobotniego ranka przez matkę do pójścia na zajęcia rękodzieła w domu kultury. (Wybrał - w odróżnieniu od pozostałych, którzy robili lalki piratów albo księżniczek - rzymskiego boga Saturna, uchwyconego w akcie pożerania własnych dzieci. Jego dzieło zrobiło spore wrażenie na dziesięcioletniej Sophie Dewsbury, która wybuchła płaczem na widok efektu zmyślnie uzyskanego za pomocą czerwonej farby i krepy. Później opiekunka koła zasugerowała Helen, żeby Rowan poszukał sobie innego zajęcia na sobotnie poranki).

Jego siostra otwiera drzwi i przygląda mu się lekko zdziwiona.

- Co robisz?

- Nic. Siedzę na łóżku.

Wchodzi do pokoju i siada obok niego, podczas gdy rodzice dalej się kłócą.

Clara wzdycha i spogląda na plakat Morrisona.

- Oby się w końcu zamknęli.

- Wiem.

- To przeze mnie, prawda? - Po raz pierwszy tego weekendu sprawia wrażenie autentycznie zasmuconej.

- Nie - mówi Rowan. - Nie kłócą się przez ciebie.

- Wiem, ale gdybym nie zabiła Harpera, toby się teraz nie kłócili, prawda?

- Może i nie, ale moim zdaniem od dawna im się zbierało I nie powinni byli nas okłamywać.

Widząc, że jego słowa stanowią dla niej marną pociechę, postanawia wyciągnąć spod łóżka krew. Clara oniemiała patrzy na wypitą do połowy butelkę.

- Will - wyjaśnił Rowan. - Dał mi ją, ale jeszcze nic nie wypilem.

- Masz zamiar?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem.

Rowan podaje butelkę Clarze. Korek piszczy ponętnie, kiedy dziewczyna go wyciąga. Chłopiec przygląda się, jak Clara wacha zawartość. Odchyła się i pociąga łyk, a kiedy prostuje głowę, na jej twarzy nie ma już zmartwień.

- Jak smakowało? - pyta Rowan.

- Bosko. - Uśmiecha się z zakrwawionymi zębami i wargami. - Słuchaj - mówi dalej, oddając butelkę bratu. - Wszystko jest kwestią samokontroli. Spróbujesz?

- Nie wiem - odpowiada.

Dziesięć minut po wyjściu siostry Rowan nadal nie wie. Wciąga zapach, tak jak robiła to siostra. Opiera się. Odstawia butelkę na stolik przy łóżku i próbuje skoncentrować się na czymś innym. Podejmuje kolejną próbę dokończenia wiersza, który pisał o Eve, ale kompletnie mu nie idzie, więc zaczyna czytać Byrona.

*Idzie w piękności, jak noc, która kroczy
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,
To w jej obliczu i w jej oczach taje¹¹.*

Skóra go swędzi i ciężko mu się skoncentrować, wzrok ślizga się po wyrazach jak stopy po lodzie. Ściąga T-shirt i widzi mapę plam rozchodzących się po klatce piersiowej i ramionach, obszar normalnej skóry znika jak lodowce we wrzącym morzu.

Roman Plamiasty!

Przypomina mu się nienawistny głos Toby'ego i Harper, który śmiał się z tego, jakby usłyszał dowcip stulecia.

Potem myśli o czymś, co się stało w zeszłym miesiącu. Szedł w stronę cienia samotnego kasztanowca na końcu szkolnego boiska, kiedy Harper podbiegł do niego z tyłu tylko po to, żeby na niego skoczyć i obalić go na ziemię. Rowan przypomina sobie, jak potężny, bezlitosny kolos wciskał go w trawę, dusił go, jak prawie pękały mu płuca, potem słyszał stłumiony śmiech reszty chłopców, wśród nich Toby'ego, przez który przebijał się neandertalski ryk Harpera.

- Kutafon się dusi!

I kiedy Rowan tak leżał przygnieciony, nawet nie miał ochoty walczyć. Chciał tylko zapaść się w twardą ziemię i nigdy nie wrócić.

Bierze butelkę ze stolika.

Zdrowie Harpera, myśli, po czym pociąga łyk.

Wyborny smak obmywa mu język, a niepokój i napięcie ulatniają się. Doskonale mu znane bóle i przypadłości znikają prawie natychmiast i chłopiec czuje się rześki i skoncentrowany.

Tak niezwykle rześki, jakby wcześniej spał.

Spał od stu lat.

¹¹ G. Byron, *Idzie w piękności*, przeł. Stanisław Koźmian, w: G. Byron *Wybór dzieł t. I*, PIW, Warszawa 1986, s. 88.

Odejmuje butelkę od ust i przygląda się swojemu odbiciu - różowe plamy znikają, tak samo jak zmęczenie i szarość pod oczami.

Chcesz polecieć, to jej skosztuj. Grawitacja to tylko prawo - można je złamać. Ani się obejrzy, a już się unosi, lewituje nad łóżkiem i *Poradnikiem abstynenta* leżącym na stoliku.

Wybuch śmiechem, który skręca go w powietrzu. Nie może opanować radości, jakby całe jego dotychczasowe życie było jednym wielkim żartem, a on dopiero teraz dotarł do puenty.

Ale żarty właśnie się skończyły.

Nie jest Romanem Plamiastym.

Jest Rowanem Radleyem.

I może zrobić wszystko.

PONIEDZIAŁEK

Trzymajcie wyobraźnię w ryzach. Nie dajcie się ponieść groźnym fantazjom. Nie kontemplujcie wizji życia, które moglibyście prowadzić. Zajmijcie się czymś. Idźcie na siłownię. Rzućcie się w wir pracy. Odpiszcie na zaległe e-maile. Zapełnijcie sobie czas banalnymi spotkaniami towarzyskimi. Działanie tłumi wyobraźnię. A wyobraźnia jest dla nas jak samochód pędzący ku przepaści.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 83

PAN POLICYJNA ENCYKLOPEDIA

York. Komenda główna policji North Yorkshire. Główny komisarz Geoff Hodge siedzi w swoim gabinecie, żałując, że poskapił sobie śniadania. Oczywiście wie, że nie zaszkodziłoby mu zrzucić paręnaście kilogramów, i wie, że Denise martwi jego poziom cholesterolu i temu podobne, ale nie można zacząć pracowitego tygodnia miseczką płatków z suszonymi owocami i orzechami na odtłuszczonym mleku oraz żalonym mandaryniątkiem, czy co to właściwie było. Ostatnio na czarną listę trafiło nawet masło orzechowe.

Masło orzechowe!

- Za słone i zawiera olej roślinny - wyjaśniła.

Denise zgłębiła tajniki oleju roślinnego na spotkaniach Weight Watchers. Z tyrad Denise można by wywnioskować, że olej roślinny jest gorszy od kokainy.

Teraz, przyglądając się dwójce bezużytecznych krawężników, żałuje, że po prostu jej nie zignorował. Choć oczywiście Denise nie da się tak po prostu zignorować.

- Czyli przesłuchaliście Clarę Radley, ale nie zrobiliście żadnych notatek?

- Poszliśmy tam i... uznaliśmy jej wyjaśnienia za satysfakcjonujące - mówi posterunkowa Langford.

Ta ich nowomowa, myśli Geoff. Po szkoleniu w Wildfell Hall wszyscy trajkoczą jak roboty.

- Uznaliście jej wyjaśnienia za satysfakcjonujące? - prychnął Geoff. - Wszystko pięknie i ładnie, słonko, ale to nasz numer jeden na liście podejrzanych!

Posterunkowi kulą się od jego głosu.

Może, myśli Geoff, gdybym zjadł śniadanie z cholernym olejem roślinnym, teraz byłbym w stanie utrzymać nerwy na wodzy. Nic straconego, trzy paszteciki z setem i cebulą na lunch powinny to nadrobić.

- Więc? - mówi, zwracając się do drugiego posterunkowego, Henshawa.

Bezużyteczny wykastrowany spaniel, nie facet, myśli Geoff.

- Pana kolej, panie Tweedledee.

- Nie wyszły żadne istotne fakty. Nie naciskaliśmy za mocno, bo to w końcu rutynowa sprawa. Wie pan, że każdego dnia dostajemy zgłoszenie o zaginięciu dwóch...

- Panie Policyjna Encyklopedio, nie pytałem o statystyki. Ta cholerna sprawa z całą pewnością stała się właśnie mniej rutynowa.

- Dlaczego? - pyta posterunkowa Langford. - Coś się pojawiło?

- Ciało chłopaka. Oto, co się pojawiło. A dokładnie rzecz biorąc, wypłynęło, z cholernego Morza Północnego. Przed chwilą dzwoniли do mnie z East Yorkshire. Znaleźli go na skałach przy Skipsea. To ten chłopak, Stuart Harper. Ktoś go nieźle zmasakrował.

- Boże - mówią jednym głosem oboje posterunkowi.
- Otóż to - potwierdza Geoff. - Boże, jak nie może.

KONTROLA

Rowan spędził większość nocy, pisząc wiersz o Eve, do którego nie mógł się zabrać od wielu tygodni. Eve: *Oda do cudów życia i piękna* zamieniła się w epicki poemat, zawierający w sumie siedemnaście strof, które zapełniły wszystkie strony jego notatnika formatu A4.

Mimo że Rowan prawie w ogóle nie spał, teraz przy śniadaniu jest mniej zmęczony niż zwykle. Siedzi, je szynkę i słucha radia.

Kiedy rodzice sprzeczą się w przedpokoju, chłopiec mówi do Clary.

- Spróbowałem.

- Czego?

- Krwi.

Clara robi wielkie oczy.

- I?

- Wróciła mi wena.

- Czujesz się inaczej?

- Zrobiłem sto pompek. Normalnie nie zrobię dziesięciu. I przeszła mi wysypka. I migreny. Mam tak wyostrzone zmysły, jakbym był superbohaterem.

- Wiem, to niesamowite, prawda?

Wchodzi Helen.

- Co jest niesamowite?

- Nic.

- Nic?

Rowan zabiera butelkę do szkoły, w autobusie siada obok Clary. Widzą, jak Eve wyprzedza ich w taksówce Beeline. Dziewczyna wzrusza ramionami i mówi z tylnego siedzenia bezgłośnie: „Mój tata”.

- Myślisz, że jej powiedział? - pyta siostrę Rowan.

- O czym?

- Wiesz, że jesteśmy...

Clara boi się, że ktoś usłyszy. Odwraca się na siedzeniu.

- Co kombinuje Toby?

Rowan widzi Toby'ego z tyłu autobusu, jak rozmawia z grupką gimnazjalistów. Co jakiś czas któryś z nich zerka na Radleyów.

- Kogo to obchodzi?

Clara patrzy na niego, marszcząc brwi.

- Krew uderzyła ci do głowy.

- Może w takim razie ty powinnaś sobie strzelić lampkę. Robisz się niemrawa.

Wskazuje na swój tornister.

Clara patrzy na plecak brata, zafascynowana, ale i przestraszona zarazem. Autobus zwalnia. Za oknem przesuwa się powoli ładny pomalowany na kremowo pub Lis i Korona. Zatrzymują się w Farley. Przystanek Harpera.

Nieliczni uczniowie, którzy wsiadają, są podekscytowani dramatem czyjegoś zaginięcia.

Rowan zauważył to już wcześniej, dwa lata temu, kiedy na boisku szkolnym umarł na atak astmy Leo Fawcett - dreszczyk, który przechodzi ludzi, kiedy dzieje się coś strasznego, podniecenie, do którego nigdy by się nie przyznali, ale które pobłyskuje im w oczach w trakcie opowieści o tym, jak im niezmiernie przykro.

- Nie - mówi Clara. - Nie chcę. Boże, nie mogę uwierzyć, że ją ze sobą wzięłeś. Musimy uważać.

- Co się stało Radleyom? - mówi, mijając ich, Laura Cooper - Są nie do poznania.

Rowan wzrusza ramionami i wygląda przez okno na lekką poranną mgłę na polach, jakby krajobraz skrył się za woalką. Chłopiec jest szczęśliwy, mimo wszystko. Mimo wątpliwości siostry mimo Toby'ego oraz reszty uczniów. Jest szczęśliwy, ponieważ wie, że za niecałą godzinę zobaczy Eve.

Jednak kiedy w końcu ją widzi, stojącą przed nim w rzędzie na porannym apelu, czuje się przytłoczony. Przy tak wyostrzonych zmysłach zapach jej krwi jest zbyt intensywny i podniecający w swojej złożonej kompozycji. Tuż obok, wystarczy ugryźć.

Może dlatego, że Eve spięła włosy i odsłoniła szyję, Rowan zdaje sobie sprawę, że nie panuje nad sobą tak dobrze, jak mu się wydawało.

- I tak wszyscy żywimy wielką nadzieję - cedzi pani Stokes z podestu na końcu auli - nadzieję, którą dzieli z nami zapewne każdy z siedzących w tej auli, że Stuart Harper powróci bezpiecznie do domu...

Czuje krew Eve. To wszystko, co się liczy. Tylko jej krew i obietnica smaku, który przewyższy wszystko inne.

- ...jednak na razie pozostaje nam modlić się o jego bezpieczeństwo, jak również zachowywać ostrożność poza murami szkoły...

Czuje, jak nachyla się coraz bardziej, niczym we śnie na jawie. Wtedy dociera do niego głośne kasznięcie z podestu z boku auli. To siostra gromi go spojrzeniem, które wyrywa go z transu.

TRZY FIOŁKI

W dużym mieście Peterowi najbardziej podobało się to, że są siedzi prawie całkowicie powstrzymywali się od plotkowania

W Londynie można było cały dzień spać, potem całą noc pić świeżą hemoglobinę, a w żadnym oknie nawet nie drgnęła zasłona na poczcie nikt nie szeptał podejrzliwym tonem. Na jego ulicy w Clapham nikt go nie znał i nikogo nie obchodziło, w jaki sposób Peter spędza wolny czas.

Jednak w Bishopthorpe sprawy zawsze przedstawiały się inaczej Szybko zdał sobie sprawę, że plotki nie mają końca, nawet jeżeli zupełnie jak ćwierkające na drzewach ptaki, często cichły w jego obecności.

Kiedy przeprowadzili się na Orchard Lane, ciąża Helen nie była jeszcze widoczna i ludzie chcieli wiedzieć, dlaczego ta atrakcyjna, młoda bezdzietna para z Londynu postanowiła przenieść się do spokojnego miasteczka na odludziu.

Mieli oczywiście przygotowane wyjaśnienia i większość z nich przynajmniej częściowo była zgodna z prawdą. Chcieli mieszkać bliżej rodziców Helen, której ojciec ciężko chorował na serce. Koszt życia w Londynie sięgnął absurdalnego poziomu. A przede wszystkim chcieli zapewnić swojemu potomstwu spokojne, nieco wiejskie dzieciństwo.

Znacznie trudniej było znaleźć odpowiedzi na pytania o ich przeszłość, zwłaszcza Petera. Gdzie ma rodzinę?

- Moi rodzice zginęli w wypadku, kiedy byłem mały.

Czy ma rodzeństwo?

- Nie.

Jak został lekarzem?

- Nie wiem, to mi się chyba po prostu spodobało.

Więc poznali się z Helen na studiach w latach osiemdziesiątych. Czy się wyszaleli?

- Niespecjalnie. Byliśmy raczej nudną parą. Czasami w piątek wieczorem chodziliśmy na curry albo pożyczaliśmy coś na wideo, ale nic poza tym. Na końcu naszej ulicy była świetna indyjska knajpa.

Zazwyczaj i jemu, i Helen udawało się wychodzić z krzyżowego ognia pytań obronną ręką. Potem urodził się Rowan, a Peter sprawdził się jako cenny nabytek miejscowej przychodni i Radleyów serdecznie przyjęto do społeczności małego miasteczka.

Jednak Peter nigdy nie zapominał, że tak jak mieszkańcy Bishopthorpe plotkują o innych (co robili bez przerwy - na przyjęciach, na boisku do krykieta, na przystanku), tak samo mogą obmawiać Radleyów.

Prawdą jest, że Peter i Helen zrobili wszystko, aby otaczała ich aura anonimowości i neutralności. Zawsze ubierali się tak, jak tego od nich oczekiwano. Zawsze kupowali taki samochód, który nie wyróżniał się spośród

pozostałych minivanów i sedanów na Orchard Lane. Dbali też o to, żeby ich poglądy nigdy nie wychodziły poza bezpieczne centrum sceny politycznej. Kiedy dzieci były małe, chodzili do miejscowego kościoła na wigilijną mszę Christingle, zazwyczaj uczestniczyli też w mszy odprawianej w Niedzielę Wielkanocną.

Kilka dni po tym, jak się wprowadzili, Peter zgodził się nawet na propozycję Helen, żeby przejrzeć swoją kolekcję winyli, kompaktów, książek i kaset wideo w celu wyeliminowania wszystkich dzieł wampirów, tych naturalnych i inicjatorów, żywych i martwych, praktykujących i abstynentów.

I tak Peter niechętnie pożegnał się z nagranyymi na VHS-ie swoimi ulubionymi filmami spółki Simpson-Bruckenhimer (obejrzawszy ostatni raz ponętne, krwawe zachody słońca *Gliniarza z Beverly Hills II*). Ostatni raz pocałował Normę Bengell w *Planecie wampirów*, Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*, Catherine Deneuve w *Piękności dnia* i Kelly LeBrock w *Kobiecie w czerwieni*. Do kosza trafiła wstydliva sterta powojennej klasyki Powella i Pressburgera (które to filmy, jak wiedział każdy krwiopijca, nie były wcale o baletnicach ani siostrach zakonnych) i wybitne wampiryze westerny (*Rzeka Czerwona*, *Rio Bravo*, *Młode strzelby II*). Rozumie się samo przez się, że musiał też pożegnać się z kolekcją wampirzej pornografii, w tym z ubóstwianymi, choć już nieoglądanymi kasetami betamax: *Aresztem wampirzycy* i *Tam, gdzie nie ma klów*.

Tego smutnego dnia w koszu znalazła się również kolekcja setek winyli i kompaktów, które stanowiły tło muzyczne niejednej nocnej popijawy. Ileż to rozkosznych krzyków i jęków miały za akompaniament bootlegowe wersje *Volare* i *Zgryźliwe calusy*? Peter szczególnie ubolewał nad stratą soulowych kawalków z krwawej klasyki Grace Jones, Maryina Gayea i owego amoralnego demona Billyego Oceana, którego minialbum *Oceans of Blood* zawierała niezrównaną wersję *Get Outta My Dreams, Get Into My Car (Because Tm Helluva Thirsty)*. Z książek musiał wyrzucić analizy z drugiego obiegu Caravaggia i Goi, kilka zbiorów poezji romantycznej, *Księcia Machiavellego*, *Wichrowe wzgórze*, *Poza dobrem i złem* Nietzschego i - to prawdziwa tragedia - *Żądze przygód* Danielle Steel. Krótko mówiąc, cały kanon krwiopijcy. Oczywiście zaczytywali się *Poradnikiem abstynenta* i zadbali o to, żeby był dobrze ukryty pod łóżkiem.

Lukę po tych krwistych utworach zapelnili Philem Collinsem, *Graceland* Paula Simona i *Czterema porami roku* Vivaldiego, z których, kiedy mieli gości, zawsze puszczali *Wiosnę*. Kupili książki w stylu *Rok w Prowansji* i sporo ambitnych pozycji historycznych których nie zamierzali czytać. Ich półek nigdy więcej nie splamiło już nic szczególnie tandetnego, wyrafinowanego ani kontrowersyjnego. Ich gust - tak jak we wszystkich pozostałych sferach życia - oscylował tak blisko, jak się dało, wokół gustu typowego drobnomieszczańskiego, prowincjonalnego bezkrwawca.

Jednak pomimo wszystkich środków ostrożności pewne sprawy zwracały na nich uwagę otoczenia. Na przykład to, że Peter, wbrew namowom sąsiadów z Orchard Lane, nie chciał wstąpić do klubu krykieta. Albo kiedy Margaret z poczty przyszła i poczuła się słabo, zobaczywszy namalowaną przez Helen naga kobietę z rozłożonymi nogami na szeszlągu. (Po tym incydencie Helen zaniosiła swoje stare obrazy na strych i zaczęła malować akwarelami jabłonki).

Jednak najczęściej to ich nieświadome niczego dzieci zdradzały swoim zachowaniem, że coś jest nie tak. Miłość biednej Clary do zwierząt, które się jej bały i Rowan zamęczający nauczycieli ze szkoły podstawowej swoimi opowiadaniem (Jaś i Małgosia jako żyjąca w kazirodczym związku para morderców dzieci; *Przygody Ciekawskiego Kanibala Colina* i fikcyjna autobiografia pisana z perspektywy osoby uwięzionej całe życie w trumnie).

Z bólem patrzyli, jak ich dzieci nie mogą znaleźć sobie przyjaciół, a kiedy Rowanowi zaczęto dokuczać, poważnie myśleli o toku indywidualnego nauczania w domowym zaciszu. Tym samym mógłby prowadzić spokojne, ciche życie, wolne od zaczepek kolegów. Jednak, koniec końców, Helen niechętnie się sprzeciwiła, przypominając Peterowi zalecenie *Poradnika abstynenta*, aby za wszelką cenę integrować się ze społeczeństwem.

Podejście to do pewnego stopnia mogło okazać się skuteczne. Nie gwarantowało jednak całkowitego wyciszenia plotek, tak samo jak nie dawało pewności, że koledzy i koleżanki nie będą ich sobą kusić i nie wywołają u nich ataku PŻK.

A teraz, tego poniedziałkowego ranka, plotki nabierają rumieńców, zaczynają coraz bardziej krążyć i im zagrażać. Peter jest w recepcji, przegląda pocztę i listę pacjentów. Jednocześnie słucha Elaine, kobiety, która do podtrzymania procesów biologicznych potrzebuje odrobiny poniedziałkowej ponurej satysfakcji. Rozmawia z jedną z pacjentek Jerem'ego Hunta ściszym, apokaliptycznym głosem.

- Czy to nie straszne, co się stało z tym chłopcem z Farley?
- Boże, wiem. Okropne. Widziałam dziś rano w wiadomościach.
- Po prostu zniknął.
- Wiem.
- Przypuszczają, że to, wie pani, morderstwo.
- Tak? W wiadomościach mówili tylko, że chłopiec zaginął.

Elaine momentalnie jej przerywa.

- Nie. Z tego, co słyszałam, nie było żadnego powodu, żeby zaginął. Wie pani, w szkole wszyscy bardzo go lubili. Wysportowany. Był w drużynie rugby i w ogóle. Moja przyjaciółka zna jego mamę, a ta powiedziała, że to najsympatyczniejszy chłopiec na świecie.

- To straszne. Okropne.

Złowieszczą cisza. Fotel Elaine skrzypi, kiedy ta odwraca się do Petera.

- Pana dzieci pewnie go znały, prawda, doktorze Radley?

Doktorze Radley.

Znał Elaine i pracował z nią od ponad dziesięciu lat, ale zawsze był doktorem Radleyem, choć wielokrotnie mówił jej, że nie przeszkadzałoby mu - a w rzeczy samej wolałby - gdyby zwracała się do niego po imieniu.

- Nie wiem - odpowiada, może odrobinę za szybko. - Chyba nie.

- Czy to nie straszne, doktorze? Jak się pomyśli, że to w sąsiednim miasteczku.

- Tak, ale chłopiec na pewno się znajdzie. Elaine go nie słucha.

- Tyle jest zła na świecie, prawda? Tyle zła.

- Chyba tak.

Elaine przygląda mu się dziwnym wzrokiem. Pacjentka - kobieta z długimi, suchymi włosami, która wygląda jak starsza, przeraźliwie otyła Mona Lisa w wyblakłym tęczowym wydzierganym sweterku - też na niego patrzy. Poznaje ją - to Jenny Crowther, która prowadziła kiedyś sobotnie warsztaty rękodzieła artystycznego w domu kultury. Siedem lat temu zadzwoniła do nich pełna niepokoju, żeby zdać Helen relację o spreparowanej przez Rowana laleczce rzymskiego boga. Od tamtej pory nigdy nie witała się z nim na ulicy, tylko uśmiechała się do niego sztucznie, tak jak teraz.

- Tyle zła - powtarza Elaine z emfazą.

Petera ogarnia nagły atak klaustrofobii i ni stąd, ni zowąd przychodzą mu do głowy wszystkie obrazy płotów, które od lat malowała Helen. Są uwięzieni. Dlatego je maluje. Są uwięzieni przez uśmiechnięte, puste twarze i podsycane dezinformacją plotki.

Odwraca się do kobiet plecami i zauważa bąbelkową kopertę na stercie szykowanej do wysyłki korespondencji do szpitala. Próbką krwi.

- W takiej atmosferze trzeba trzymać dzieci pod kluczem, prawda, doktorze Radley?

- Och - odpowiada Peter, słuchając jednym uchem wywodów Elaine. - Nie można dać się zwariować...

Dzwoni telefon i Elaine odbiera, a Jenny Crowther siada w poczekalni na jednym z krzesełek z pomarańczowego plastiku, odwracając się plecami do Petera.

- Nie - Elaine informuje z władcym uśmiechem dzwoniącego pacjenta. - Przykro mi, ale jeżeli chce pan umówić się na wizytę w trybie nagłym, musi pan zadzwonić między wpół do dziewiątej a dziewiątą... Obawiam się, że będzie pan musiał poczekać do jutra.

Elaine mówi, a Peter nachyla się, żeby powąchać usztywnioną brązową kopertę i zauważa, jak przyspiesza mu tętno, które pod wpływem adrenaliny mknie teraz z prędkością ekspresu.

Peter zerka na Elaine. Widzi, że ta nie zwraca na niego uwagi. Potem zabiera, najdyskretniej jak potrafi, kopertę z resztą korespondencji i niesie ją do gabinetu.

Tam sprawdza, która jest godzina.

Pięć minut do kolejnej wizyty.

Szybko otwiera kopertę i wyciąga plastikowe fiolki z błękitnym formularzem. Formularz potwierdza to, co powiedział mu wąż: to krew Lorny Felt.

Jej krew przyciąga go jak magnes, wręcz grawitacja.

Nie. Nie jestem swoim bratem.

Jestem silny.

Wytrzymam.

Próbuje zachować się tak, jak zachowuje się od prawie dwudziestu lat. Próbuje zobaczyć krew wzrokiem lekarza, wyłącznie jako konglomerat plazmy, białka, czerwonych i białych krwinek.

Myśli o synu i o córce i wkłada trzy fiolki do koperty. Próbuje zakleić ją z powrotem, ale kiedy siada na fotelu, klej puszcza. Mroczny wąski otwór koperty jest niczym wejście do jaskini, w której czeka niewymowny strach albo nieskończona przyjemność.

A może nawet jedno i drugie.

KLUB CZYTELNIKA

W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca Helen idzie na organizowane w domu jednej z jej niepracujących znajomych spotkanie kółka czytelniczego, połączone z wczesnopopołudniową przekąską na dobry początek tygodnia.

Ten układ, przynajmniej dla niej, trwa od prawie roku. Helen opuściła w tym czasie tylko jedno spotkanie - była na rodzinnych wakacjach w wynajętym w Dordogne domku. Wymówienie się dziś, w ostatniej chwili, mogłoby wzbudzić podejrzenia, których - w kontekście złowieszczonego akordu silnika furgonetki zaparkowanej na Orchard Lane - najlepiej byłoby unikać.

Helen szykuje się więc i idzie spacerem do domu Nicoli Baxter na południowym skraju miasteczka. Baxterowie mieszkają w dużej przebudowanej stodole z szerokim podjazdem i ogródkiem z azaliami, który wygląda jak z całkiem innej bajki na tle gigantycznej przestrzeni z rustykalno-futurystyczną kuchnią i podłużnymi kanapami bez poręczy.

Kiedy Helen przychodzi, wszyscy już siedzą z książkami na kolanach, jedzą naleśniki i piją kawę. Dyskusja jest bardziej zażarta niż zazwyczaj i, ku zaskoczeniu Helen, szybko okazuje się, że jej tematem nie jest *Zaćwierkał ostatni wróbel*.

- Helen, czy to nie okropne? - pyta Nicola, częstując ją leżącym wśród okruchów na gigantycznym talerzu naleśnikami. - Ta sprawa Stuarta Harpera.

- Tak, to prawda. Okropne.

Helen zawsze darzyła Nicolę sympatią, zazwyczaj mają podobne zdanie na temat przeczytanych książek. Tylko ona zgodziła się z Helen, że Anna Karenina nie mogła zapanować nad uczuciami do hrabiego Wrońskiego i że pani Bovary to w gruncie rzeczy sympatyczna postać.

W Nicoli jest coś, co Helen wydało się aż nazbyt znajome, jakby ona też musiała stłumić część siebie, by móc prowadzić normalne życie.

W rzeczy samej, przyglądając się niekiedy jej bladej cerze, niepewnemu uśmiechowi i smutnym oczom, Helen widziała w niej tyle z siebie, że zastanawiała się, czy nie ukrywają tej samej tajemnicy. Czy Baxterowie też byli wampirami na odwyku?

Helen nie mogła oczywiście po prostu zadać jej tego pytania. („To jak, Nicola, wgrzyłaś się kiedyś komuś w gardło i ssłaś krew do zgonu? Przy okazji, naleśniki palce lizać”). Nie poznała jeszcze dzieci Nicoli, dwóch uczennic szkoły z internatem w Yorku, ani męża architekta, który zawsze miał na tapecie jakiś spory miejski projekt i pracował w Liverpoolu, Londynie lub gdzie indziej. Jednak przez długi czas żywiła wątłą nadzieję, że Nicola siądzie z nią kiedyś i się jej zwierzy, że od dwudziestu lat chce się wyrwać ze szponów krwio pijstwa i każdy dzień to dla niej istne piekło.

Helen wiedziała, że to pewnie tylko jej fantazja, mająca podnieść ją na duchu. W końcu nawet w miastach krwio pijcy stanowili tylko niewielką część

populacji i prawdopodobieństwo, że w kółku czytelniczym są dwie wampirzyce, było znikome. Nie przeszkadzało jej to jednak pocieszać się myślą, że to możliwe, i uczyła się tej nadziei niczym wiary w wygraną na loterii.

Teraz Nicola jest równie zszokowana zniknięciem chłopca jak reszta kobiet i Helen wie, że nie może liczyć na niczyje wsparcie.

- Tak - mówi Alice Gummer z jednej z futurystycznych kanap. - Było o tym w wiadomościach. Widziałaś?

- Nie - odpowiada Helen.

- Było dzisiaj rano. W serwisie informacyjnym. Coś usłyszałam przy śniadaniu.

- Tak? - dziwi się Helen. Radleyowie słuchali dziś w kuchni jednym uchem porannych wiadomości i nie przypomina sobie na ten temat ani słowa.

Potem Lucy Bryant coś mówi z ustami zapchanymi naleśnikiem i na początku Helen nic nie rozumie. „Za mało? Widziało?”.

- Słucham?

Nicola podpowiada, wyjaśniając w imieniu Lucy, i tym razem słowa są doskonale wyraźne.

- Znaleźli ciało.

Helen nie panuje w tym momencie nad paniką. Osacza ją ona gwałtownie, ze wszystkich stron, dławiąc resztkę nadziei.

- Że co?

Ktoś odpowiada. Helen nie ma pojęcia, do kogo należy głos, który po prostu się rozchodzi, wiruje jej w głowie jak plastikowa torebka na wietrze.

- Tak, najwyraźniej morze wyrzuciło zwłoki na brzeg albo coś w tym guście. Niedaleko Whitby.

- Nie - mówi Helen.

- Wszystko w porządku? - Pytanie zadają co najmniej dwie koleżanki.

- Tak, tak. Tylko że... nie jadłam śniadania.

A głosy wirują, odbijają się echem i nachodzą na siebie w olbrzymiej stodole, gdzie kiedyś być może beczwały owce.

- Chodź, usiądź. Zjedz naleśnik.

- Chcesz się napić wody?

- Strasznie jesteś blada.

W całym zamieszaniu Helen próbuje przemyśleć racjonalnie to, czego się właśnie dowiedziała. Zwłoki ze śladami zębów i DNA jej córki są w rękach policji. Jak Peter mógł być tak głupi? Kiedy swego czasu zatapiał ciała, robił to tak, by nie wypływały za blisko lądu i by nie mieli tym samym powodów do zmartwień.

Wyobraża sobie, jak właśnie w tej chwili odbywa się autopsja z udziałem śmietanki patologów i oficerów śledczych. Z tego nawet Will ich nie wyhemipnotyzuje.

- Nic mi nie jest. Po prostu czasami jakoś tak się dziwnie czuję. Teraz wszystko jest już w porządku.

Za chwilę siedzi na kanapie wpatrzona w przezroczysty stolik i duży pusty talerz, który jakby unosił się w powietrzu.

Kiedy tak siedzi ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie, dociera do niej, że w tej chwili nie oparłaby się smakowi krwi Willa. Dałaby jej ona siłę niezbędną do przetrwania najbliższych kilku minut. Ta myśl jednak jeszcze bardziej deprymuje Helen

Ona sama jest więzieniem.

Jej ciało, w którym płynie przemieszana krew ich obojga.

Jednak w jakiś sposób, choć ma do jedzenia tylko mało krwistą owsiankę, udaje jej się wziąć w garść.

Zastanawia się, czy powinna przeprosić koleżanki i wrócić do domu, wymawiając się chorobą. Podjęcie decyzji na tyle się jednak przeciąga, że Helen włącza się - najpierw jako obserwator, a potem uczestniczka - do dyskusji o książce, której nie zdążyła dokończyć.

Akcja książki *Zacwierkał ostatni wróbel* - finalistki zeszłorocznej nagrody Bookera - rozgrywa się w połowie dwudziestego wieku w Chinach i opowiada o miłości między córką rolnika - miłośniczką ptaków - a pomagającym w gospodarstwie analfabetą, który wprowadza w życie zalecony przez Mao genocyd populacji wróbli. Jessica Gutheridge, której kartki z życzeniami Helen kupuje zawsze na Boże Narodzenie i urodziny, była na spotkaniu z autorem na zeszłorocznym festiwalu Hay-on-Wye. Teraz rozplywa się w zachwytach na samo wspomnienie.

- Och, było cudownie, i nie uwierzycie, kto siedział w moim rządzie.

Helen stara się zachować pozory normalności.

- A co ty myślisz, Helen? - pyta ktoś. - Co myślisz o Li-Homie?

Helen próbuje wyglądać na przejętą.

- Współczułam mu.

Nicola pochyla się na kanapie wyraźnie zmartwiona rozbieżnością ich opinii.

- Po tym wszystkim, co zrobił?

- Nie do końca... chyba... - Cała grupa na nią patrzy, czekając na uzasadnienie sądu. Helen robi, co może, żeby zagłuszyć myśli o autopsjach i kuszach. - Przepraszam, po prostu nie wydaje mi się, żeby był... - Koniec zdania wylatuje jej z głowy. - Chyba muszę iść do toalety.

Wstaje skrepowana, uderza się o stolik i, maskując ból i emocje, wychodzi z pokoju. Schodzi do toalety Baxterów. W szklanej ścianie prysznic widzi swoje odbicie i usiłuje opanować oddech, podczas gdy w głowie wirują jej myśli: „ZWŁOKI! WIADOMOŚCI! POLICJA! CLARA! WILL!”.

Wyjmuje telefon i dzwoni do Petera do pracy. Słuchając słabego buczenia, spogląda na stojące w równym rzędzie naturalne kosmetyki do pielęgnacji włosów i skóry. Przez ułamek sekundy widzi nagie ciała, które używają ich do maskowania swoich fizjologicznych zapachów. Zamyka oczy i próbuje stłumić mroczne, krwawe, podsycane desperacją fantazje.

Po dziesiątym sygnale Peter odbiera.

- Peter?

- Helen, mam pacjentkę.

Wtedy mówi mu szeptem, osłaniając usta dłonią.

- Peter, znaleźli ciało.

- Co?

- Jest po wszystkim. Znaleźli ciało. Cisza. Potem:

- Kurwa. - Potem: - Kurwa kurwa kurwa kurwa. - Za chwilę: -

Przepraszam panią, pani Thomas. Złe wieści.

- I co teraz zrobimy? Myślałam, że poleciałeś daleko. Słyszysz, jak Peter wzdycha po drugiej stronie.

- Poleciałem daleko.

- Najwyraźniej jednak nie dość daleko.

- Wiedziałem, że to będzie moja wina - mówi. - Pani Thomas, za chwilę się panią zajmę.

- Bo to jest twoja wina.

- Jezu. Dorwą ją za to. Dopadną ją.

Helen kręci głową, jakby mógł ją widzieć.

- Nie dopadną jej. - I w tej chwili postanawia, że zrobi wszystko - wszystko - żeby jej słowa okazały się prawdą.

Zapobieganie PŻK: 10 porad

Przemonna Żądza Krwi (PŻK) to zdecydowanie najczęstszy problem abstynentów. Oto dziesięć sprawdzonych metod uniknięcia nadchodzącego ataku PŻK.

1. Oddalcie się od ludzi. Jeżeli znajdujecie się w towarzystwie bezkrwawców albo wampirów, przeproście ich i znajdźcie jakiś kąt, w którym będziecie sami.

2. Włączcie światła. Ataki PKŻ częściej zdarzają się w nocy albo w ciemności, więc zadbajcie o możliwie mocne oświetlenie.

3. Unikajcie stymulowania wyobraźni. Muzyka, sztuka, filmy i książki podsycają fantazje i są częstymi przyczynami napadów.

4. Skoncentrujcie się na oddechu. Wdychajcie i wydychajcie, licząc między oddechami do pięciu, żeby spowolnić tętno i uspokoić ciało.

5. Recytujcie mantrę abstynenta. Powtarzajcie co kilka wdechów „Mam na imię [WASZE IMIĘ] i panuję nad popędem” tyle razy, ile będzie potrzeba.

6. Oglądajcie golfa. Oglądanie niektórych sportów uprawianych na powietrzu, jak golf i krykiet, obniża prawdopodobieństwo wystąpienia ataku.

7. Zróbcie coś praktycznego. Wkręćcie żarówkę, pozmywajcie naczynia, przygotujcie kanapki. Im banalniejsze i bardziej rutynowe zajęcie, tym większa szansa, że uda wam się zapanować nad żądzą krwi.

8. Zjedzcie kawałek mięsa. Dobrze zaopatrzona w zwierzęce mięso lodówka pomoże złagodzić napady łaknienia.

9. Idźcie poćwiczyć. Kupcie bieżnię albo sprzęt do wiosłowania, żeby pozbyć się nadmiaru adrenaliny, który często towarzyszy PKŻ.

10. Nie lekceważcie przeciwnika. Popęd to nasz wróg, który tylko czeka na okazję do ataku. Ulegając pokusie, miejcie świadomość, że łatwiej wykonać krok w stronę spełnienia, niż się potem od niego oddalić. Cała sztuka w tym, żeby się w ogóle nie ruszać.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 74

NIETYPOWA MYŚL JAK NA PONIEDZIAŁEK

Peter siedzi w fotelu i przyglądając się, jak starsza pani kuśtyka obolała do drzwi gabinetu, myśli o telefonie. Nie może uwierzyć, że policja odnalazła zwłoki. Morze wyrzuciło je na brzeg. Szybkość lotu zmyliła go i kiedy wyrzucił ciało, był pewien, że jest dalej.

Choć w duchu przyznaje, że dawno tego nie robił. Może zapomniał, jak daleko wcześniej wylatywał? Wyszedł z wprawy. To nie jest jazda na rowerze. Po siedemnastoletniej przerwie stopom będzie brakowało pewności na pedałach.

- Dobrze, do widzenia, pani Thomas - odpowiada odruchowo wychodzącej z gabinetu pacjentce.

- Do widzenia, panie doktorze.

Za chwilę wyciąga z szuflady kopertę.

Wyjmuje fiołki z krwią i zdejmuje zakrętki.

To nie jest plazma, białko, czerwone i białe krwinki.

To jest ucieczka.

Wącha fascynującą, zwierzęcą krew Lorny i widzi siebie razem z sąsiadką w świetle księżyca na polu pszenicy. Roztopia się w jej zapachu. Tak bardzo chce jej spróbować i łaknienie wzmagą się, aż Peter stapia się z nim w jedno - mężczyzna i przyjemność, której pragnie.

Nie napiję się krwi pacjentki.

To na nic.

Tak bardzo jej pragnie.

Wiedział, że w końcu ulegnie i nie mylił się. Nie może się powstrzymać - wypija trzy fiołki, jedną za drugą, niczym ustawione na barze porcje tequili.

Kiedy kończy, trzyma głowę odchyloną. Klepie się po brzuchu. Zauważa, że sadła, które nagromadziło się latami, zaczyna ubywać.

- Tak - mówi do siebie, jakby prowadził późno w nocy program z zadymionego studia i zapowiadał Duke'a Ellingtona. - Uwielbiam jazz na żywo.

Nadal klepie się po brzuchu, kiedy wchodzi Elaine z listą pilnych wizyt umówionych na resztę dnia.

- Dobrze się pan czuje? - pyta go.

- Tak, Elaine, czuję się wyśmienicie. Mam czterdzieści sześć lat, ale żyję. A życie to wspaniała sprawa, nieprawdaż? Wiesz, delektować się życiem, kosztować go, i robić to w pełni świadomie.

Elaine nie jest przekonana.

- No cóż - mówi - muszę przyznać, że to dość nietypowa myśl jak na poniedziałek.

- Bo to dość nietypowy poniedziałek, Elaine.

- Jasne. Zrobić panu kawę?

- Nie, dziękuję, właśnie się napiłem.

Elaine spogląda na kopertę, ale chyba nie zauważa pustych fiolek. Tak czy inaczej, Peterowi jest wszystko jedno.

- Oczywiście - mówi kobieta, wychodząc z gabinetu. - Oczywiście.

CSI: TRANSYLWANIA

Główny komisarz Geoff Hodge śmieje się tak głośno, że na wpół przeżuty ostatni kawałek trzeciego pasztecika z serem i cebulą prawie wylatuje mu z ust.

- Przepraszam, słonko, mogłaby pani to powtórzyć?

A ona powtarza. „Ona” to Alison Glenny, zastępczyni komendanta policji w Greater Manchester, kobieta, której wcześniej nie znał. W rzeczy samej nigdy wcześniej nie rozmawiał twarzą w twarz z żadnym policjantem z Manchesteru, jako że Manchester leży dobre osiemdziesiąt kilometrów poza ich jurysdykcją.

Prawdą jest, że niekiedy trzeba było pozyskiwać informacje z innych rewirów, ale do tego służą bazy danych. Nie wpadało się niespodziewanie do komendy innego hrabstwa z miną wysłannika samego Boga. Nawet jeżeli się było cholerną zastępczynią samego komendanta. W każdym razie nie jest jego zastępczynią.

- Musicie wycofać się z tej sprawy - powtarza Alison. - My ją przejmujemy.

- My? Co za „my”? Policja w Greater Manchester? Nie do końca rozumiem, co zwłoki kolesia z North Yorkshire, które wypłynęły na wschodnim wybrzeżu, mają wspólnego z waszą manchesterską grandą. Chyba że to sprawa seryjnego mordercy, o którym nam nie mówicie.

Zastępczyni komendanta mierzy go chłodnym wzrokiem i zaciska usta.

- Pracuję w oddziale krajowym, koordynuję brytyjskie zasoby jednostki specjalnej.

- Słonko, przykro mi, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Alison wręcza mu żółto-zielony formularz z insygniami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w nagłówku i masą adnotacji drobnym drukiem.

Formularze. Zawsze te cholerne formularze.

- Proszę podpisać na dole. Wtedy będę mogła wszystko wyjaśnić.

Przygląda się formularzowi. Zaczyna czytać linijkę przy miejscu na podpis: „Niniejszym oświadczam, że nie wyjawię żadnych informacji dotyczących Oddziału ds. Bezimiennych Drapieżników”.

- Oddział ds. Bezimiennych Drapieżników? Słonko, zaczynam się gubić. Jednostka specjalna to dla mnie trochę za duża abstrakcja. Jak na mój gust, to jakaś mistyfikacja. Rozmawiała pani z Derekiem?

- Tak, rozmawiałam z Derekiem.

- Rozumie pani, że będę musiał do niego zadzwonić, żeby to potwierdzić?

- Proszę bardzo.

Geoff podnosi słuchawkę i wykonuje w sprawie tej kobiety wewnętrzny telefon do Dereka Leckie, swojego przełożonego.

- Masz zrobić wszystko, co ci każe - mówi Derek, a w jego głosie pobrzmiwa lęk. - Wszystko.

Geoff składa we wskazanym miejscu podpis i pyta:

- Dobrze, to w takim razie co ma wspólnego ta jednostka specjalna ze zwłokami? To nie wygląda na robotę dla antyterrorystów.

- Zgadza się. To nie jest antyterroryzm. To antywampiryzm.

Geoff przygląda się jej, czekając, aż jej kamienną twarz złagodzi uśmiech. Ale uśmiechu nie ma.

- To dobre, słonko. Dobrze. Kto panią na to nakręcił? Pewnie Dobson, co? Na pewno chce sobie odbić za zajmowanie beemki.

Jej wzrok jest idealnie neutralny.

- Nie mam pojęcia, kim jest Dobson, ale zapewniam pana, panie główny komisarzu, że to nie jest kawał.

Geoff kręci głową i przeciera oczy. Przez chwilę zastanawia się, czy ta wizyta nie jest halucynacją po pasztecikach. Może to efekt przepracowania. Jednak mruganie oczami nie zmniejsza realności ani tej kobiety, ani jej kamiennej miny.

- To dobrze, bo wydawało mi się, że słyszałem coś o antywampiryzmie.

- Zgadza się. - Stawia mu bez pytania laptopa na biurku. - Rozumiem, że nie widział pan zdjęć ciała ani nie otrzymał sprawozdania z autopsji? - pyta, kiedy ekran się włącza.

Geoff wstaje, odsuwa się, patrzy na kobietę i jej komputer. Ma lekkie nudności, nagle robi mu się słabo. Uświadamia sobie obecność tłuszczu w ustach, smak cebuli i topionego sera. Być może Denise ma rację. Może powinien co jakiś czas zjeść sałatkę albo ziemniaka w mundurku.

- Nie.

- To dobrze. Dziś rano mieliśmy drobny wyciek medialny, ale od tej pory w East Yorkshire będą trzymać buzię na kłódkę. Tak jak pan.

Geoffa rozjusza znany mu dobrze zwierzęcy gniew.

- Przepraszam najmocniej, słonko, ale w tym przypadku jesteśmy trochę na cenzurowanym. To sprawa interesu publicznego i nie możemy odciąć się od prasy tylko dlatego, że jakaś...

Jak tylko JPEG otwiera się na ekranie, Geoff gubi wątek wywodu. Masywne, umięśnione, nagie ciało chłopca jest pokryte ranami, jakich w życiu nie widział. Duże kawałki szyi, klatki piersiowej i brzucha wyglądają na zjedzone, mięso od słonej wody poróżnowiało. To nie są rany zadane konwencjonalnymi narzędziami - nożem, bronią palną czy kijem bejsbolowym.

- Musieli go poszczuć psami.

- Nie. To nie były psy. I to nie byli „oni”. To sprawka jednej osoby.

To nie wydaje mu się możliwe. Nie może być możliwe.

- Jakiej osoby?

- Panie komisarzu, to są ugryzienia wampira. Jak wspomniałam, OdbD to oddział antywampiryczny. Działamy w całym kraju, utrzymujemy relacje z przedstawicielami ich społeczności. - Opowiada to tym samym neutralnym tonem, którym prowadzi rozmowę od początku wizyty.

- Społeczności? - pyta z niedowierzaniem Geoff.

Alison przytakuje.

- Według naszych danych ich liczba w skali kraju wynosi siedem tysięcy osobników. Trudno to ocenić, gdyż często się przemieszczają i obserwujemy spore migracje między wieloma miastami Europy. Londyn, Manchester i Edynburg wykazują największe zagęszczenie w Wielkiej Brytanii.

Tym razem śmiech Geoffa jest bardziej sztuczny, urywany i gorzki.

- Nie wiem, co dosypują wam do herbaty w Manchesterze, ale po tej stronie Gór Pennińskich nie polujemy na upiory i gobliny.

- Zapewniam pana, że my też nie. Walczymy z nadzwyczaj realnym zagrożeniem.

- Skąd, że się tak wyrażę, wampiry?

- Jak się pan bez wątpienia domyśla, to wyjątkowo drażliwa sprawa i, z oczywistych względów, unikamy rozgłosu.

Zdjęcie, na którym Alison się zatrzymuje, przedstawia nagą kobietę z prawie setką ran na ciele pochodzących od ugryzień, które są niczym ciemnoczerwone uśmiechy na zakrwawionych nogach i tułowiu.

- Jezu, kurwa, Chryste.

- Ja i moi ludzie utrzymujemy relacje z kluczowymi członkami społeczności krwiopijców, co w dużej mierze odbywa się w Manchesterze i okolicach. Widzi pan, kiedyś wampiry zabijano. W Manchesterze i Scotland Yardzie szkolono członków specjalnej jednostki kuszników.

Geoff odsuwa się z obrzydzeniem od martwej dziewczyny na ekranie komputera. Teraz jest mu bardzo niedobrze. Musi się natychmiast pozbyć smaku z ust. Bierze puszkę pomarańczowego tanga, którą kupił do pasztecika, otwiera ją i wypija połowę, podczas gdy Alison Glenny opowiada dalej.

- Obecnie utrzymujemy z nimi bezpośrednie układy. - Urywa na chwilę, najwyraźniej aby się upewnić, że jej słowa do niego docierają. - Prowadzimy rozmowy. Negocjujemy. Zdobywamy zaufanie i pozyskujemy informacje.

Geoff widzi głowę przechodzącego obok okna Dereka i pędzi do drzwi z taniem w dłoni.

- Derek? Derek?

Komendant idzie dalej korytarzem. Odwraca się na chwilę i powtarza to, co powiedział Geofifowi przez telefon, a w jego zazwyczaj opanowanych niebieskich oczach czai się lęk.

- Rób to, co ci każe, Geoff. - Odwraca się, tak że Geoff widzi tylko siwe włosy i czarny mundur, po czym skręca w inny korytarz.

- To co mamy w takim razie zrobić? - pyta Geoff po powrocie do gabinetu. - Uzbroić się w pistolety na wodę święconą?

- Nie - odpowiada Alison, zamyka laptopa i wkłada go do teczki. - Widzi pan, udało nam się ograniczyć liczbę takich wypadków prawie o połowę. Osiągnęliśmy to, trzymając się ustalonych reguł i działając w atmosferze wzajemnego poszanowania. - Opowiada mu o Stowarzyszeniu Sheridan i liście nietykalnych.

- Słonko, czyli sprawa ma się tak. Przychodzisz mi tu pani, snujesz opowiastkę rodem z *CSI: Transylwania* i spodziewasz się, że uwierzę w istnienie panoszącej się wszędzie hordy cholernych Drakuli, a potem mówisz mi, że guzik możemy im zrobić?

Alison Glenny wzdycha.

- Robimy mnóstwo rzeczy, panie komisarzu. Wampir w dzisiejszych czasach ma mniejsze szanse na uniknięcie odpowiedzialności za morderstwo niż kiedykolwiek wcześniej. Z tym że preferujemy rozwiązania pośrednie. Wampir zabija wampira. Widzi pan, my też musimy mieć na względzie interes publiczny. Naszym podstawowym celem jest zapanowanie nad sytuacją przy jednoczesnym dochowaniu tajemnicy.

- Jasne. A co by się stało, gdybym na przykład ja nie dochował tajemnicy?

- Zostałby pan zwolniony i uznany za chorego psychicznie. Nigdy więcej nie znalazłby pan zatrudnienia w policji.

Geoff dopija tango, przed połknięciem trzyma przez chwilę bąbelkowy płyn w ustach. Ta kobieta jest śmiertelnie poważna.

- To co mam w takim razie zrobić?

- Potrzebne mi będzie wszystko, co udało wam się do tej pory zebrać w sprawie Stuarta Harpera. Wszystko. Rozumiemy się?

Geoff kontempluje pytanie, przyglądając się okruszom i tłustej plamie na papierowej torebce.

- Tak, rozumiemy się.

WIELKA TRANSFORMACJA RADLEYÓW

Podczas długiej przerwy na boisku uczniowie Rosewood Upper grupują się podświadomie według płci. Chłopcy są w ruchu, grają w piłkę albo ją podbijają, albo wdają się w bójki (na niby bądź na serio), siłują na rękę, albo szarpiają za plecaki. Dziewczyny siedzą i rozmawiają, na ławkach albo na trawie w trzy- lub czteroosobowych grupkach. Jeżeli zwracają uwagę na chłopców, to raczej z politowaniem albo niedowierzaniem niż bezgranicznym podziwem, jakby należeli nie tyle do różnych płci, co do różnych gatunków. Mądre, dumne kocice oblizujące łapy i zerkające z pogardą na ociężałe, nie wiadomo czym podekscytowane spaniele i agresywne pitbulle walczące o terytorium, które nigdy nie będzie do nich należało.

Jedyne, co tego słonecznego popołudnia łączy chłopców i dziewczyny, to wspólna potrzeba ucieczki jak najdalej od murów starej wiktoriańskiej szkoły i cienia. Zazwyczaj, tak jak to bywało podczas wielu podobnych dni, Clara Radley dołączyłaby do skąpanych złocistym światłem koleżanek, pilnując się, żeby nie pokazać po sobie migreny i mdłości.

Dziś jest inaczej. Dziś, choć jest z Eve i Lorelei Andrews, dziewczyną, której nikt nie lubi, ale której i tak udaje się zdominować każdą konstelację towarzyską, Clara prowadzi je na ławkę do cienia.

Siada z Eve z boku. Lorelei siada z drugiej strony i zaczyna głaskać Clare po włosach.

- To niesamowite - mówi Lorelei. - Jak to się stało?

Clara patrzy na grube niebieskie żyły na nadgarstku Lorelei i wyczuwa oszałamiająco intensywny zapach jej krwi. Przeraza ją myśl, jak łatwo byłoby, tu i teraz, zamknąć oczy i oddać się sile łaknienia.

- Nie wiem - udaje jej się z siebie wydusić. - Zmieniłam dietę. I tata kupił mi takie suplementy.

- Zrobiłaś się teraz, normalnie, zajebicie sexy. Co to za podkład? Mac? Musi być Chanel albo coś za ciężką forszę.

- Nie mam dziś podkładu.

- Pierdolisz.

- Nie.

- Przerzuciłaś się na kontakty?

- Nie.

- Nie?

- I nie ma też mdłości - dodaje Eve. Clara dostrzega, że dziewczynę irytuje nagle zainteresowanie Lorelei jej przyjaciółką. - To najważniejsze.

- Podobno brakowało mi witaminy A. Tak mi powiedział tata. I jem teraz trochę mięsa.

Eve jest zdezorientowana, a Clara przypomina sobie dlaczego. Czy nie opowiadała jej wcześniej jakiejś historyjki o wirusie? Zastanawia się, czy tata

powiedział jej już prawdę o Radleyach. Nawet jeżeli tak, to ta najwyraźniej mu nie uwierzyła, choć może teraz zaczyna mieć wątpliwości.

Clarę martwi też coś innego.

Podniosła mowa pani Stokes o Stuarcie Harperze na porannym apelu.

Rozmowa dzieci z Farley w autobusie. Kłótnia rodziców zeszłej nocy. Picie krwi przez Rowana.

I prosty niezaprzeczalny fakt, że kogoś zabiła. Nic, co mogłaby teraz zrobić, już tego nie zmieni. Jest morderczynią.

Oprócz tego mamy naszą powierzchowną Lorelei. Lorelei, która głaszcze ją i rozpląta się w zachwytach. Lorelei, która dałaby się pomacać Hitlerowi, gdyby ten zgolił wąsy, ostrzygł się na luzaka i włożył obcisłe dżinsy. Lorelei, która głodziła się przez wiele tygodni po tym, jak odpadła z programu w Vivie zatytułowanego *Nastoletnia piękność Wielkiej Brytanii. Seria druga: boginka czy kujonka?*

- Jesteś taka ładna - mówi.

Kiedy Lorelei ją głaszcze, Clara zauważa, że ktoś do nich idzie. Wysoki chłopiec z idealną cerą - Clarze zajmuje chwilę zorientowanie się, że to jej brat.

- Mój ty Boże, co to dzisiaj, wielka transformacja Radleyów? - pyta Lorelei.

Clara opiera się o ścianę budynku, kiedy nowa, ulepszona wersja jej brata zatrzymuje się przed nimi i patrzy na Eve z niepokojącą pewnością siebie.

- Eve, mam ci coś do powiedzenia - mówi bez zająknięcia.

- Mnie? - pyta zaniepokojona Eve. - Co takiego?

I wtedy Clara słyszy, jak jej brat robi to, co poradziła mu zrobić. Jednak teraz błaga go wzrokiem, żeby zamilkł. Nic z tego.

- Eve, pamiętasz, jak powiedziałaś wczoraj - na ławce - że jeżeli mam ci coś do powiedzenia, to powinienem to zrobić?

Eve przytakuje.

- Więc chcę ci powiedzieć, że pod każdym względem jesteś absolutnie najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu znałem.

Lorelei tłumi chichot, ale na policzkach Rowana nie wykwitają rumieniec.

- I zanim się tu przeprowadziłaś - mówi dalej - nie rozumiałem, na czym polega piękno, jako całość... i gdybym miał przeżyć resztę życia, nie zrobiwszy tego, co robię teraz, to pewnie poszedłbym na kompromis pod wszystkimi innymi względami i skończyłbym za dwadzieścia lat w pracy, do której chodziłbym bez przekonania; z kobietą, która nie jest tobą, z domem, kredytem, kanapą i telewizorem z tyloma programami, ilu trzeba, żebym mógł zapomnieć o tragedii, w jaką zamieniło się moje życie. Bo kiedy miałem siedemnaście lat, nie podszedłem na boisku szkolnym do najpiękniejszej, najbardziej urzekającej, uroczej osoby i nie zapytałem jej, czy nie chciałaby pójść ze mną na randkę. Do kina. Dziś wieczorem.

Dziewczyny są oniemiałe. Lorelei już nie chichocze. Clara zastanawia się, ile krwi wypił Rowan. A Eve, wpatrując się w utęsknione, pewne siebie oczy Rowana, myśli o rozchodzącym się w niej ciepłu.

- Dziś wieczorem? - udaje jej się powtórzyć po upływie jakiejś minuty.

- Zapraszam cię do kina.

- Ale... przecież... jest poniedziałek.

Rowan nawet nie drgnie.

- Nie musimy być konwencjonalni.

Eve rozważa propozycję. Zdaje sobie sprawę, że chciałaby z nim pójść, ale odzywa się w niej rozsądek. Coś sobie przypomina.

- Tylko że... mój tata... on...

- Ja się tobą zajmę - podkreśla Rowan. - Twój tata nie musi nic...

Jakiś głos przerywa nastrój. Agresywny ryk dochodzący z boiska.

- Ej, pierdyłyn!

To Toby, który podbiega do nich z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

- Bujaj się od mojej dziewczyny, dziwolażu!

Eve posyła mu gniewne spojrzenie.

- Nie jestem twoją dziewczyną.

Toby jednak ciągnie wątek.

- Lecisz do ciepłych krajów, Plamiasty. Lecisz, i to kurwa, zaraz.

Clara czuje, jak bije jej serce.

Coś tu się zaraz stanie.

Toby kieruje teraz wzrok na nią, nienawiść w jego głosie nie słabnie.

- A ty - mówi - mała, podstępna kurewko. Co żeś, kurwa, zrobiła Harperowi?

- Nic nie zrobiła Harperowi - mówi Eve. - Odczep się od niej.

- Ona coś wie! Wy, Radleyowe dziwolażki, wy coś wiecie!

- Odczep się od mojej siostry.

Rowan stoi teraz naprzeciwko Toby'ego, a reszta uczniów spostrzega zamieszanie.

- Rowan - upomina go Clara, która boi się zdradzić przed resztą dzieci.

Ale jest już za późno, żeby załagodzić sytuację. Toby popycha jej brata. Uderza w klatkę piersiową, żeby go sprowokować.

- No dawaj, półdupku. Dawaj, trupia główko. Czym mnie zaskoczysz? Dawaj, popisz się przed swoją nową dziewczyną. W twoich snach! W życiu by się nie czepiła dziwolażka!

- O rany - komentuje Lorelei. - Biją się.

Clara obserwuje przez cały czas twarz brata, świadoma, że w każdej chwili może się przemienić i wszystko zepsuć. Toby popycha go ostatni raz i Rowan upada na beton.

- Toby, przestań - mówi Eve. Wstała z ławki, ale Clara ją wyprzedza.

Podbiega do brata, klęka przy nim. Chłopiec ma zamknięte oczy, ale Clara widzi, jak pod wargami wychodzą zęby. Nieznaczne poruszenie skóry. Wie, co to znaczy.

- Nie - szepcze, kiedy Toby dalej go podjudza. - Rowan, posłuchaj mnie. Nie. Nie. Proszę. Nie jest tego wart.

Ściska mu dłoń.

- Rowan, nie.

Wszyscy im się przyglądają, śmieją się. Clara nie zwraca na to uwagi, bo wie, że jeżeli Rowan otworzy teraz usta, będzie już po wszystkim.

- Nie, Rowan, nie. Bądź silny, bądź silny, bądź silny...

Słucha jej, a przynajmniej na to wygląda, otwiera oczy i przytakuje. Wie, że by ochronić siostrę, nie może się zdradzić.

- Już dobrze - mówi jej. - Już dobrze.

Idą razem na popołudniowe lekcje i Clara czuje ulgę, kiedy Eve z wycuciem odmawia Rowanowi.

- To jak stoimy z dzisiejszym wieczorem?

- Zastanowię się - mówi dziewczyna, kiedy idą starymi wiktoriańskimi korytarzami. - Zgoda?

Rowan przytakuje. Clara współczuje mu i nawet nie przypuszcza, że godzinę później, kiedy Rowan będzie czytał bez zająknięcia kwestie Otella na angielskim, Eve prześle mu karteczkę z pytaniem: „Na jaki film idziemy?”.

KLASA

- Przesłuchał pan Clare Radley?

Geoff wygląda przez okno i pali popołudniowego papierosa, kiedy pojawia się Alison Glenny i zadaje to pytanie. Mężczyzna wyrzuca papierosa, który zatacza szeroki łuk, spadając na jezdnię. Geoff zamyka okno.

- Dwóch posterunkowych ją przesłuchało.

- I? Pole zeznań świadka jest puste. Nic w nim nie ma. Co się stało, kiedy do niej poszli? Radley to stare wampirze nazwisko, a jeden z najgroźniejszych wampirów Manchesteru nazywa się Radley, więc muszę się upewnić, czy nie ma tu związku.

- Poszli do niej, porozmawiali z nią, nic znaczącego nie wypłynęło.

- Nic?

- Nic. - Geoff wzdycha. - Porozmawiali z nią i powiedziała, że nic nie wie i to wszystko.

Alison myśli przez chwilę.

- Nic nie pamiętają, prawda?

- Słucham? Nie wiem. To było wczoraj. Chyba...

Alison kręci głową.

- Nie musi pan ich bronić, panie komisarzu. Nie mam do nikogo pretensji. Ale istnieje możliwość, że ich zahemipnotyzowano.

- Zahe co?

- Niektórzy BD mają specjalne umiejętności. Najczęściej ci wyjątkowo amoralni i niebezpieczni. Konsumpcja znaczących ilości krwi podnosi poziom ich zdolności psychicznych i fizycznych.

Geoff śmieje się zdezorientowany.

- Przepraszam, słonko. To wszystko jeszcze do mnie nie dotarło.

W jej wzroku pojawia się namiastka zrozumienia.

- Wiem. To inny świat niż ten, w którego istnienie wierzyliśmy.

- Cokolwiek inny, owszem.

Alison zaczyna chodzić po gabinecie. Kiedy stoi odwrócona plecami do Geoffa, ten mierzy wzrokiem jej figurę. Szczupła, jak dla niego za szczupła, i trzyma się wyprostowana, jak nauczycielka baletu. Ma klasę, to jest słowo, które najlepiej ją opisuje. Zalicza się do typu kobiet, przy których Denise zawsze markotnieje i przygasa, kiedy czasami spotykają je na weselach albo co bardziej ekskluzywnych rejsach.

- Tak czy inaczej - ciągnie Mison - mam pewien pomysł. Mógłby mi pan sporządzić listę wszystkich mieszkańców Bishopthorpe?

- Oczywiście, nie ma sprawy. Dlaczego? Kogo szukamy?

- Mężczyzny o nazwisku Copeland - mówi tonem, który nagle zdaje się markotny i odległy. - Jared Copeland.

W PŁUG

Will znajduje się z powrotem na łódce, która dryfuje na znajomym jeziorze czerwieni. Jednak tym razem Helen jest obok niego i trzyma na rękach ciemnowłosego chłopczyka, którego usypia kołysanką.

*I prawe, i lewe, i prawe, i lewe,
raz wiosło, raz strumień
radością skrzy się, i skrzy się, i skrzy się
życia senny rumień*

Will tym razem ma wiosła i wiosłuje w stronę skalistego brzegu, przyglądając się, jak ukochana kobieta po cichu nuci. Nie przerywając kołysanki, uśmiecha się do niego. To zwyczajny uśmiech, pełen miłości. Will nie ma pojęcia, co się stanie, kiedy dotrą do brzegu, ale wie, że będą razem i będą szczęśliwi.

*I prawe, i lewe, i prawe, i lewe,
raz strumień, raz wiosło
gdy cię capnie pan krokodyl
krzyk twój będzie niosło*

Jednak czuje jakiś niepokój. To wszystko jest zbyt doskonale. Czuje, że spomiędzy skał ktoś go obserwuje. Ktoś oprócz Alison Glenny. To mężczyzna, który zaatakował go zeszłej nocy. Trzyma coś wysoko, żeby Will mógł to zobaczyć.

To głowa, z szyi do jeziora kapie krew.

Przestaje wiosłować, ale łódka nadal płynie w stronę mężczyzny i zbliża się do brzegu na tyle, żeby Will mógł dojrzeć, że obcięta głowa należy do niego.

Głowa spogląda na niego niczym maska z horroru. Jej usta wykrzywia przerażenie.

Spanikowany Will dotyka szyi, która jest nietknięta.

- Kim ja jestem? - pyta, przerywając kołysankę Helen. Helen jest zdziwiona, jakby to było najgłupsze pytanie, jakie w życiu słyszała.

- Wiesz, kim jesteś - mówi czule. - Jesteś bardzo dobrym i życzliwym człowiekiem.

- Ale kim?

- Tym, kim zawsze byłeś. Mężczyzną, za którego wyszłam. Jesteś Peterem.

Wtedy Helen wrzeszczy na widok mężczyzny i odciętej głowy. Mały Rowan też wrzeszczy. To okropne wycie niemowlęcia, którego nie da się uciszyć.

Will budzi się gwałtownie i słyszy dziwny, cichy pisk. Jego magnetofon właśnie wciąga jedną z kaset, którą puszcza sobie do snu. Psychocandy Jesus and Mary Chain. Pomniejszcy krwio pijca uznały to za omen.

Wygłąda na zewnątrz, na upiornie słoneczny dzień. Widzi mężczyznę, który się oddala.

To on.

- Marzenie ściętej głowy - mamrocze Will i rusza za nim.

Bierze okulary słoneczne i wychodzi na jaskrawe światło słoneczne. Idzie za mężczyzną do pubu na głównej ulicy z transparentem „Sky Sports” i sielankowym malunkiem Anglii z dawnych czasów na szyldzie, tuż pod nazwą Pług.

Kiedyś Will napisał głupiutki wierszyk, zapisał go w jednym z dzienników, krótko po tym, jak przestał spotykać się z Helen. Był zatytułowany Łąka czerwieni, od znaczenia jego nazwiska.

*Ryj plugiem łąkę czerwieni,
Aż wszystko obróci się w pył.
Ryj popękaną ziemię
I kosztuj nektaru jej żył.*

Pług to rodzaj pubu, do którego normalnie Will nie dałby się zaciągnąć nawet koźmi. Przeciętą knajpa, której bywalcy, pogrążeni w półśpiączce, wlepiają pusty wzrok w transmisje sportowe z wyłączonym dźwiękiem.

Kiedy Will wchodzi do pubu, mężczyzna pije już whisky i siedzi zaszyty w odległym kącie. Will podchodzi do niego, zajmuje miejsce naprzeciwko.

- Chodzą słuchy, że pub to gatunek na wymarcie - zagaja i myśli o bezkrwawych skoczkach, którzy tuż przed wybiciem się spoglądają na ogrom morza. - Gryzie się ze stylem życia w dwudziestym pierwszym wieku. Zanik więzi społecznych. Postępujący rozpad. Ludzie żyją w niewidzialnych klatkach. Strasznie to smutne... a mimo to są takie chwile, kiedy dwóch nieznajomych może sobie razem przysiąc i uciąć pogawędkę. - Urywa, przygląda się natchnionej, wyniszczonej twarzy mężczyzny. - Choć my się oczywiście znamy.

- Kim jestem? - pyta mężczyzna tonem, w którym słychać tłumione emocje.

Jego pytanie jest echem tego, które Will zadał we śnie. Zerka na whisky mężczyzny.

- Kim wszyscy jesteśmy? Ludźmi, którzy nie potrafią zapomnieć.

- Czego? Will wzdycha.

- Przeszłości. Rozmów w cztery oczy. Rajskiego ogrodu. Mężczyzna nic nie mówi. Tylko siedzi i gromi Willa wzrokiem z nienawiścią, od której gęstnieje powietrze. Napięcia nie rozładowuje nawet podejście kelnerki.

- Będzie coś z karty dań? - pyta.

Will podziwia jej ponętne krągłości. Chodząca ucza.

- Nie - odpowiada mężczyzna bez podnoszenia wzroku. Will nawiązuje i utrzymuje z dziewczyną kontakt wzrokowy.

- Nie mogę się skusić, bo krew mnie zaleje.

Kelnerka odchodzi, a mężczyźni siedzą w napiętej, magnetycznej ciszy.

- Mogę cię o coś zapytać? - pyta po chwili Will. Mężczyzna zamiast odpowiedzi sączy whisky. Will i tak zadaje pytanie.

- Byłeś kiedyś zakochany?

Mężczyzna odstawia szklanke i mierzy Willa stalowym spojrzeniem. Reakcja, której się spodziewał.

- Raz - odpowiada, a słowo chrapliwie wydobywa się z krtani. Will przytakuje.

- To zawsze jest raz, prawda? Cała reszta... to tylko echo. Mężczyzna kręci głową.

- Echo.

- Widzisz, ja jestem zakochany. Ale nie mogę z nią być. Odgrywa rolę dobrej żony w Czyimś Małżeństwie. Telenowela, jakich mało. - Will nachyla się z błyskiem czarnego humoru w oku, po czym szepcze. - Żona brata. Kiedyś mieliśmy romans. - Urywa, podnosi przepaszająco dłoń. - Wybacz, pewnie nie powinienem ci tego opowiadać. Tyle że dobrze mi się z tobą rozmawia. Powinieneś zostać księdzem. A teraz ty. Kogo kochałeś?

Mężczyzna nachyla się, a jego twarz wykrzywia tłumiona furia. Gdzieś w pubie jednoręki bandyta wypluwa monety.

- Żonę - odpowiada. - Matkę mojego dziecka. Nazywała się Tess. Tess Copeland.

To wytrąca Willa z równowagi. Na chwilę wraca na łódkę. „Tess Copeland” to mocny kop z przeszłości. Przypomina sobie tę noc, kiedy pili razem w studenckiej knajpie, zadziornie dywagując o francuskim filozofie Michelu Foucaulcie, którego teorie na temat seksu i obłędu dziwnym trafem zajmowały gros jej pracy magisterskiej. („Czyli konkretnie, w jakim sensie Wordsworth był - teraz żebym nie przekręcił - ‘dezorientowanym genealogicznie, zdeindywidualizowanym, empiryczno-transcendentalnym pedagogiem’?”). Chciała wracać do męża i nie wiedziała, co robi o tej porze ze swoim promotorem.

- O... Ja... - mówi Will, któremu naprawdę brakuje słów. Działanie.

Konsekwencje.

Koniec końców, za wszystko trzeba zapłacić.

- To dla ciebie pewnie kolejne echo. Tyle że ja widziałem, jak to zrobiłeś. Widziałem, jak z nią polecałeś.

Will przypomina sobie tamtą noc. Jak zabił ją na kampusie. Jak usłyszał nieopodal czyjeś kroki. Krzyk. To był on.

Will próbuje wziąć się w garść.

Zabiłem setki. To kropla w morzu. Ten człowiek nie zaopiekował się żoną. Nie zadbał o jej bezpieczeństwo. Jego nienawiść to pochodna wyrzutów sumienia.

Gdyby nie pojawił się Will, teraz nienawidziłby jej. Obroniłaby magistra i trułaby mu o Foucaulcie, Leonardzie Cohenie i wierszach, których nie czytał, i miałyby mu za złe, że ogląda piłkę nożną.

To esencja głupoty związków bezkrwawców. Są oparte na założeniu, że ludzie się nie zmieniają, że zatrzymują się w tym samym miejscu, w którym byli dziesięć lat temu, kiedy się poznawali. Z całą pewnością realia związków między ludźmi nie są czymś stałym, tylko ulotnym i przypadkowym, jak zaćmienie Słońca albo układ chmur na niebie. Istnieją we wszechświecie, który jest w ciągłym ruchu, pełny ruchomych obiektów. Jego żona pomyślałaby to, co myślało tyle innych, które zagryzł. Pomyślałaby: „mogę mieć kogoś lepszego”.

Mężczyzna wygląda koszmarnie. Zmęczony, blady, zdołowany. Na podstawie woni jego krwi Will może stwierdzić, że nie zawsze tak było. Kiedyś był innym człowiekiem, tylko że się stoczył, zgorzkniał.

- Jared? Prawda? Byłeś w policji - przypomina sobie Will.

- Tak.

- Ale przed tamtą nocą... nie wiedziałeś. O ludziach takich jak ja.

- Nie.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogłem cię wtedy zabić? - mówi Will.

Jared wzrusza ramionami, jakby utrata życia nie była wcale taką tragedią, po czym Will rozpoczyna tyradę, którą słyszy pół pubu.

- Siekiera? Żeby ściąć mi głowę - zaczyna, kiedy mija go kelnerka wynosząca do ogródka tacę z zamówieniem. - Zdaniem tradycji lepiej wyszedłbyś, przebijając mi czymś serce. Kołkiem, na ten przykład. Pedanci trzymają się wersji o osikowym drewnie, ale tak naprawdę wszystko - byle mocne i długie - zrobi swoje. Oczywiście musiałbyś być doskonale przygotowany. Tyle że nic z tego raczej nie wyjdzie, prawda? To wampiry zabijają wampiry. Nie ludzie. Nic z tego. - Mina mu poważnieje. - A teraz, jeżeli zaraz nie znikniesz mi z oczu, to obniżę wymagania i schlam się twoją zmizerniałą, gorzką krwią.

Dzwoni komórka Jareda. Ignoruje ją, właściwie jej nie słyszy. Myśli o Eve i o tym, że siedzenie tu i prowadzenie tej rozmowy może stanowić dla niej dodatkowe zagrożenie. Oblewa go fala strachu i Jared wstaje z sercem bijącym tak mocno i szybko, jak tamtej nocy dwa lata temu. Wychodzi sztywnym krokiem na letnie popołudniowe powietrze i przez dłuższą chwilę nie dociera do niego, że znów dzwoni jego telefon.

Will pozwala mu wyjść. Po chwili wstaje i idzie przejrzeć listę utworów wyblakłej brązowej szafy grającej, powieszzonej na ścianie niczym stary automat z papierosami. Najlepsze, co widzi, to *Under My Thumb* Rolling Stonesów, więc wybiera piosenkę i kładzie się na ławie, na której wcześniej siedział.

Ludzie patrzą na niego ze zdziwieniem, ale nikt nic nie mówi.

Will leży. Muzyka gra, a on myśli, że wszystko jest już jasne.

And it's down to me, the way she talks when she's spoken to...

Nie obchodzi go już Manchester.

Nie obchodzi go Isobel ani Czarny Narcyz, ani Stowarzyszenie Sheridan,
ani żadna z tych krwawych klik.

Zostanie w Bishopthorpe, z Helen, w nadziei na drugie zaćmienie słońca.

CHODNIK

Jared trzęsie się na myśl, że mógł wszystko zniszczyć. Numer zastrzeżony. Odbiera połączenie.

- Jared, mówi Alison Glenny.

To głos, którego się kompletnie nie spodziewał. Przypomina sobie ostatni raz, kiedy go słyszał w jej gabinecie, kiedy dawała mu ostatnie ostrzeżenie:

- Rozumiem pana cierpienie, ale jeżeli się pan nie uciszy, jeżeli pan to nagłośni, mogą zginąć setki ludzi - powiedziała bez refleksji nad ironią faktu, że jego żona zginęła przez to, że nikt tego nie nagłośnił. - Nie mam innego wyjścia, komisarzu, jak zwolnić pana ze względu na niepoczytalność i umieścić w szpitalu psychiatrycznym.

Dwa miesiące w zakładzie zamkniętym, podczas gdy jego córka musiała mieszkać z jego konającą, zrzędliwą matką. Jareda szprycowali, potężnymi dawkami psychotropów lekarze, którzy dostawali absurdalnie wysokie rządowe premie w ramach zachęty do dbałości o „nadrzędny” interes społeczny.

- Skąd masz ten numer? - pyta świadomy, że musi być jakiś związek między telefonem a obecnością Willa.

- Nie zmieniłeś nazwiska. To nie było trudne.

- Nie mam nic do ukrycia. Nie zrobiłem nic złego.

Alison wzdycha. Co może mu powiedzieć, czego by nie wiedział?

Po chwili mówi:

- Możemy go zabić.

- Co?

- Wywarliśmy presję tu i ówdzie. Stowarzyszenie Sheridan chce się go pozbyć tak samo jak my. Jego zachowanie stało się ostatnio zbyt nieprzewidywalne.

To słowo rozwściecza Jareda.

- Bardziej nieprzewidywalne niż zabicie żony komisarza wydziału śledczego na kampusie uniwersyteckim?

- Pomyślałam, że cię to zainteresuje. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go złapać. Dlatego dzwonię. Jest tam? Innymi słowy, czy dlatego przeprowadziłeś się do Bishopthorpe? - Urywa, wyczuwając jego niechęć do podzielenia się z nią informacjami. - Posłuchaj, jeżeli nam powiesz, że on tam jest, to zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Obiecuję. Będiesz mógł wrócić do normalnego życia. O to ci przecież chodzi, prawda?

Jared idzie szybkim krokiem. Pub został daleko w tyle, jego szyld to teraz tylko mały brązowy kwadracik. Przypomina sobie, co przed chwilą powiedział mu Will: „Tyle że nic z tego raczej nie wyjdzie, prawda?”.

- Tak - udaje mu się wydusić. - Jest tutaj.

- Dobrze. Świetnie. I jeszcze jedno. Wiesz coś o jego związku z resztą Radleyów? Jest coś, co moglibyśmy wykorzystać? Cokolwiek?

Jared myśli o tym, co Will powiedział mu w pubie: „To żona mojego brata”.

- Tak. Coś wiem.

Jeżeli odpowiedzią jest krew, to zadajecie niewłaściwe pytanie.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 101

ROZMOWA O PIJAWKACH

Will wspomina pierwszą noc, kiedy Peter przyprowadził Helen do ich mieszkania w Clapham. Przed ich przyjściem dostał wytyczne - miał się nienagannie zachowywać i niczym się nie zdradzić.

Żadnych żarcików o Drakuli, żadnych lubieżnych spojrzeń na jej szyję, żadnych zbędnych rewelacji na temat słońca ani czosnku. Peter uprzedził go, że ma wobec Helen, koleżanki z medycyny, poważne zamiary i nie ma ochoty sprowadzić związku do kolejnej jałowej sesji przegryź-wyssij. A w każdym razie nie od razu. Peter użył nawet wyrazu na „i” i powiedział, że bierze pod uwagę wyznaczenie jej prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, i liczy na to, że uda mu się ją namówić na dobrowolną inicjację.

- Żartujesz sobie - skomentował Will.

- Wcale nie. Chyba ją kocham.

- Ale żeby zaraz inicjacja? Petey, to lekka przesada.

- Wiem, ale naprawdę myślę, że to miłość na całe życie.

- Zut alors. Mówisz serio, prawda?

- Tak.

Will zagwizdał, długo i powoli.

- No cóż, to w końcu twój problem.

Dla Willa inicjacja była zawsze konceptem raczej hipotetycznym. Wiedział, że jest to fizycznie możliwe i że to coś, co w rzeczy samej działo się dość często, jeśliby sądzić po gwałtownie rosnącej populacji dorosłych wampirów, ale pozostawało dla niego zagadką, dlaczego ktoś faktycznie chciałby to zrobić.

W końcu inicjacja miała znaczące konsekwencje zarówno dla inicjatora, jak i inicjatki. Obfite krwawienie tuż po skosztowaniu czyjejś krwi było poważnym wstrząsem uczuciowym i tworzyło więź odczuwaną równie silnie przez obie strony.

- Po kiego czorta miałbym sobie coś takiego zrobić? - odpowiadał niezmiennie Will na pytanie, czy bierze to pod uwagę.

Mimo to sprawy Petera były sprawami Petera, a Will był zbyt zagorzałym libertynem, żeby się wtrącać czy wydawać opinie. Był wprawdzie zaintrygowany perspektywą spotkania z osobą, której udało się zdobyć serce pełnokrwistego Radleya.

Dokładnie pamięta, co czuł, kiedy ją zobaczył.

Nic a nic.

Na początku.

Była kolejnym atrakcyjnym bezkrwawcem w świecie pełnym atrakcyjnych bezkrwawców. A jednak w miarę upływu wieczoru dotarło do niego, jak niewiarygodnie jest seksowna - jej oczy, urocza krzywizna nosa,

beznamiętny ton, jakim opowiadała o anatomii człowieka i różnych procedurach chirurgicznych („i wtedy trzeba przeciąć prawą tętnicę płucną...”).

Uwielbiała sztukę. We wtorkowe wieczory chodziła na zajęcia rysunku z natury i miała eklektyczny gust. Kochała Matissea, Edwarda Hoppera i dzieła Renesansu. Ubóstwiała Veronesego i chyba nie miała pojęcia, że był on jednym z najbardziej zdeprawowanych spośród wszystkich wampirów Wenecji, którzy splamili krwią gondolę.

Rozmawiali też o pijawkach. Wiedziała o nich dużo.

- Pijawek się nie docenia - stwierdziła Helen.

- Zgadzam się.

- Pijawka to niesamowita sprawa.

- Z pewnością.

- Technicznie rzecz biorąc, to pierścienice. Tak jak dżdżownice. Ale stoją na zdecydowanie wyższym stopniu rozwoju. Pijawki mają trzydzieści cztery mózgi, potrafią wyczuć nadejście burzy i stosuje się je w medycynie od czasów azteckich.

- Pijawki naprawdę nie mają przed tobą tajemnic.

- Pisałam o nich pracę magisterską. O ich zastosowaniu w leczeniu zapalenia kostno-stawowego. To nadal dość kontrowersyjna teoria.

- Na ból kości jest też inne lekarstwo - powiedział Will, po czym Peter przywołał go kaszlnięciem do porządku.

Ograła ich tamtej nocy w blackjacka, bo wiedziała, kiedy pasować. Poza tym, w odróżnieniu od Willa i Petera, nie musiała się zmagać z kuszącą wonią. Paleta zapachu jej krwi była tak bogata i miała tyle odcieni, że mogliby siedzieć tak godzinami, rozpracowując ją w milczeniu.

Helen później twierdziła, że Will zapragnął jej tylko dlatego, że była z jego bratem. Ale Will pamięta, jak rozpaczliwie starał się ją zignorować. Nigdy nie chciał czuć do kobiety niczego oprócz dość prostej potrzeby zaspokojenia popędu. „Emocje były dla mnie wyłącznie spadającymi kaskadami, które prowadziły prosto ku wodospadowi inicjacji”, jak to ujął w dzienniku. „A ja chciałem taplać się w płytkich bajorkach łatwej przyjemności”.

Chciał, żeby Peter zostawił Helen, a potem żeby obaj o niej zapomnieli. Ale oboje byli w sobie kompletnie zadurzeni. Byli tacy szczęśliwi i jedyne, co pozwalało Willowi znosić blask tego szczęścia, to wizja jego zniszczenia.

- Kocham ją - wyznał bratu Peter. - Zainicjuję ją i powiem jej, kim jestem.

- Nie rób tego.

- Co? Myślałem, że mogę robić, co chcę. Myślałem, że to moja sprawa.

- Mówię ci, wstrzymaj się z tym. Poczekaj parę lat. Możesz dożyć nawet dwusetki. Pomyśl o tym. Parę lat to tylko jeden procent życia.

- Ale...

- A jeżeli wtedy dalej będzie ci się podobać, to powiesz jej, kim jesteś i co porabiasz, kiedy śpi. I jeżeli ty będziesz się jej jeszcze podobał, ożenisz się z nią i zainicjujesz ją w noc poślubną.

- Nie wiem, czy będę się w stanie powstrzymać, żeby jej wcześniej nie ugryźć.

- Jeżeli ją kochasz, wytrzymasz.

Kiedy Will to mówił, wątpił, żeby Peterowi starczyło cierpliwości. Znudzi się Helen i wróci do Willa i jego niekończącej się balangi - noc w noc bezkrwawa kopulacja zacznie mu w końcu działać na nerwy. Albo nie wytrzyma i wgryzie się w nią w trakcie stosunku, albo da sobie z nią spokój.

A jednak nie.

Po dwóch latach wyjść do kina i przechadzek po parku Peter dzielnie trwał w swoim postanowieniu. W tym czasie Will oficjalnie miał prowadzić wykłady w Londynie, ale w rzeczywistości bywał tam nader rzadko. Ciągłe podróżował po świecie. Pewnej nocy umówił się z Peterem na spotkanie w Pradze, gdzie mieli się wybrać do Nekropolis, jednego z wampirzych klubów, które pojawiły się w rejonie placu Waclawa po aksamitnej rewolucji.

- Ciągłe taki zakochany? - zapytał go, przekrzykując ciężki industrialny rytm techno.

- Tak - odparł Peter. - Nigdy nie byłem szczęśliwszy. Naprawdę. Jest zabawna. Zawsze mnie rozśmiesza. Jak ostatnio wróciłem do domu, to...

- W każdym razie z niczym się nie śpiesz.

W czasie tych kilku spotkań w tamtym okresie zawsze czuł w żołądku dziwne trzepotanie, które chciał złożyć na karb niedoboru krwi albo wyjścia na dwór przed zmrokiem. Zawsze po tym, jak ją widział, ogarniała go potrzeba wyruszenia na krwiste łowy. Często śmigał po prostu do Manchesteru, gdzie wampirza społeczność właśnie zaczynała rozkwitać, i opijał się z pierwszej lepszej chętniej - albo niechętniej - szyi, która wpadła mu w oko.

I wtedy to się stało.

Trzynastego marca 1992 roku Peter oznajmił bratu, że powiedział Helen wszystko.

- Wszystko?

Peter przytaknął i pociągnął łyk krwi, prosto ze słoika.

- Wie, kim jestem, i pogodziła się z tym.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No cóż... bierzemy ślub. W czerwcu. Ustaliliśmy już termin w urzędzie stanu cywilnego. Chce, żebym ją zainicjował w czasie podróży poślubnej.

Will przemógł silną potrzebę wbicia bratu widelca w oko.

- Aha - powiedział. - Bardzo się cieszę.

- Wiedziałem, że będziesz zadowolony. W końcu postąpiłem po twojej myśli.

- To prawda. To bez dwóch zdań prawda, Pete. Wytrzymałeś całkiem długo, a potem jej powiedziałeś.

Will czuł, jak spada w otchłań.

Uśmiechał się obłudnie, co do tej pory nigdy mu się nie zdarzyło. Kuchnia była pełna jej śladów - książka kucharska na szafce, szkic aktu

oprawiony na ścianie, brudny kieliszek po wypitym poprzedniej nocy winie - Will musiał wyjść, po drodze otarł się o jeden z jej wiszących w przedpokoju płaszczy.

Dopiero następnego dnia, kiedy przyszła do niego, w jasnym niczym z obrazu Veronesego śnie, dotarła do niego prawda. Helen siedziała na szesnastowiecznym weneckim przyjęciu weselnym, a karłowaty niewolnik nalewał wino do złotego kielicha w jej dłoni. Podczas gdy reszta majestatycznie atrakcyjnych kobiet była w jedwabiach w kolorze fuksji i w ponętnych baśniowych szatach, Helen była ubrana dokładnie tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz ją zobaczył. Zwykły akrylowy golf, bez - na ile mógł stwierdzić - makijażu, z włosami ułożonymi tylko przez grzebień i naturę. A mimo to nikt w tym ruchomym, sennym fresku nie dorastał jej do pięt ani nie wzbudzał choćby najmniejszego zainteresowania Willa.

Kiedy kwitował w jej stronę wzdłuż nieskończenie długiego stołu, zauważył siedzącego obok Helen mężczyznę. Na głowie miał wieniec laurowy i był ubrany jak renesansowy książę. Szeptał Helen na ucho słowa, których Will nie słyszał, a które ją rozśmieszały. Dopiero kiedy mężczyzna wstał, Will zorientował się, że to Peter.

Peter stuknął w kielich złotym widelcem. Wszyscy - nawet małpy - zamarli i zaczęli słuchać.

- Dziękuję, dziękuję, lordowie, książęta, pigmeje, karły, jednoręcy żonglerzy, pomniejszych ssaki z rzędu naczelnych, panie i panowie. Cieszę się niezmiernie, że mogliście tu przybyć tego tak niezwykle dla mnie dnia. Teraz, kiedy otrzymałem rękę Helen, jestem spełnionym człowiekiem... - Wpatrzona w mięso flaminga na talerzu Helen uśmiechnęła się skromnie. - I jedyne, co mi zostało, to skonsumować nasz niezwykle związek. - Po czym Will patrzył przerażony, jak Peter ściąga jej kołnierz swetra i wgryza się w nią. Jego przerażenie wzmożło się na widok wydanego przez Helen jęku rozkoszy.

Will nigdy nie przepadał za weselami, ale żadne nie wstrząsnęło nim tak jak to. Przyglądając się, jak Peter oblewa szyję Helen winem, Will zdał sobie sprawę, że to nie wino, tylko krew jego brata. Poleciał naprzód z wrzaskiem: „Nie”. Sto małą rzuciło się na niego i ogarnęła go ciemność. Kiedy obudził się zlany zimnym potem, zrozumiał, że stało się to, co wydawało się niemożliwe.

Will Radley padł ofiarą czegoś, co w swoim obłędzie i potworności wyglądało na miłość.

Dwa tygodnie przed prawdziwym weselem spał z powrotem w Londynie w furgonetce skradzionej białemu rastafarianinowi w Camden. Pewnego wieczoru, kiedy wiedział, że brata nie będzie, przyszedł do Helen i nie mógł się opanować.

- Helen, kocham cię.

Odwróciła wzrok od wiadomości nadawanych w telewizji - dalsze walki w Jugosławii - i spojrzała na niego, odchylając się na bujanym fotelu z drugiej ręki.

- Słucham?

Wytrzymał jej spojrzenie, bez uśmiechu, mocno skoncentrowany na jej krwi.

- Wiem, że nie powinienem tego mówić, biorąc pod uwagę, że Peter to mój brat, ale ubóstwiam cię.

- Will, nie bądź śmieszny.

- Możesz ze mnie drwić, ale mówię jak najbardziej serio. Kiedy na ciebie patrzę, kiedy słyszę twój głos albo czuję twój zapach, mam ochotę wziąć cię w ramiona i odlecieć z tobą daleko stąd.

- Will, proszę - powiedziała. Najwyraźniej nie pociągał jej w ten sposób. - Peter to twój brat.

Nie przytaknął ani nie pokręcił głową. Starał się trwać w idealnym bezruchu, jednocześnie konsekwentnie utrzymując z nią kontakt wzrokowy. Na zewnątrz narastający sygnał policyjnej syreny wybrzmiewał na Clapham High Street.

- Masz rację, Helen. Większość prawd jest nieprzyjemna. Ale, żeby nazwać rzecz brutalnie po imieniu, jaki ma w ogóle sens to całe, kurwa, życie. Możesz mi odpowiedzieć?

- Peter lada chwila wróci. Musisz przestać opowiadać takie rzeczy.

- Chętnie. Z wielką ochotą. Gdybym w głębi duszy nie wiedział, że czujesz do mnie to samo.

Zasłoniła sobie dłonią oczy, przerywając zmagania wzrokiem.

- Will...

- Helen, wiesz, że chcesz, żebym cię zainicjował.

- Jak mógłbyś to zrobić? Swojemu bratu?

- Bez problemu.

Wstała i wyszła. Poszedł za nią do przedpokoju, zobaczył wszystkie płaszcze niczym rząd czarnych postaci odwróconych do nich plecami. Hemipnotyzując ją, wykorzystał całą potęgę swoich zdolności.

- Przecież nie chcesz, żeby to zrobił Peter. Dobrze o tym wiesz. Nie bądź słaba, Helen. Żyje się tylko raz. Równie dobrze można zaznać tego, czego chce się zaznać. Jeżeli poczekaś jeszcze dwa tygodnie, będzie już za późno i będziesz należeć do niego. Nie będziemy mieli szans, Helen. Wszystko zniszczysz. A ja cię znienawidzę prawie tak mocno, jak ty znienawidzisz siebie.

Miała mętlik w głowie. Nie miała pojęcia, że nie zwraca się do niej, tylko do jej krwi.

- Ale kocham Petera...

- Jutro ma nocną zmianę. Moglibyśmy polecieć razem do Paryża. Moglibyśmy przeżyć coś unikalnego. Szybować razem nad wieżą Eiffla.

- Will, proszę...

Stała przy drzwiach. To była jego ostatnia szansa. Zamknął oczy i dostrzegł w zapachu jej krwi cały wszechświat. Pomyślał o tym starym, mądrym francuskim krwiopijcy, Jeanie Genecie, i zacytował go: „Kto nie zaznał

rozkoszy zdrady, ten nie ma pojęcia, czym jest rozkosz". A potem powiedział jej wiele rzeczy mających unicestwić jej wolną wolę.

Wyciągnął dłoń. A ona chwyciła ją w odruchu słabości, który okazał się tak brzemienny w skutki.

- Chodź - powiedział, czując falę wielkiej radości, która zawsze towarzyszyła niszczeniu szczęścia innej osoby. - Chodźmy na dwór.

PROPOZYCJA

Prawie dwadzieścia lat po tamtej rozmowie z Willem Helen, wpuszczając do salonu policjantkę, czuje na szyi nerwowy dreszcz.

- Napije się pani kawy, Alison? - pyta. - Ma pani na imię Alison, prawda?

- Tak. Ale za kawę dziękuję.

Ton Alison jest neutralny i oficjalny. Helen podejrzewa, że za jej wizytą kryje się coś więcej niż chęć zadania kilku rutynowych pytań.

- Clara jest teraz w szkole - mówi.

- Nie przyszedłam rozmawiać z pani córką.

- Nie mówiła pani, że to w sprawie Clary?

Alison przytakuje.

- Chcę porozmawiać o niej, nie z nią, pani Radley.

Kilka godzin temu Helen wróciła do domu obejrzeć wiadomości, ale nie było w nich wzmianki o znalezieniu zwłok chłopca. Ulżyło jej. Może jej koleżanki z kółka czytelniczego pomyliły się. Po kolejnym zdaniu Alison ulga jednak znika.

- Znaleziono ciało Stuarta Harpera - mówi. - Wiemy, że zabiła go pani córka.

Usta Helen otwierają się i zamykają, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Zaszło jej w gardle, a na spoconych dłoniach czuje mrowienie.

- Słucham? Clara? Zabiła kogoś? Proszę nie... To przecież...

- Nie do wiary?

- Zgadza się.

- Pani Radley, wiemy, co zrobiła i jak to zrobiła. Wszystkie dowody są na ciele chłopca.

Helen próbuje pocieszyć się myślą, że Alison blefuje. W końcu jak wszystkie dowody mogą być na jego ciele? Nie pobrali od Clary próbki DNA. „Wiemy, co zrobiła i jak to zrobiła”. Nie, nie mówi poważnie. Nie wygląda na kobietę, która wierzy w wampiry albo w to, że piętnastolatka mogłaby zagryźć chłopca.

- Przykro mi - mówi Helen - ale to gruba pomyłka.

Alison unosi brwi, jakby spodziewała się, że Helen to powie.

- Nie, pani Radley. Zapewniam panią, że wszystkie tropy wiodą do pani córki. Jest w poważnych tarapatkach.

Helen ma mętlik w głowie, jej mózg zalewa fala paniki, więc wstaje, żeby zrobić to, co zrobiła wczoraj.

- Przepraszam - mówi. - Zaraz wrócę. Muszę coś zrobić.

Zanim dochodzi do drzwi, słyszy pytanie Alison.

- Dokąd pani idzie?

Helen zatrzymuje się, wpatrzona w ledwo widoczny cień na wykładzinie.

- Słyszę pralkę. Pika.

- Nie, pani Radley, nic nie pika. Zapewniam panią, że w pani dobrze pojętym interesie jest wrócić tu i usiąść. Mam dla pani propozycję.

Helen idzie dalej, na przekór zastępczyni komendanta. Potrzebuje Willa. On ją zahemipnotyzuje i wszystko będzie jak przedtem.

- Pani Radley? Proszę tu wrócić.

Ale ona wyszła już z domu i idzie w stronę furgonetki. Drugi raz tego weekendu jest wdzięczna za obecność Willa i myśli, że być może korzyści ze wsparcia w trudnych sytuacjach są istotniejsze niż zagrożenie, które stanowi jego obecność: dla niej, dla jej córki, dla jej rodziny, dla wszystkiego.

Puka w drzwi furgonetki.

- Will?

Nikt nie odpowiada.

Słyszy kroki na żwirze. Alison Glenny jest opanowana i mimo jaskrawego słońca nawet nie mruży oczu. Mogłaby pewnie bez większych problemów patrzeć prosto w słońce.

- Will? Proszę. Potrzebuję cię. Proszę.

Puka jeszcze raz. Gorączkowemu puk-puk-puk odpowiada cisza. Helen myśli, czy nie otworzyć drzwi - wie, że Will nigdy nie zamyka furgonetki na klucz - ale jest za późno.

- Pani Radley, cóż za nietypowe miejsce na pralkę.

Helen uśmiecha się nerwowo.

- Nie, to tylko... mój szwagier jest prawnikiem. Mógłby mi udzielić porady prawnej. - Spogląda na furgonetkę, dociera do niej, że w życiu nie widziała pojazdu mniej odpowiedniego dla przedstawiciela tego zawodu. - Znaczący się, skończył prawo. A potem zaczął... podróżować.

Helen dostrzega, że Alison uśmiecha się lekko.

- Prawnik. Nadzwyczaj interesujące.

- Tak. Czułabym się pewniej, rozmawiając z panią w jego obecności.

- Nie wątpię. Ale jest w pubie.

To zbija Helen z tropu.

- W pubie? Skąd...

- Znam pani szwagra - wyjaśnia Alison. - I o ile mi wiadomo, nie jest prawnikiem.

- Proszę posłuchać... - mówi Helen, rozglądając się po Orchard Lane. Cienie pni przecinają asfalt, co daje efekt ciągnącego się w nieskończoność przejścia dla pieszych. - Proszę posłuchać...

- I wiemy wszystko o hemipnozie, pani Radley.

- Słucham? - Helen kręci się w głowie. Alison podchodzi do niej, zniża głos i jego ton.

- Wiem, że stara się pani prowadzić uczciwe życie, pani Radley. Wiem, że od bardzo dawna nie złamała pani reguł. Rozumiem, że martwi się pani o swoją rodzinę. Ale pani córka zabiła człowieka.

Strach Helen przechodzi w gniew. Przez chwilę zapomina, gdzie jest i z kim rozmawia.

- To nie była jej wina. Ani trochę. Ten chłopiec się do niej dobierał. Zaatakował ją, a ona nie wiedziała, co robi.

- Przykro mi, Helen, ale z pewnością słyszała pani, co robi się z wampirami.

Helen znowu widzi córkę z bełtem w sercu. Alison mówi dalej.

- Jednakże od lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych sytuacja się nieco unormowała. Przyjeliśmy bardziej inteligentne podejście. Jeżeli chce pani uratować życie córki, istnieje taka możliwość. Dowodzę Oddziałem ds. Bezimiennych Drapieżników. A to znaczy, że zajmuję się poszukiwaniem rozwiązań dla społeczności, negocjacjami, umowami.

Społeczność. Helen zdaje sobie sprawę, że w oczach Alison jej osoba niczym się nie różni od reszty krwiopijców w Anglii.

- Umowami?

- Nie bagatelizując tego, co pani córka zrobiła temu chłopcu, muszę uczciwie przyznać, pani Radley, że podstawą mojego zawodu jest statystyka. Wampir, który zabija przez całe życie jedną osobę nie jest tak groźny, jak ten, który zabija dwie tygodniowo. Wiem, że dla krwiopijcy brzmi to nieco pragmatycznie i mało poetycko, ale to złożona etycznie sytuacja, więc przełożenie jej na liczby ułatwia analizę. Istnieje pewien sposób, w jaki może pani zamienić jedno morderstwo córki w zero morderstw. W oczach policji, oczywiście.

Helen wyczuwa, że to oferta pomocy, choć zastanawia ją, co konkretnie ma na myśli Alison.

- Zależy mi tylko na dobru Clary. Zrobię wszystko, żeby ją ochronić. Moja rodzina jest dla mnie wszystkim.

Alison przygląda się jej przez chwilę uważnie, kalkulując coś.

- Z punktu widzenia statystyki jest pewien wampir, którego chcielibyśmy się pozbyć z manchesterskich ulic. A tak naprawdę to z wszystkich ulic. To potwór. Seryjny morderca, który ma na sumieniu setki, jeżeli nie tysiące, ofiar.

Helen zaczyna się domyślać, dokąd zmierza dyskusja.

- Co mam zrobić?

- Jeżeli chce pani, żeby Stuart Harper na zawsze pozostał w grupie niewyjaśnionych zaginięć, ma pani tylko jedno wyjście.

- Jakie?

- Musi pani zabić Willa Radleya. - Helen zamyka oczy i w ciemności z domieszką czerwieni słyszy resztę wyszeptanej propozycji Alison. - Jak długo pani córka wytrwa w abstynencji, nic jej nie grozi. Ale musimy mieć fizyczny dowód śmierci pani szwagra.

Helen próbuje opanować myśli.

- Dlaczego ja? To znaczy, dlaczego nie może tego zrobić kto inny? Czy Peter nie mógłby mi pomóc?

Alison kręci głową.

- Nie. I nie może go pani w to wtajemniczyć. Nie chcemy, żeby mówiła pani o tym komukolwiek. To znowu kwestia statystyk, pani Radley. Tajemnicę łatwiej zachować jednej osobie niż dwóm. Jeżeli powie pani o tym mężowi, konsekwencje będą poważne. Nie możemy sankcjonować bratobójstwa.

- Nie rozumie pani. To... Alison kiwa głową.

- Aha, i jeszcze jedno. Wiemy o relacji pani i Willa Radleya.

- Słucham? Alison przytakuje.

- Wiemy, że miała pani z nim „romans”. I jeżeli nie przyjmie pani mojej propozycji, dowie się o tym również pani mąż.

Helen jest wściekła ze wstydu.

- Nie.

- Taka jest umowa, pani Radley. Przez cały czas jest pani pod obserwacją. Zapewniam panią, że jakakolwiek próba nagięcia reguł albo wykpienia się w inny sposób jest skazana na niepowodzenie.

- Ale kiedy? Kiedy mam to...

Helen słyszy, jak Alison bierze powoli oddech.

- Ma pani czas do północy. Do północy.

- Dzisiaj?

Kiedy Helen otwiera oczy, zastępczyni komisarza Alison Glenny odchodzi Orchard Lane, przecinając linie cienia. Helen patrzy, jak wsiada do samochodu, w którym na siedzeniu pasażera siedzi otyły mężczyzna.

Lekki wiatr niesie ze sobą nieprzetłumaczalne ostrzeżenia. Helen spogląda na furgonetkę, w której tyle lat temu zmieniło się jej życie. Czuje się, jakby patrzyła na grób, choć nie jest jeszcze pewna, kogo lub co oplakuje.

REPRESJĘ MAMY WE KRWI

Kiedy Eve mówi Clarze w autobusie jadącym do domu, że postanowiła pójść na randkę z Rowanem, ta nie wie, jak zareagować. Przyjaciółkę wyraźnie dziwi nieoczekiwana cisza, gdyż od samego przybycia Eve do Bishopthorpe Clara wstawiała się za bratem.

- Przecież chciałaś, żebym dała mu szansę - mówi Eve, uważnie się jej przypatrując.

Szansę. Szansę na co?

- Pewnie - odpowiada Clara, wyglądając przez okno, kiedy mijają pofałdowane zielone pola. - Jasne, że chciałam. Tylko że...

- Tylko że co?

Clara wychwytuje miodowy zapach jej krwi. Jeżeli ona potrafi się jej oprzeć, to może Rowanowi też się uda.

- Nic. Zapomnij.

- Dobra - odpowiada Eve, przyzwyczajona do coraz dziwniejszego zachowania Clary. - Zapomniane.

Później, kiedy idą z przystanku do domu, Clara mówi bratu, że jej zdaniem to błąd.

- Nic mi nie będzie. Przed wyjściem poproszę Willa o odrobinę krwi. Wezmę ją ze sobą. W torbie. Jeżeli będę miał atak łaknienia, to po prostu pociągnę z niej łyk. Nic się nie stanie. Zaufaj mi.

Świat Marzeń. „Słońce wzywa”.

Anonimowe manekiny w dyskotekowych perukach. Żarłok Zgłodniał. Mięso wyłożone w gablocie. Clarze burczy w brzuchu.

- To już skończyłeś całą butelkę, którą ci dałam? - pyta brata.

- To nie była cała butelka. A zresztą, o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że Will dzisiaj wyjeżdża. Wyjeżdża. Na zawsze. I bierze ze sobą zapas krwi. A my zostajemy z łaknieniem i bez niej. Co teraz zrobimy?

- Będziemy nad sobą panować, tak jak zawsze.

- Ale teraz to co innego. Wiemy, jakie to uczucie. Nie możemy pozbyć się tej wiedzy. To tak, jakby ktoś chciał zapomnieć o wynalezieniu ognia.

Rowan myśli o tym przez chwilę, kiedy przechodzą obok przychodni ojca.

- Moglibyśmy przerzucić się na wampirzą krew. Musi być jakiś sposób, żeby ją zdobyć. A etycznie rzecz biorąc, to pewnie lepsze niż jedzenie wieprzowiny. W sensie, że niczego się nie zabija.

- A jeżeli to nie wystarczy? Jeżeli będziemy kogoś łaknąć i... Na przykład jeżeli wyjdiesz dzisiaj wieczorem z Eve i...

Clara działa Rowanowi na nerwy.

- Potrafię się opanować. Daj spokój, na miłość boską. Tylko się rozejrzyj. Wszyscy tłumią w sobie wszystko. Myślisz, że którykolwiek z tych

„normalnych” ludzi cały czas robi tylko to, na co ma ochotę? Oczywiście, że nie. To jest to samo. Jesteśmy z klasy średniej i jesteśmy Brytyjkami. Mamy represję we krwi.

- No, ja nie wiem, czy jestem w tym taka dobra - mówi Clara, myśląc o zajściu w Topshopie.

Przez chwilę idą w milczeniu. Skręcają w Orchard Lane. Przechodzą schyleni pod kwiatami złotokapu i Clara czuje, że jej brat chce jeszcze coś powiedzieć. Zniża głos na tyle, by nie był słyszalny przez ściany okolicznych domów.

- To, co stało się z Harperem... to nie była normalna sytuacja. Nie możesz sobie robić z tego powodu wyrzutów. Każda dziewczyna na twoim miejscu, gdyby miała kły, zrobiłaby to samo.

- Ale przez cały weekend zachowywałam się jak skończona idiotka - mówi Clara.

- Słuchaj, przeszłaś ot tak od totalnego zera do litrów krwi. Na pewno da się znaleźć złoty środek. A teraz tak się czujesz, bo mijają skutki. Tak czy inaczej, to była krew Harpera. Powinniśmy zagryzać dobrych ludzi. Wolontariuszy. Na przykład ją.

Pokazuje głową na kobietę zbierającą pieniądze na akcję Uratuj Dziecko, która stoi przed drzwiami z numerem dziewięć. Clary to nie śmieszy. Dwadzieścia cztery godziny temu Rowan czegoś takiego by nie powiedział. Z drugiej jednak strony dwadzieścia cztery godziny temu jej by to nie uraziło.

- Żartowałem - dodaje Rowan.

- Powinieneś popracować nad poczuciem humoru - radzi mu Clara. Kiedy to mówi, przypomina sobie dłoń Harpera na swoich ustach i strach, który czuła tuż przed tym, jak wszystko się zmieniło, i to ona była górą.

Nie, Rowan ma rację. Nie może robić sobie z tego powodu wyrzutów, choćby nawet bardzo chciała.

WTEDY ONA UŚMIECHA SIĘ SZATAŃSKO

Peter idzie do domu, pogodny i szczęśliwy, nabuzowany energią po wypiciu krwi Lorny.

Jest tak zadowolony, że nuci pod nosem, choć z początku nie kojarzy melodii. Potem uzmysławia sobie, że to jedyna piosenka Hemogoblinów. Wspomina jeden koncert, który zagrali w klubie w Crawley. Udało im się rozbudować listę utworów do trzech, dodając kilka coverów - „Anarchy in the UK” i „Paint it Black”, które pod kątem publiczności zmienili na „Paint it Red”. Tamtej i nocy pierwszy raz zobaczyli, jak Chantal Feuillade w T-shircie Joy Division i z wypoczetą po pobycie w Alpach cerą poguje zapamiętałe na czele dwunastoosobowej grupki.

To były czasy, myśli. Tak, to były czasy.

Oczywiście był wtedy egoistą, choć może odrobina egoizmu jest niezbędna, żeby świat do końca nie stracił swojego uroku. Czytał kiedyś książkę bezkrwawego naukowca, który przedstawił teorię, jakoby egoizm był fundamentalną cechą biologiczną każdej żywej istoty i leżał u podstaw każdego pozornie dobrego aktu.

Piękno jest samolubne. Miłość jest samolubna. Krew jest samolubna.

Z tą myślą przechodzi przez żółte kwiaty złotokapu bez schylania się, jak to ma w zwyczaju. Wtedy widzi, jak pełna życia Lorna wychodzi na spacer ze swoim irytującym, samolubnym psem.

- Lorna! - woła, głośno i radośnie.

Lorna zatrzymuje się zdezorientowana.

- Witam.

- Lorna, tak sobie pomyślałem - zagaja z nieco agresywną pewnością siebie. - Lubię jazz. W rzeczy samej, bardzo go lubię. Wiesz, Milesa Davisa. Charliego Birdmana. Takie klimaty. Jest normalnie, że... och. I taki pełen wolności. Nie trzyma się żadnej konkretnej melodii, bo tak trzeba. Wyrzywa się, improwizuje, robi, na co ma ochotę... prawda?

Pies warczy.

Charliego Birdmana?

- Chyba tak - odpowiada Lorna.

Peter przytakuje i ku swojemu zaskoczeniu zaczyna udawać pianistę jazzowego.

- Właśnie! Tak! No i... jeżeli nadal masz ochotę wybrać się do Lisa i Korony na ten wieczorek jazzowy, to z wielką chęcią się z tobą wybiorę. Serio!

Lorna się waha.

- Sama nie wiem - mówi. - Sytuacja się... poprawiła.

- Jasne.

- Moja i Marka.

- Tak.

- Za to Toby jest teraz w dołku.
- Czyżby?
- Chyba martwi się o przyjaciela.
- Aha - mówi Peter, rozczarowany.

Ale wtedy jej mina się zmienia. Lornie przychodzi coś do głowy. Potem uśmiecha się szatańsko.

- A właściwie zgoda. Raz się żyje. Chodźmy.

Jak tylko Lorna wypowiada te słowa, szczęście Petera zaczyna znikać i zastępuje je autentyczny, podszyty poczuciem winy strach przed nadciągającą pokusą.

PUDEŁKO PO BUTACH

Rowan jest gotowy do wyjścia.

Umył się, przebrał ze szkolnego mundurka i włożył do torby wiersz dla Eve. Brakuje mu tylko nowej butelki krwi. Bierze więc torbę, wkłada portfel do kieszeni, sprawdza w lustrze fryzurę i wychodzi na schody. Słyszy, jak ktoś bierze prysznic na piętrze, co jest nietypowe jak na tak wczesny wieczór w poniedziałek. Kiedy mija drzwi do łazienki, przez szum wody słyszy głos ojca. Śpiewa żałośnie nieadekwatnym głosem piosenkę, której Rowan nie poznaje. „Tak jest ci do twarzy w szkarłatnej sukience...”. Tyle udaje mu się usłyszeć, kiedy na korytarz wychodzi Clara.

- Dokąd idziesz? - pyta brata.

- Do kina.

- Jeszcze trochę za wcześnie, nie?

Rowan zniża głos, żeby upewnić się, że ojciec - który teraz wyje koszmarny refren - nie usłyszy.

- Chcę mieć ze sobą zapas krwi. Wiesz, na wszelki wypadek.

Clara przytakuje. Rowan myśli, że będzie na niego zła, ale nie jest.

- Dobra - mówi dziewczyna. - Tylko uważaj...

Rowan idzie na dół. Widzi matkę w kuchni, ale nie przychodzi mu do głowy zapytać ją, dlaczego stoi bez ruchu, wpatrzona w szufladę z nożami.

Chłopiec ma inne sprawy na głowie.

Rowan puka do furgonetki Willa, ale wujka tam nie ma. Ponieważ wie, że nie ma go też w domu, otwiera drzwi. Wchodzi do furgonetki, zaczyna szukać butelki wampirzej krwi, ale nie może żadnej znaleźć. Jest tylko jedna, ale pusta. Podnosi materac Willa. Jest pod nim tylko kilka oprawionych w skórę dzienników, którymi nie da się zaspokoić pragnienia. Dostrzega zwinięty śpiwór z zamkniętą butelką w środku i podnosi go, ale kiedy to robi, spycha pokrywkę z pudełka po butach. Na spodzie pokrywki jest numer telefonu. Ich numer.

W pudełku zauważa plik zdjęć spiętych gumką recepturką. Pierwsze zdjęcie jest dość stare i przedstawia chłopczyka, który śpi zadowolony na pledzie z owczej skóry.

Zna to dziecko.

To on.

Ściąga gumkę i przegląda zdjęcia. Mijają pierwsze lata. Raczkuje, potem idzie do szkoły.

Zdjęcia kończą się, kiedy ma pięć, sześć lat. Dlaczego? Jego urodziny.

Ma twarz w wysypce - mama mówiła mu, że to różyczka. Rowan nagle chce się dowiedzieć, co te zdjęcia tu robią. W listach może być jakieś wyjaśnienie. Zaczyna czytać jeden z wierzchu sterty i rozpoznaje charakter pisma matki.

17 września 1998

Drogi Willu!

Nie mam pojęcia, od czego zacząć. W każdym razie to będzie mój ostatni list.

Nie wiem, czy to cię zmartwi, czy może będzie Ci brakowało zdjęć Rowana, ale naprawdę uważam, że teraz, kiedy idzie do szkoły, to najwyższy czas, żebyśmy odcięli się od przeszłości, dla jego dobra, a może też dla naszego.

Widzisz, znowu czuję się prawie normalna. „Bezkrwawa”, jak mawialiśmy na tę naszą cyniczną modłę. Są takie ranki, kiedy zajmuję się dziećmi - ubieram je, zmieniam pieluszkę Clarze, wcieram w bolące dziaśło żel na ząbkowanie albo daję Rowanowi kolejną dawkę lekarstwa - kiedy potrafię zupełnie zapomnieć o sobie i o Tobie.

Tak naprawdę to nie powinno być dla Ciebie zbyt trudne. Nigdy mnie nie chciałeś, jeżeli bycie ze mną miało pociągać za sobą wierność i rezygnację z dreszczyku świeżej krwi. I ciągle pamiętam twoją minę, kiedy ci powiedziałam, że jestem w ciąży. Byłeś przerażony. Udało mi się przestraszyć kogoś, o kim myślałam, że niczego się nie boi. Więc w pewnym sensie być może wyrządzą ci przysługę.

Nienawidzisz odpowiedzialności tak bardzo, jak ja jej potrzebuję. I od tej pory nie będziesz już nawet musiał czytać tych listów ani oglądać zdjęć. Może w ogóle ich nie dostawałeś. Może znowu zmieniłeś pracę i listy leżą w skrzynce jakiejś uczelni.

Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz umiał zakończyć swoje wybryki i się ustatkujesz. Chciałabym myśleć, że ojciec mojego syna będzie kiedyś miał kręgosłup moralny.

To pewnie głupie życzenie. Rowan z każdym dniem jest do ciebie coraz bardziej podobny, i to mnie martwi. Ale ma inne usposobienie. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”. A może jednak daleko, jeżeli spadają po stoku. A moim zadaniem, jako jego matki, jest sprawić, żeby ten stok był jak najbardziej stromy.

A więc żegnaj, Willu. I jeżeli nie chcesz, żebym straciła resztkę szacunku, który do Ciebie żywię, to nie próbuj się kontaktować ani ze mną, ani z nim. Złożyliśmy obietnicę i musimy jej dotrzymać, dla dobra wszystkich.

To jak odrąbać sobie rękę, ale nie można inaczej.

Uważaj na siebie. Będę za tobą tęsknić.

Helen

To za dużo do przetrwania naraz. Rowan wie tylko, że chciałby unicestwić to, co znalazł, pozbyć się tego; wypuszcza list, nie martwiąc się, gdzie upadnie, i przekłada butelkę krwi ze śpiwora do swojego plecaka. Wychodzi chwiejnym krokiem z furgonetki i rusza Orchard Lane.

Ktoś idzie w jego stronę. Z początku nie widzi twarzy, ukrytej za liśćmi pochylonego złotokapu, który wystaje z frontowego ogródka posiadłości pod numerem trzy. Przez chwilę jego wzrok obejmuje tylko płaszcz, dżinsy i buty. Rowan bardzo dobrze wie, kto to, ale potem widzi twarz, twarz swojego ojca, i jego serce nie tyle bije, co tłucze się szaleńczo, jakby ktoś wewnątrz chłopca chciał wytrzepać dywan.

- No i co tam, lordzie B.? - zagaja Will, wyginając wargi w krzywym uśmiechu. - Jak się u czorta miewasz?

Rowan nie odpowiada.

- Naprawdę? Aż tak dobrze - odpowiada Will, ale Rowan się nie odwraca.

Nie mógłby nic powiedzieć, nawet gdyby chciał. Dusi w sobie nienawiść niczym monetę w pięści i maszeruje w stronę przystanku.

W stronę Eve i nadziei na zapomnienie.

CZOSNEK

Eve zamierza powiedzieć ojcu, że wieczorem wychodzi.

Co on może zrobić? Zawlec ją do pokoju i zabić deskami drzwi?

Nie, będzie udawać, że wrócił jej dawny ojciec sprzed czasów psychozy i będzie się zachowywać jak siedemnastoletnia istota ludzka w wolnym społeczeństwie. Idzie oznajmić swój zamiar do kuchni, gdzie jej ojciec właśnie się czymś opycha. Kiedy Eve podchodzi i czyta etykietkę na słoiku, dociera do niej, że to czosnek i że do końca została mu już tylko jedna czwarta opakowania. Może powinien wrócić do zakładu.

- Tato, to jest naprawdę obrzydliwe.

Jared ma odruch wymiotny, ale bierze do ust kolejny kęs.

- Wychodzę - mówi, zanim Eve ma okazję powiedzieć to samo.

- Dokąd? To znaczy, jeżeli idziesz na randkę, to zalecam płukanie ust.

Nawet do niego nie dociera, że to żart.

- Eve, muszę ci coś powiedzieć.

Nie podoba jej się brzmienie tego zdania i zastanawia się, co ojciec chce jej wyznać.

- Co?

Jared bierze głęboki oddech.

- Twoja mama nie zaginęła.

Na początku wyrazy nie układają się w sensowną całość. Eve jest przyzwyczajona do ignorowania majaków ojca. Jednak za chwilę dociera do niej, co Jared ma na myśli.

- Tato, o czym ty mówisz?

- Nie zaginęła, Eve. - Bierze jej obie dłonie. - Ona nie żyje.

Eve zamyka oczy, próbuje wyprzeć jego słowa. Przytłacza ją woń czosnku. Odsuwa dłonie, już to słyszała.

- Tato, proszę.

- Eve, muszę ci powiedzieć prawdę. Widziałem ją. Byłem przy tym.

Mimo woli wciąga się w tę rozmowę.

- Widziałeś ją?

Jared odkłada łyżkę i mówi tonem racjonalnego dorosłego człowieka.

- Posłuchaj, to, co chciałem ci powiedzieć w zakładzie... to nie był bełkot. Zamordowano ją na kampusie. Zabito ją na trawniku przed Wydziałem Anglistyki. Została zamordowana. Wszystko widziałem. Biegałem i krzychałem, ale nikogo tam nie było. Przyjechałem po nią. Pracowała do późna w bibliotece. W każdym razie tak mi powiedziała, więc poszedłem do biblioteki, żeby ją odebrać, tylko że jej tam nie było, więc szukałem jej wszędzie, aż ich zobaczyłem, po drugiej stronie paskudnego stawiku. I popędziłem na przełaj, i widziałem, jak ją gryzie i morduje, i zabiera, i...

- Gryzie?

- To nie był normalny człowiek, Eve. Był czymś innym.

Dziewczyna kręci głową. To ta sama upiorna śpiewka.

- Tato, to nie w porządku. Proszę cię. Nie powinieneś brać tych tabletek.

Opowiadał jej już wcześniej historię o wampirach, ale tylko wtedy, kiedy był w zakładzie. Potem wracał do opowieści, kiedy był bardzo pijany. I zawsze później zaprzeczał swoim słowom, wypierając się wszystkiego, żeby ją ochronić.

- Zamordował ją jej promotor - mówi dalej Jared. - I jej promotor był potworem. Wampirem. Ugryzł ją i napił się jej krwi, potem z nią odleciał. I on jest tutaj, Eve. Przybył tutaj. Do Bishopthorpe. Być może już nie żyje, ale muszę mieć pewność.

Przez chwilę prawie mu uwierzyła. Jednak teraz jest urażona do żywego, że próbuje tak jej namieszać w głowie. Jared kładzie jej dłoń na ramieniu.

- Musisz tu zostać, dopóki nie wrócę. Rozumiesz? Zostań w domu.

Eve patrzy na niego i furia w jej wzroku odnosi skutek, bo Jared zaczyna wyjaśniać:

- Policja. Oni go teraz złapią. Rozmawiałem z kobietą, która wywaliła mnie z pracy za to, że powiedziałem prawdę. Z Alison Glenny. Ona tu jest. Wszystko jej powiedziałem. Widzisz, spotkałem go dzisiaj w pubie. Mężczyznę, który...

- W pubie? Byłeś dzisiaj w pubie? Tato, myślałam, że nie mamy pieniędzy.

Mówiąc to, nie czuje się jak hipokrytka. W końcu Rowan nalegał, żeby kupić jej dzisiaj bilet.

- Nie mam czasu o tym rozmawiać. - Zjada ostatni ząbek czosnku, po czym bierze płaszcz. Ma obłęd w oczach. - Pamiętaj, nigdzie nie wychodź. Proszę cię, Eve. Musisz zostać w domu.

Zanim Eve ma okazję, żeby odpowiedzieć, Jared wychodzi.

Dziewczyna idzie do salonu i siada. Reklamówka L'Orealu pokazuje twarz kobiety. Ma dwadzieścia pięć lat. Trzydzieści pięć. Czterdzieści pięć. Pięćdziesiąt pięć.

Eve rzuca okiem na zdjęcie stojące na telewizorze. Jej trzydziestodwuletnia matka na ostatnich wspólnych wakacjach. Majorka. Trzy lata temu. Żałuje, że jej mamy tu nie ma, że się nie starzeje tak, jak powinna, że jest uwieczniona tylko na zdjęciach.

- Mamo, mogę wyjść dziś wieczorem? - szepcze, wyobrażając sobie przebieg rozmowy.

Dokąd idziesz?

- Do kina. Z kolegą ze szkoły. Zaprosił mnie. Eve, jest poniedziałek.

- Wiem, ale naprawdę go lubię. I wrócę przed dziesiątą. Pojedziemy autobusem.

Jaki on jest?

- Zazwyczaj tacy mnie nie kręcą. Jest grzeczny. Pisze wiersze.
Spodobałby ci się.

No dobrze, kochanie. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić.

- Na pewno, mamo.

I jeżeli coś będzie nie tak, to dzwoń.

- Tak zrobię.

Do widzenia, skarbie.

- Kocham cię. Ja też cię kocham.

SOS CURRY

Alison Glenny, która siedzi obok zjadającego ociekające sosem frytki Geoffa, uderza zapach curry.

- Mają tu niczego sobie frytule - oznajmia. Potem podsuwa jej tackę z polistyrenu i tłuste, zwiotczałe frytki pływające w glutaminianie sodu.

- Dziękuję, już jadłam.

Geoff spogląda z lekką pogardą na deskę rozdzielczą, na małą zmiętą papierową torebkę, w której był bezglutenowy quiche nabyty przez Alison w delikatesach na głównej ulicy jakąś godzinę temu.

- Czyli mamy tu siedzieć i polować na wampiry - zagaja Geoff. - Taki jest plan?

- Tak - odpowiada Alison. - Czekamy tutaj.

Geoff zerka sfrustrowany na furgonetkę zaparkowaną przed siedemnastką.

- Dalej myślę, że wpuścili nas w kanał.

- Nie musi pan mi towarzyszyć. Ale jeżeli pan sobie pójdzie i komuś o tym opowie, to... no cóż... Chyba jasno przedstawiłam konsekwencje.

Geoff wbija drewniany widelczyk w jednego z kartoflanych niedobitków.

- Tak szczerze, to nie zobaczyłem jeszcze nic godnego opowiadania, no nie, słonko? - Frytka przełamuje się na pół i żeby ją zjeść, Geoff musi ją wygrzebać z fałdów spodni. - A jeżeli nie ma go w furgonetce, to dlaczego jej nie przeszukamy, żeby zebrać materiał dowodowy?

- Zrobimy to.

- Kiedy?

Alison wzdycha, zirytowana niekończącymi się pytaniami.

- Kiedy zostanie wyeliminowany.

- Wyeliminowany! - Geoff kręci głową i chichocze. - Wyeliminowany!

Kilka minut później Alison przygląda się, jak jej towarzysz wyciąga telefon i zaczyna wpisywać SMS-a do żony. „Wroce pozno”, czyta Alison, upewniając się, czy nie napisał za dużo. „Prkowa robota. G xx”.

Podwójny całus zaskakuje Alison. Nie pasuje do Geoffa. Myśli o Chrisie, mężczyźnie, którego dziesięć lat temu prawie poślubiła, ale którego zmęczyły jej ciągle późne powroty, weekendy w pracy i to, że nie mogła mu powiedzieć, co właściwie robi.

Chris był porządnym facetem. Nauczycielem historii z Middlesbrough, dość potulnym, o łagodnym głosie. Uwielbiał spacerować górskie i na tyle często ją rozśmieszał, że coś faktycznie mogło ich łączyć. Bądź co bądź, rozśmieszenie jej nie należało do łatwości.

Ale to nie była miłość. Alison nigdy - nawet jako nastolatka - nie rozumiała, na czym polega owa szalona, przyprawiająca o zawrót głowy miłość, o której pisze się wiersze i piosenki pop. Za to często brakowało jej

towarzystwa, kogoś, od czyjej obecności jej wielki dom stałby się nieco przytulniejszy.

Odzyskuje koncentrację na widok oddziału wsparcia, który podjeżdża minivanem udającym samochód dostawczy kwaciarni internetowej.

Najwyższa pora, myśli i dodaje jej otuchy świadomość, że z tyłu minivana jest pięciu uzbrojonych w kusze i kombinezony ochronne członków jednostki, gotowych do interwencji, gdyby Will ją zaatakował.

Geoff nie zwraca uwagi na samochód.

- Całkiem miła ta uliczka, no nie?

- Tak - odpowiada Alison, wyłapując w jego głosie cień zazdrości.

- Domy muszą tu kosztować majątek.

Kończy frytki i, ku obrzydzeniu Alison, zamiast poszukać kosza, kładzie sobie utyłaną sosem tackę u stóp. Przez chwilę siedzą w milczeniu, aż w końcu dostrzegają coś, co zwraca ich uwagę. Rowana Radleya, który wychodzi z siedemnastki i idzie do furgonetki.

- Czyli ten chłoptaş to wampir?

- Technicznie rzecz biorąc, tak.

Geoff się śmieje.

- Zdziebko opalenizny by mu nie zaszkodziło.

Patrzą, jak wchodzi do furgonetki, potem po dłuższej chwili wychodzi.

- Radością raczej nie tryska - komentuje Geoff.

Alison przygląda się w bocznym lusterku, jak Rowan Radley idzie ulicą i widzi kogoś ukrytego za złotokapem, kto idzie w jego stronę. Zastępczyni komendanta rozpoznaje jego twarz.

- To on - mówi.

- Co?

- To Will Radley.

Widziała go tylko raz, z daleka, kiedy wchodził do Czarnego Narcyza. Ale poznaje go od razu i kiedy mężczyzna zbliża się do samochodu, serce zaczyna jej gwałtownie bić.

To dziwne. Na tyle oswoiła się z obcowaniem z groźnymi wampirami, że rzadko zdarza jej się taki kop adrenaliny. Jednak czy to ze strachu, czy z innego powodu, którego nie potrafi nazwać, serce dudni jej w piersi jak rozpędzony pociąg.

- Co za typ - mówi Geoff pod nosem, kiedy Will mija auto. Will nie zwraca uwagi ani na samochód, ani na nic innego.

Idzie miarowym krokiem w stronę domu.

- Myślisz, że ta kobieta sobie z nim poradzi?

Alison wstrzymuje oddech i nawet nie mówi Geoffowi, że płęć odgrywa marginalną rolę przy ocenie zagrożenia wampira. Chyba nagle zaczyna ją niepokoić to, co zorganizowała. Poszczucie praktykującego krwiopijcy abstynentką to ryzykowne posunięcie, nawet jeżeli na korzyść owej abstynentki działa element zaskoczenia, przygotowany zawczasu plan i presja policji.

Jednak tak naprawdę gnębi ją co innego. Coś, co zobaczyła w oczach Helen; kompletną beznadzieję, jakby kobieta nie miała wpływu na swoje czyny ani pragnienia.

Patrzą, jak Will wchodzi do domu, i czekają, aż coś się stanie, w ciszy przerywanej tylko nosowym świstem oddechu Geoffa.

IMITACJA ŻYCIA

Helen zaciekle kroi bochenek razowego chleba, szykując mężowi kanapki na jutrzejszy lunch. Musi coś zrobić, żeby uspokoić nerwy przed czekającym ją niemożliwym do wykonania zadaniem. Jest tak pogrążona w myślach, udręczona chłodnym, neutralnym głosem Alison Glenny, który pobrzmiwa jej w kółko w głowie, że nie zauważa Willa, który wszedł do kuchni i się jej przygląda.

Czy potrafiłaby to zrobić? Czy potrafiłaby zrobić to, co jej kazano?

- Chleba naszego razowego daj nam dzisiaj, Panie - mówi, kiedy Helen dodaje do sterty kolejną kromkę. - I odpuść nam nasze kanapki, jako i my odpuszczamy naszym kanapko wieżom..

Helen jest zbyt poruszona, żeby się opanować. Jest wściekła, że Will tu przyszedł, dając jej tym samym okazję do wypełnienia rozkazu Alison. Ale może jest inne wyjście. Może Alison kłamała.

- Mamy poniedziałek, Will. Poniedziałek.

- Coś ty? - mówi, udając szok. - Ale u was ten czas leci. Poniedziałek!

- Dzień twojego wyjazdu.

- Właśnie, a propos...

- Pamiętasz, że masz się stąd zbierać? - przypomina, prawie w ogóle nie myśląc o tym, co mówi. Ścisną mocno rączkę noża. - Musisz wyjechać. Jest poniedziałek. Obiecałeś.

- Ach, obiecałem. Jakież to staroświeckie!

Próbuje spojrzeć mu w oczy, ale przychodzi jej to z większym trudem, niż się spodziewała.

- Proszę cię, Clara jest na górze.

- A, tylko Clara? Czyżby mężczyźni cię opuścili?

Helen patrzy na krojący nóż, z lśniącego ostrza spogląda na nią jej zdeformowane odbicie. Czy potrafi to zrobić? Czy się odważy, z córką w domu? Musi być inne wyjście.

- Rowan poszedł do kina. Peter jest na spotkaniu.

- Nie wiedziałem, że w Bishopthorpe jest kino. Toż to prawdziwe Las Vegas w miniaturze.

- Jest w Thirsk.

Słyszy stłumiony śmiech Willa.

- Thirsk - powtarza, rozciągając długą sylabę. - Piękna nazwa¹².

- Musisz stąd wyjechać. Ludzie o tobie wiedzą. Wszystkich nas narażasz.

Rzuca się z powrotem na bochenek, kroi jeszcze jedną niepotrzebną kromkę.

¹² Nawiązanie do thirst (ang.) - pragnienie.

- A, faktycznie - mówi Will z obłudną troską. - No nic, zamierzam sobie pojechać. Nie martw się. Jak tylko wszystko wyprostujesz, to znikam.

- Słucham? Co wyprostujesz?

- Wiesz, kwestie rodzinne.

- Co?

- Wyjawisz prawdę o waszej domowej sielance - mówi łagodnym głosem, jakby każde słowo było z porcelany. - Powiesz Peterowi i Rowanowi, jak w rzeczywistości mają się sprawy. A potem zniknę. Z tobą czy bez ciebie. Sama zdecydujesz. Tylko czym się będziesz kierować?

Wskazuje palcem jej głowę, opiera koniuszek o czoło.

- Czy?

Wskazuje na jej serce.

Helen jest słabo z desperacji. Sam jego dotyk, nacisk maleńkiego skrawka skóry, przywołuje wszystkie wspomnienia. Jakie to uczucie być z nim, być wszystkim, czego pożąda. To tylko wzmacnia jej frustrację.

- Co ty robisz?

- Ratuje ci życie.

- Co?

Will jest zaskoczony jej pytaniem.

- Peter miał rację. To przedstawienie. Grasz w przedstawieniu. Jesteś aktorką. To imitacja życia. Nie chcesz znowu poczuć prawdy, Helen? Nie chcesz, żeby opadła ta elegancka czerwona kurtyna?

Jego słowa utkwiły w głowie Helen, która nie wie, co robi. Kroci zaciekle. Nóż ześlizguje się z chleba i przecina jej palec. Will łapie ją za nadgarstek. Przez chwilę kobieta broni się niemrawo, kiedy on wkłada sobie jej palec do ust i ssie krew. Helen zamyka oczy.

Być przez niego pożądaną.

Przez jej inicjatora.

Takie cudowne, straszne uczucie.

Na chwilę mu się poddaje, zapomina o Clarze, o wszystkim oprócz niego. Tego, którego nigdy nie przestała pragnąć.

Ale potem otwiera oczy i wraca na ziemię. Do kuchni w poniedziałek po południu, gdzie otaczają ją te wszystkie przedmioty. Dzbanek z filtrem, toster, ekspres do kawy. Zwykle rzeczy, ale to część jej świata, a nie jego. Część świata, którą do północy mogła stracić albo uratować. Odpycha Willa, który kończy z żartami i mówi poważnym tonem.

- Pragniesz mnie, Helen. Dopóki żyję, będziesz mnie pożądać. - Słyszysz, jak Will bierze głęboki wdech. - To do ciebie nie dociera, prawda?

- Co do mnie nie dociera? - pyta Helen z wzrokiem wlepionym w deskę do krojenia chleba. W okruchy wyznaczające konstelacje nieznannej galaktyki. Zlewają się z drewnem deski.

Ma łzy w oczach.

- Ty i ja - mówi Will. - Stworzyliśmy się nawzajem. - Klepie się dłonią w pierś. - Myślisz, że chcę być kimś takim? Nie dałaś mi wyboru.

- Proszę - mówi Helen.

Ale on nie zwraca na nią uwagi.

- Siedemnaście lat chodziłem śladami tamtej nocy w Paryżu. Wróciłbym, ale nikt mnie zaprosił. Poza tym, nie miałem ochoty robić za drugiego. Nie kolejny raz. Ale wiesz, to mnie dużo kosztowało, żeby trzymać się na dystans. Musiałem wypić dużo krwi. Przegryźć wiele młodych szyj. Choć zawsze jest za mało. Nie mogę cię zapomnieć. Jestem tobą. Ty jesteś winogronami, ja jestem winem.

Helen uspokaja oddech, próbuje znaleźć siłę.

- Wiem - mówi, mocniej chwytając rączkę noża. - Przykro mi. I to prawda. Ja... faktycznie pożądam twojej krwi. Mówię serio. Chcę znowu poczuć twój smak. Masz rację. Pożądam cię.

Will jest oniemiały, potem dziwnie bezbronny. Jak wściekły pies, który nie zdaje sobie sprawy, że czeka go uśpienie.

- Jesteś pewna? - pyta.

Helen nie jest pewna. Ale jeżeli ma to zrobić, to nie chce tego już dłużej przeciągać. To jest odpowiedni moment.

- Jestem pewna.

POCALUNEK

Krew rozlewa się po nadgarstku Willa i cieknie po przedramieniu, skapuje na kremową terakotę. Helen nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego. Najchętniej uklęknęłaby i zlizala ją na czworakach z podłogi, ale nie musi, gdyż ma tuż przed sobą jego krwawiącą ranę na nadgarstku. Ma ją nad twarzą i krwawi jej do ust - przynosi jej większą ulgę niż strumień fontanny w dzień spiekoty.

Ssie mocno. Wie, że zadana własnoręcznie rana właśnie zaczyna się goić. Połykanie krwi daje jej tak wielkie spełnienie, jak gdyby tama, którą budowała latami dla obrony przed uczuciami, właśnie puściła. Oblewa ją fala przyjemności. Oddając się jej, zdaje sobie sprawę z tego, co zawsze wiedziała. Pożąda go. Pragnie rozkoszy, którą tylko on może jej dać, i chce czuć, jak on delektuje się tym, czym ona teraz, więc odsuwa się, całuje go namiętnie i czuje, jak jej kły drapią go po języku, a w jej język wbijają się jego, i z ich spojonych ust płynie krew. I wie, że w każdej chwili Clara może zejść na dół i zobaczyć ich razem, ale nie chce przyspieszać tej przyjemności, więc dalej całuje tego wspaniałego, potwornego mężczyznę, który przez tyle lat był częścią niej, krążył w każdej żyłce w jej ciele.

Czuje, jak jego dłoń dotyka jej ciała pod koszulą. Wie, że Will ma rację.

Ona jest nim, a on nią.

Skóra na skórze.

Krew na krwi.

Pocałunek kończy się, Will przenosi się na jej szyję i wgryza się w nią, a kiedy rozlewa się po niej rozkosz, napełniając to puste naczynie, którym była, wie, że to jest koniec. Nie może być już lepiej. Przyjemność ma w sobie swoisty agonalny smutek. Smutek blaknącego wspomnienia. Smutek zgniecione go zdjęcia. Otwiera oczy, sięga po nóż kuchenny i trzyma go poziomo za jego szyją.

Coraz bardziej przybliża ostrze, jak smyczek do skrzypiec, ale nie może się na to zdobyć. Milion razy chętniej zabiłaby siebie niż jego, bo każdy odłamek nienawiści, którą do niego czuje, tylko podsycy skrytą głęboko miłość, gorącą czerwoną stopioną lawę, która płynie pod spodem.

Ale przecież muszę...

Przecież muszę...

Muszę...

Jej dłoń kapituluje, wiotczeje, odmawia posłuszeństwa rozkazom mózgu. Nóż spada na podłogę.

Will odsuwa się od jej szyi, jej krew na jego twarzy jest jak barwy wojenne. Kiedy Will widzi nóż, serce Helen mocno bije pełne gniewu i strachu - że zdradziła nie tylko jego, ale też siebie.

Chce, żeby coś powiedział.

Chce, żeby ją zwymyślał.

Tego właśnie jej potrzeba. Tego potrzeba jej krwi.

Will jest urażony. Jego wzrok staje się nagle wzrokiem zagubionego, opuszczonego pięciolatka. Doskonale pojmuje, co chciała zrobić.

- Szantażowali mnie. Policja... - tłumaczy, żebrząc o odpowiedź.

Ale on nie mówi ani słowa i wychodzi z domu.

Helen chce wyjść za nim, ale wie, że musi posprzątać bałagan, zanim ktoś go zobaczy.

Wyciąga spod zlewu rolkę jednorazowych ręczników i odrywa garść. Kiedy wyklada nimi podłogę, krew barwi i rozkłada papier. Helen zaczyna szlochać, łzy cieką jej po twarzy.

W tym czasie Will też chodzi na czworakach, z tyłu furgonetki, gdzie rozpaczliwie szuka najcenniejszego, co posiada.

Kompletnego i doskonałego marzenia o owej długiej minionej nocy.

Potrzebuje ponad wszystko skosztować jej takiej, jaka była wtedy. Zanim lata kłamstw i obłudy zmieniły jej smak.

Z wielką ulgą widzi śpiwór i sięga po niego. Ale ulga szybko znika, kiedy włożywszy dłoń do środka, Will natrafia tylko na miękką bawełnę wyściółkę.

Miotła się dziko, przeszukując furgonetkę.

Pudełko po butach jest otwarte. Na podłodze leży list, jakby wypadł komuś z dłoni. I zdjęcie. Rowana.

Podnosi zdjęcie i patrzy Rowanowi w oczy. Inni ludzie zobaczyliby w nich niewinność, ale Will Radley tak naprawdę nie wie, jak wygląda niewinność.

Nie wtedy, kiedy patrzy w oczy czteroletniego Rowana i widzi rozpuszczonego bachora, maminsynka, który zdobywa serce matki przymilnym uśmiechem.

Maminsynek, no cóż, Rowanie, w tym przypadku trudno o trafniejsze określenie.

Śmieje się opętańczo, nawet kiedy żart przestaje go już śmieszyć.

W tej chwili Rowan poznaje być może smak marzenia, które nie jest jego.

Will wypęła jak pies z furgonetki. Biegnie Orchard Lane, mija latarnię, ignoruje krew Jareda Copelanda, którą czuje nieopodal. Odbija się i wznosi w powietrze, przyglądając przez chwilę własnemu cieniowi na dachu, po czym pędzi jak rakieta w stronę Thirsk.

LIS I KORONA

Peter siedzi zamknięty bezpiecznie w samochodzie i obserwuje pary wchodzące do Lisa i Korony. Wszyscy tacy szczęśliwi. Zapełniają czas odrobiną kultury, spacerami po okolicy i wieczorkami jazzowymi. Gdyby mógł się urodzić jako normalny człowiek i nie pragnąć czegoś więcej.

Wie, że Lorna tam jest, siedzi sama przy stoliku, kiwa głową do wygrywanego przez łysiejących muzyków amatorów rytmu, że właśnie zaczyna się zastanawiać, czy nie wystawił jej do wiatru.

Dochodzą do niego dźwięki trąbek, od których robi mu się dziwnie.

Jestem żonaty. Kocham żonę. Jestem żonaty. Kocham żonę...

- Helen - powiedział żonie przed opuszczeniem domu. - Wychodzę.

Słuchała go jednym uchem. Stała plecami do niego, wpatrzona w szufladę z nożami. Cieszył się, że się nie odwróciła, bo włożył najelegantszą koszulę.

- Aha, dobrze - powiedziała beznamiętnie.

- Mam spotkanie służby zdrowia, o którym ci wspominałem.

- A, tak - odparła z opóźnieniem. - Oczywiście.

- Mam nadzieję, że wrócę koło dziesiątej.

Na to już nic nie odpowiedziała i był wręcz rozczarowany jej brakiem podejrzeń.

- Kocham cię - dodał pod wpływem wyrzutów sumienia.

- Tak. Do widzenia.

„Kocham cię”, jak zwykle, nieodwzajemnione.

Kiedyś była w nim zadurzona. Byli tak zakochani, że Clapham - w czasach przed zasiedleniem przez nowobogackich - stało się dla nich najromantyczniejszym miejscem na świecie. Smętne, deszczowe uliczki południowego Londynu tętniły cichą miłością. Niepotrzebna im była Wenecja ani Paryż. Ale coś się stało. Helen coś straciła. Peter wiedział, ale nie miał pojęcia, jak to przywrócić.

Jakiś samochód skręca na parking przy pubie, jest w nim kolejna para. Peterowi wydaje się, że poznaje kobietę - to znajoma Helen. Jessica Gutheridge, projektantka pocztówek. Jest pewien, że Jessica też chodzi do kółka czytelniczego Helen. Nigdy wcześniej jej nie spotkał. Helen pokazała mu ją wieki temu na świątecznym bazarku w Yorku. Jest wysoce wątpliwe, żeby Jessica go rozpoznała, ale to kolejny kłopot, który podnosi i tak już wysoki poziom ryzyka tego wieczoru. Obsuwa się nieco na siedzeniu, kiedy Gutheridgowie wysiadają z samochodu. Idąc do pubu, nie spoglądają w jego stronę.

Peter dochodzi do wniosku, że Farley jest za blisko. Powinni byli wybrać odleglejszą miejscowość.

Ma tego wszystkiego dosyć. Po euforii w trakcie picia krwi Lorny teraz nie zostało ani śladu. Została sama pokusa, bez atrakcyjnego opakowania.

Kłopot w tym, że on kocha Helen. Zawsze ją kochał. I gdyby tylko czuł, że ona też go kocha, nie byłoby go tutaj, niezależnie od krwi.

Ale ona go nie kocha. I dlatego wejdzie do klubu i porozmawia z Lorną. Pośmieją się razem i posłuchają beznadziejnej muzyki. Po kilku drinkach zaczną się zastanawiać, czy to się skończy czymś więcej. I nie jest wykluczone, że tak się właśnie stanie i pewnej nocy, może nawet dzisiejszej, będą obmacywać się jak nastolatki w jego samochodzie albo w hotelu Travelodge, albo może nawet pod numerem dziewiętnaście, a on będzie musiał zmierzyć się z jej nagością.

Ta wizja wywołuje w nim panikę. Sięga po leżący na desce rozdzielczej *Poradnik abstynenta*, który wziął bez pytania z pokoju Rowana.

Znajduje rozdział, którego szuka: „Bezkrawy seks: Liczy się to, co widać”. Czyta o technikach oddechowych, koncentracji na skórze i różnych sposobach na stłumienie zewu krwi. „Jeżeli czujecie, że w trakcie gry wstępnej bądź samej kopulacji zaczyna się przemiana, zamknijcie oczy i oddychajcie przez usta, tym samym ograniczając stymulację wyobraźni i zmysłów... Jeżeli wszystko inne zawiedzie, przerwijcie stosunek i powiedzcie na głos omówioną w poprzednim rozdziale mantrę abstynenta: «Nazywam się [WASZE IMIĘ] i panuję nad popędem»”.

Znowu patrzy na drogę. Zatrzymuje się kolejny samochód, a kilka minut później przejeżdża autobus. Peter jest pewien, że zobaczył wyraz żalu na wyglądającej przez okno twarzy syna. Czy Rowan go widział? Wyglądał strasznie. Czy się zorientował? Ta myśl go przeraża i coś się zmienia. Eteryczna rozkosz przechodzi w konkretne poczucie obowiązku. Zapala silnik i rusza do domu.

- Nazywam się Peter Radley - mamrocze zmęczony. - I panuję nad swoim popędem.

THIRSK

Rowan i Eve są w kinie w Thirsk, jedenaście kilometrów od domu. Rowan ma w plecaku butelkę krwi. Jednak na razie jeszcze nic z niej nie wypił. Miał to zrobić na przystanku, zobaczywszy kolejne graffiti na swój temat: „ROWAN RADLEY TO DZIWOŁĄG” (podobnie jak w przypadku identycznego napisu na ścianie zamkniętej na głucho poczty, pismo należy do Tobyego, choć tym razem bardziej się przyłożył, decydując się na trójwymiarową czcionkę). Ale wtedy pojawiła się Eve i podjechał ich autobus. Teraz musi zachować spokój, tłumiąc w sobie wszystkie kłamstwa matki i świadomość, kto jest jego ojcem.

Film, na który poszli, jest dość bezsensowny. Przyjemność sprawia mu za to przyglądanie się Eve, jej skórze, która w poświęceniu pojawiających się na ekranie obłądnych eksplozji mieni się na żółto, pomarańczowo i czerwono.

Kiedy na nią patrzy, rewelacje z listu matki zaczynają blednąć, zostaje tylko widok i zapach Eve. Rowan wpatruje się w biegnącą wzdłuż jej szyi linię mrocznego cienia i wyobraża sobie smak tego, co płynie w środku.

Nachyla się coraz bliżej. Jego zęby zmieniają się, kiedy zamyka oczy i szykuje się, żeby wgrzyźć się w jej ciało. Eve widzi, jak się do niej zbliża i uśmiecha się, nawet przechyla w jego stronę kubek z popcornem.

- Dziękuję - mówi Rowan, zasłaniając sobie usta. Wstaje, żeby wyjść.

- Rowan?

- Idę do toalety - wyjaśnia, mijając puste fotele w ich rzędzie. Teraz wie, że nie powinien już nigdy więcej się z nią spotykać.

Tak niewiele brakowało, sprawy tak bardzo wymknęły się spod kontroli.

Jestem potworem. Potworem spłodzonym przez potwora.

Musi zaspokoić niesamowite pragnienie, które go dręczy.

Po wejściu do toalety Rowan wyjmując z pazuchy butelkę i wyciąga korek. Fetor starego moczu natychmiast znika i chłopiec pogrąża się w czystej rozkoszy.

Woń jest zarazem bardzo egzotyczna i wyjątkowo znajoma, choć nie potrafi stwierdzić, skąd ją zna. Zaczyna pić. Z zamkniętymi oczami delectuje się ekstazą smaku. Ma na języku wszystkie cuda świata. Ale wyczuwa też coś dziwnie znajomego, jakby wracał do domu, o którego istnieniu zapomniał.

Dopiero kiedy przerywa, żeby złapać oddech i wytrzeć usta, spogląda na etykietę. Zamiast imienia Will napisał: „WIECZNA -1992”.

Powoli zaczyna rozumieć.

Wieczna.

I rok jego narodzin.

Ma ją w ustach i w gardle.

Butelka drży mu w dłoniach, co jest nieuniknionym efektem przerażenia i furii, której właśnie doświadczył.

Ciska butelką o ścianę i spływająca po glazurze krew tworzy kałużę na podłodze. Czerwoną kałużę, która zmierza ku niemu niczym wysunięty język.

Wymija ją, zanim go dosięgnie, rozdeptując po drodze odłamek szkła. W holu jest tylko mężczyzna w kasie, który żuje gumę i czyta „Racing Post”.

Mężczyzna mierzy Rowana podejrzliwym wzrokiem. Musiał usłyszeć odgłos rozbijanej butelki, ale wraca do analizy wyścigów albo przynajmniej udaje, że to robi, nieco zaniepokojony wyrazem twarzy Rowana.

Na dworze na schodach Rowan oddycha powoli i głęboko. Jest trochę zimno. Powietrze jest suche. Panuje totalna i przytłaczająca cisza, którą chłopiec musi przerwać, więc wrzeszczy w nocne niebo.

Cienka chmura zasłania Księżyc w ostatniej kwadrze.

Gwiazdy wysyłają do niego sygnały sprzed tysiącleci.

Wykrzyczawszy się, zbiega po schodach i pędzi ulicą.

Szybciej i szybciej i szybciej, aż bieg zamienia się w coś innego i Rowan nie ma już pod stopami twardej ziemi, nie ma pod stopami niczego.

CZĄSTKA

Mutanci z lodu: Odrodzenie III nie jest najlepszym filmem, jaki widziała Eve. Fabuła dotyczy się zarodków pozaziemskich form życia zamrożonych na biegunie polarnym od epoki lodowcowej, które teraz, z uwagi na globalne ocieplenie, rozmrażają się, wylęgają i zamieniają w podwodne, żądne mordy stworzenia z kosmosu, których ofiarą padają okręty podwodne, trawlerzy, nurkowie głębinowi i bojownicy ruchu ekologicznego, aż w końcu definitywnie unicestwia je marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych.

Jednak po prawie dwudziestu minutach historia zeszła na drugi plan na rzecz sekwencji coraz bardziej ekstrawaganckich wybuchów i wygenerowanych komputerowo absurdalnych pozaziemskich ośmiornic. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż Eve siedziała obok Rowana i zaczęła sobie uświadamiać, że spędzanie z nim czasu coraz bardziej jej się podoba. Nawet w trakcie oglądania bzdur tego rodzaju. Chociaż, aby oddać Rowanowi sprawiedliwość, to był jedyny film w repertuarze. Bądź co bądź, Pałace Cinema w Thirsk to nie multipleks. Ale potem Rowan sobie poszedł i teraz, jako że Eve siedzi sama od - zerka na zegarek, sprawdza godzinę, korzystając z błysku eksplozji kolejnej porcji obcych - prawie trzydziestu minut, zaczyna się zastanawiać, co się z nim stało.

Stawia kubek z popcornem na podłodze i idzie poszukać chłopca. Kiedy mija inne młode pary i grupki tchnących żalostí fanatyków fajerwerków, jest przez chwilę skrępowana, ale zaraz potem wychodzi do holu. Podchodzi do drzwi męskiej toalety.

- Rowan?

Brak odpowiedzi, ale wyczuwa czyjaś obecność.

- Rowan?

Wzdycha. Może po drodze czymś go do siebie zniechęciła. Natychmiast ujawnia się jej standardowy zestaw kompleksów. Może przesadziła z opowieściami o tacie. Może to kwestia kilku dodatkowych kilogramów, o których poinformowała ją rano waga. Może ma nieświeży oddech. (Lize dłoń, wacha ją, ale czuje tylko mdławosłódki zapach śliny na skórze).

Może to T-shirt Airborne Toxic Event, który włożyła. Chłopcy często bywają ortodoksyjni w kwestii muzyki. Przypomina się jej tamten wieczór w Sale, kiedy Tristan Wood, choć i tak mocno zdołowany, popłakał się, kiedy powiedziała, że woli Noah and the Whale od Fali Out Boy.

Może przegięła z makijażem. Może jabłkowitzony cień do powiek to przesada jak na poniedziałkowy wieczór. Może to dlatego, że jest niczym żebraczka rodem z Dickensa, której dręczonego manią prześladowczą ojca nie stać na opłacenie czynszu. A może dojrzał tkwiącą głęboko w niej melancholię, zazwyczaj ukrytą pod maską pogodnego sarkazmu.

A może to po prostu dlatego, że on zaczął jej się podobać.

Trzecie podejście.

- Rowan?

Spogląda w dół, na punkt, gdzie wykładzina dochodzi do drzwi.

Wykładzina jest paskudna, stara i podeptana, z wymyślnym wzorkiem rodem z sali bingo, na który nie da się długo patrzeć bez utraty równowagi. Jednak to nie wzorek ją martwi. Martwi ją ciemna plama, która powoli w niego wsiąka zza drzwi. Plama, która, powoli to do niej dociera, może być plamą krwi.

Otwiera ostrożnie drzwi, przygotowując się na najgorsze - na Rowana leżącego na podłodze w kałuży krwi.

- Rowan? Jesteś tu?

Jeszcze zanim drzwi otwierają się do końca, Eve istotnie widzi kałużę, choć reszta nie przedstawia się tak, jak to sobie wyobrażała. Na podłodze leżą okruchy szkła, jakby z butelki po winie, ale ciecz jest zbyt gęsta na wino.

Czuje czyjaś obecność.

Cień.

Coś się poruszyło. Jest zbyt szybkie, żeby dało się rozpoznać, i zanim się orientuje, z czym ma do czynienia, niewiarygodnie silna dłoń wciąga ją za rękę do pomieszczenia.

Szok wypycha jej powietrze z płuc i zajmuje chwilę, zanim dziewczyna odzyskuje świadomość sytuacji niezbędną do wydania krzyku. W tym czasie widzi twarz mężczyzny, ale zauważa właściwie tylko zęby, które ani trochę nie przypominają zębów.

W tej sekundzie, kiedy on przyciąga ją do siebie, pełna paniki Eve myśli tylko o jednej potwornej rzeczy: „Mój tata miał rację”.

Krzyk nadchodzi o wiele za późno.

Mężczyzna mocno ją obejmuje i Eve wie, że te zęby nie-zęby właśnie się do niej zbliżają. Zmaga się i szarpie ze wszystkich sił, kopie go w piszczele, jej dłonie drapią niewidoczną twarz, jej ciało wije się jak zrozpaczona ryba na haczyku.

- Narowista. - Jego oddech przy uchu. - Tak jak matka.

Eve znowu krzyczy, spoglądając rozpaczliwie na puste kabiny z otwartymi drzwiami. Czuje go na skórze, jak przekłuwa jej szyję, i walczy każdą cząstką siebie, żeby nie podzielić losu matki.

ŻAL

Przełot z Bishopthorpe do Thirsk zajął Willowi mniej niż minutę, a kino nietrudno było znaleźć w tak małym i niemrawym miasteczku.

Wylądował na najwyższym schodku i wszedł do środka, kierując się prosto do sali. Ale w holu wychwycił w powietrzu zapach krwi Helen i trafił jego śladem do toalety.

Tam ujrzał swój największy koszmar. Doskonałe i totalne marzenie o owej nocy z 1992 roku, najśłodsze i najczystsze, jakiego w życiu doświadczył, rozbite i ściekające na brudną podłogę kibla. Tego było za wiele. Stał tam przez chwilę, wpatrując się w małe pletwy rozbitego szkła wystające z krwi Helen, usiłując poradzić sobie z widokiem.

Wtedy weszła ta dziewczyna. Córka Copelandów. Wyglądała tak samo, jak niegdyś mogła wyglądać jej matka, w oczach miała ten sam strach.

Złapał ją, bo nie miał powodu, żeby tego nie robić. Teraz, właśnie teraz, kiedy się w nią wgryza, tuż przed zamknięciem oczu patrzy na krew na podłodze.

Płynie w jeziorze tej krwi, tym razem nawet bez łódki. Płynie pod wodą.

Krwawa topiel.

Jednak kiedy wysysa z niej życie, dociera do niego przerażająca świadomość. Ta sama, którą poczuł zeszłej nocy, z Isobel w Czarnym Narcyzie.

To za mało.

To o wiele za mało.

I to za mało, bo to nie Helen.

Jeszcze bardziej martwi go to, że Eve smakuje prawie tak samo jak jej matka, a kiedy skosztował Tess, bawił się doskonale i nie myślał wtedy o miłości swojego życia.

Nie.

Ona mi nie smakuje.

Nie smakuje mi żadna oprócz Helen.

W miarę jak ta prawda wyklarowuje się w jego umyśle, ściekająca mu do gardła krew robi się coraz obrzydliwsza. Widzi siebie wypływającego na powierzchnię jeziora, z trudem łapiącego powietrze.

I widzi, że puścił Eve, jeszcze zanim umarła. Wszystko mi jedno, myśli z klarownym uporem dziecka. Nie chce jej krwi. Chce krwi Helen.

Eve jeszcze żyje i właśnie umiera. Przygląda się, jak dziewczyna trzyma się za szyję, a krew przecieka jej przez palce na T-shirt z nazwą zespołu, o którym nie słyszał - i nigdy jeszcze nie czuł takiej pustki. Patrzy na podłogę i pojmuje, że on sam jest butelką, z której wszystko się wylało.

Eve opiera się o kafelki i przygląda mu się, przestraszona i wyczerpana.

Wszystkie te rzeczy, które rozgrywają się na twarzach bezkrwawców!
Wszystkie te bezcelowe sygnały, które mają w nim wywołać - co? Skruczę?
Wstyd? Żal?

Żal.

Nie żałował nikogo, od kiedy udał się z trójką innych pielgrzymów
zobaczyć samotną śmierć lorda Byrona w tamtej jaskini na Ibizie. Wiekowy
poeta - blady, wymizerowany starzec, który wyglądał jak cień - leżał na łódce ze
świeczką w dłoni. A nawet wtedy, czy to był żal, czy strach przed własnym
losem?

Nie, myśli.

Żal to kolejna siła, która osłabia. Jak grawitacja. Coś, co ma utrzymać
bezkrwawców i abstynentów na ziemi, tam, gdzie ich smętne miejsce.

WIADOMOŚĆ

Jared krył się w krzakach przy Orchard Lane przez ponad godzinę, czekając na potwierdzenie, że to, co powiedziała mu Alison Glenny, jest prawdą. Że Willa Radleya ma zabić jego bratowa. Przez chwilę nic nie widział, choć obecność zaparkowanego na początku alejki bmw dodała mu otuchy. Założył, że to samochód Glenny. Jednak potem jego nadzieje rozwiały się, kiedy zobaczył wychodzącą z domu osobę.

Willa Radleya. Żywego.

Kiedy przyglądał mu się, jak najpierw znika w furgonetce, a niedługo potem odlatuje, zrobiło mu się niedobrze. Przez chwilę myślał, że naprawdę zwymiotuje od ilości spożytego wcześniej czosnku, ale rześki powiew pomógł mu przemóc mdłości.

- Nie - powiedział do otaczających go zielonych liści. - Nie, nie, nie.

Potem Jared wyplątał się z krzaków i ruszył do domu. Kiedy mijał samochód Alison Glenny, zapukał w szybę.

- Twój plan nie wypalił. - Ktoś był z nią w aucie. Jakiś nieznany mu brzuchaty ogolony miś z policji, który wpatrywał się z niedowierzaniem w niebo przez przednią szybę.

- Daliśmy jej czas do północy - powiedziała Alison tonem tak bezosobowym jak formularz rozwiązania umowy o pracę. - I ma czas do północy.

Jared usłyszał dźwięk zasuwanej szyby i nie pozostało mu nic innego, jak ruszyć na piechotę do domu.

„Dowód na istnienie wampirów to nic innego jak dowód własnej niepoczytalności”, powiedziała mu kiedyś Alison. Ta sama kobieta, która ostrzegła, że jeżeli choćby napomknie - komukolwiek, nawet własnej córce - o swoich podejrzeniach co do mordercy żony, to wróci do zakładu i spędzi tam resztę życia.

Westchnął. Will Radley będzie żył o północy.

Wszystko było na darmo.

Znajdował się w tym samym miasteczku co Will Radley i był zupełnie bezradny. Szedł dalej, minął pub, pocztę i delikatesy, gdzie można było kupić przekąski koktajlowe, na które, nawet gdyby miał ochotę, i tak nie byłoby go stać. O podświetloną wystawę jest oparta tablica w drewnianej ramie, reklamująca szynkę parmeńską, oliwki manzanilla, karczocha z grilla i kuskus z Maroka.

Nie pasuję tutaj. Ta myśl przywiodła kolejną. Nie byłem w porządku w stosunku do córki. Podjął decyzję. Pójdzie do domu i przeprosi Eve. Użeranie się z jego dziwactwami i surowymi nakazami musiało być dla niej nadzwyczaj trudne. Przeprowadzą się gdzieś daleko stąd, jeżeli będzie chciała, a on da jej tyle wolności, na ile zasługuje rozsądna siedemnastolatka.

Przypomniął sobie niedzielne poranne biegi z Eve w czasach, kiedy miał czas i energię na takie rzeczy. Kiedy weszła w wiek nastoletni, przez jakiś rok miała obsesję na punkcie sprawności fizycznej. Ale podobało mu się to, bo mieli swoją małą prywatną przestrzeń z dala od matki, kiedy biegali wzdłuż kanału albo na starych opuszczonych torach w Sale. Wtedy byli ze sobą naprawdę blisko, kiedy potrafił się nią opiekować, dając jej zarazem trochę luzu.

Tak, starczy już tego. Koniec.

Gdyby on, czy ktokolwiek inny, zabił Willa Radleya, to czy poczułby się lepiej? Sam nie wie. Przypuszczalnie tak, ale jedyne, co faktycznie wie, to to, że ciągnie się to już zbyt długo, Eve za dużo przez niego przecierpiała i teraz to się musi skończyć.

Ta myśl nie opuszcza Jareda, kiedy przekręca klucz w drzwiach domu przy Lowfield Close 15, wchodzi na klatkę schodową i człapie na górę. Jeszcze przed wejściem do mieszkania wyczuwa, że coś nie gra. Jest zbyt cicho.

- Eve? - woła, kładąc klucze na półce w przedpokoju, obok czerwonej koperty z wodociągów Yorkshire.

Nikt nie odpowiada.

- Eve?

Idzie do jej pokoju, ale córki tam nie ma. Są plakaty zespołów, jest wąskie łóżko, otwarta szafa, ale Eve nie ma. Znajome ubrania na wieszakach są jak jej duchy.

Na toaletce leżą porozkładane jej kosmetyki, a w powietrzu wisi słodki chemiczny zapach lakieru do włosów.

Wyszła. W poniedziałek wieczorem.

Gdzie ona się do diabła podziewa?

Biegnie do telefonu. Dzwoni na jej komórkę. Nikt nie odpowiada. Wtedy na stole w salonie widzi wiadomość.

Tato,
poszłam do kina z Rowanem Radleyem. Szczerze wątpię, żeby był wampirem.

Eve

Jezu, myśli.

Ogarnia go panika. Kartka wysuwa mu się z ręki i jeszcze zanim spadnie na wykładzinę, Jared łapie jedną dłonią kluczyki, a drugą upewnia się, że ma na szyi mały złoty krzyżyk z Jezusem.

Na dwór, na deszcz.

Rozbita szyba. Eve mówiła mu, żeby naprawił samochód, ale jej nie słuchał.

Teraz jednak nie ma wyboru, nie ma czasu.

Otwiera drzwi, wsiada do samochodu, nie sprzątnąwszy okruchów szkła z siedzenia, rusza i pędzi do Thirsk.

STRACONY ŚWIAT, KTÓRY KIEDYŚ BYŁ JEJ

To nie tyle ból, co forma rozkładu. Jakby powoli traciła spójność i zamieniała się w ciecz. Eve rozgląda się, patrzy na umywalki i lustra. Na kabiny i ich otwarte drzwi. Na rozbitą butelkę i kałużę czyjejś krwi. Jej powieki są ciężkie i jest śpiąca, ale słyszy jakiś hałas. Odgłos automatycznej spłuczki w pisuarze znowu ją budzi i dziewczyna przypomina sobie, kim i gdzie jest, i co się właśnie stało.

On już sobie poszedł i Eve zdaje sobie sprawę, że musi się stąd wydostać i poszukać pomocy.

Podciąga się, ale jest jej ciężko. Nigdy wcześniej grawitacja nie ciążyła jej tak mocno.

Jest nurkiem pływającym wśród resztek zatopionej cywilizacji. Stracony świat, który kiedyś należał do niej. Sięga do drzwi. Resztkami sił otwiera je i wychodzi na wykładzinę. Wzorek kłębi się pod nią jak sto małych wirów, a po drugiej stronie holu widzi biletera. Przez chwilę Eve zastanawia się, dlaczego patrzy na nią z takim przerażeniem.

Jej dłoń się osuwa.

Wtedy nadciąga dziwny, pełzający mrok i dziewczyna wie, że to coś strasznego. Wie, że za sekundę lub dwie nie będzie już wiedziała nic więcej.

Rozpływa się w mroku, tworząc z nim jedność.

Jak sól z wodą.

Każda kropla życia powoli się rozpuszcza. Pomocy.

Próbuje wyrazić tę rozpaczliwą myśl, ale nie jest pewna, czy jej się uda. Z każdym krokiem słabnie. Proszę, pomóż mi.

Słyszy głos, który wypowiada jej imię.

Dociera do niej, że to głos jej ojca, a ciemność nie zasłania jej już tylko pola widzenia, ale wdziera się wszędzie, uderza w nią jak fala. Eve ulega pod jej ciężarem i dociera do niej tylko niewyraźna świadomość, że osuwa się na wykładzinę.

MALEŃSTWO

Jared Copeland gnał samochodem do kina, a wiatr i deszcz smagały go przez rozbite okno, okruchy szkła przemieszczały się na siedzeniu pasażera. W połowie drogi, tuż przed pubem Lis i Korona w Farley, minął minivana Radleyów, którym Peter wracał do domu.

Na jego widok jeszcze docisnął pedał gazu, gdyż doszedł do wniosku, że Peter wraca po zawiezieniu do Thirsk syna. Po przyjeździe na miejsce zaparkował samochód w połowie na chodniku przed kinem i wbiegł po schodach do budynku.

Teraz stoi w holu. Widzi mężczyznę w białej koszuli, jednego z pracowników, który krzyczy i gestykuluje przez telefon.

- Halo... Niech natychmiast przyjedzie karetka... tak... Ktoś tu napadł dziewczynę... krwawi...

Wtedy Jared widzi córkę, krew i rozumie. To syn Radleyów ją ugryzł. Przerazenie dodaje mu sił i na chwilę znów jest sobą z dawnych lat. Opanowuje się i ogarnia go pełen spokój, kiedy przykuca, żeby sprawdzić tętno córki. Przez ostatnie dwa lata nieustannie dręczyła go ta wizja, a teraz, kiedy to faktycznie się stało, Jared robi wszystko, co w jego mocy, żeby ją uratować. Dwa lata temu spanikował i zaczął krzyczeć. Usłyszawszy jego krzyk, Will Radley porwał jego żonę. Teraz musi więc działać sprawnie i szybko.

Nie mogę tego spierdolić.

Kiedy tętno córki uderza mu słabo pod palcem, słyszy głos biletera.

- Pałace Cinema w Thirsk. Jest nieprzytomna. Musicie natychmiast przyjechać.

Jared ogląda ranę i cieknącą miarowo krew. Wie, że nie zacznie się goić. Wie, że w żadnym szpitalu w kraju nie będą wiedzieli, co z nią zrobić. Wie, że jeżeli zda się na standardowe procedury, to dziewczyna umrze.

Bileter skończył rozmawiać przez telefon.

- Kim pan jest? - pyta Jareda.

Jared ignoruje go i podnosi córkę z podłogi. Tę samą córkę, którą nosił, kiedy była trzykilogramowym maleństwem, które karmił z butelki w te noce, kiedy jej matka była wyczerpana, któremu noc w noc śpiewał do snu *American Pie*.

Jej oczy otwierają się na ułamek sekundy. Wracają jej zmysły na tyle, żeby mogła powiedzieć „przepraszam”, po czym znowu traci przytomność.

Bileter próbuje go zatrzymać.

- Co pan z nią robi?

- To moja córka. Proszę przytrzymać drzwi.

Bileter patrzy na niego, potem na ściekającą na wykładzinę krew. Zastępuje Jaredowi drogę.

- Przepraszam cię, stary, ale nie mogę ci pozwolić jej zabrać. Przykro mi.

- Zejdź mi z drogi - mówi Jared, podkreślając rozkaz wzrokiem. - Zejdź mi, do cholery, z drogi.

Bileter odsuwa się. Jared przechodzi tyłem przez drzwi, powtarzając w kółko do siebie i do córki:

- Będzie dobrze. Będzie dobrze. Będzie dobrze...

CORAZ WYŻEJ I WYŻEJ

Toby wychodzi ze smażalni ryb pana Millera z porcją dla jednej osoby zawiniętą w biały papier i rusza rowerem do domu. Uśmiecha się na myśl o pieniądzach, które mu zostały w kieszeni i o głupocie Rowana, który włożył je przez szparę na listy. Kiedy o tym myśli, nie ma pojęcia, że ktoś go śledzi z góry.

Skreca w lewo, jedzie ścieżką przez pole pełne koni, o którym wie, że prowadzi na skrót do Orchard Lane.

Konie uciekają galopem przerażone nie chłopcem na rowerze, ale tym, który leci coraz niżej nad nim.

Kiedy Rowan zniża lot, zdaje sobie sprawę, że jest już po wszystkim.

Nie będzie z Eve.

Jest dziwolągiem.

Jest zupełnie sam w świecie pełnym kłamców. Jest taki sam jak ojciec.

Jest Rowanem Radleyem. Szybującym przez noc potworem.

Toby spogląda do góry i nie może uwierzyć własnym oczom. Ryba wypada mu spod pachy na ziemię, frytki wysypują się z opakowania.

Na twarzy ma lęk.

- Nie! - mówi. - Co się...

Pedałuje mocno i szybko ścieżką zrobioną z myślą o niemrawych niedzielnych spacerowiczach w podeszłym wieku.

Rowan szybuje naprzód, teraz mniej wściekły, z umysłem jasnym i spokojnym jak polujący jastrząb. Obniża lot i przygląda się panice na twarzy Toby'ego, który próbuje zahamować i zawrócić. Ale nie ma czasu. Rowan chwytą go za przód kurtki i porywa z łatwością wysoko w powietrze, mimo że Toby trzyma się mocno kierownicy i pociąga za sobą rower.

- Masz rację - mówi Rowan z wysuniętymi w pełni kłami, podczas gdy konie pod nimi zamieniają się w ruchome punkciki. - Jestem dziwolągiem.

Toby chciałby krzyczeć, ale przerażenie mu nie pozwala. Puszczą rower, który spada na ścieżkę pod nimi.

Rowan zamierza go zabić. Żeby dowieść sobie, że naprawdę jest potworem. Jeżeli jest potworem, to morderstwo go nie ruszy. Nic nie poczuje. Od tej pory będzie już tylko zabijał, podróżując po świecie jak jego ojciec. Trasa jego wędrówek ułoży się w mapę ekstazy bez wyrzutów sumienia i bez ludzkich uczuć.

Unosi Toby'ego wyżej.

Coraz wyżej i wyżej.

Toby zbiera się na odwagę, żeby się odezwać, mimo że po nodze cieknie mu ciepły mocz.

- Przepraszam - wyrzuca z siebie.

Rowan patrzy na twarz sąsiada, kiedy szybko się wznoszą. Przestraszona, bezbronna twarz. Twarz ofiary. Nie.

Nie potrafi tego zrobić. Nawet jeżeli jest potworem, to jest innym rodzajem potwora niż jego ojciec. Przekrzykuje szum powietrza.

- Jeżeli powiesz jeszcze cokolwiek na temat Eve albo mojej rodziny, to cię zabiję. Cokolwiek. Jasne?

Toby'emu udaje się przytaknąć, na przekór grawitacji.

- I będziesz martwy, jeśli chociaż pomyślisz, że to się faktycznie stało. Jasne?

- Tak - jęczy. - Proszę...

Tak czy inaczej, to ryzyko. Jeżeli go zabije. Jeżeli go nie zabije. Ale Rowan nie zamierza zaprzepaścić resztki dobra, które w nim pozostało, dla smaku gorzkiej krwi Toby'ego.

Opada z nim, wypuszcza go dwa metry nad ziemią.

- Zjeżdżaj - mówi, kiedy Toby zrywa się na nogi. - Wynoś się i daj mi spokój.

Rowan ląduje na ziemi i patrzy, jak Toby ucieka. Słyszy za sobą klaskanie. Will.

Ma krew rozmazaną wokół ust, która wygląda jak namalowana na twarzy aktora maska.

- Bardzo dobrze, Pinokio - mówi Will, nadal klaszcząc. - Masz duszę prawdziwego chłopca ludzkiego gatunku.

Nie widział Willa w powietrzu. Czy przez cały czas go obserwował? Rowana intryguje krew na twarzy. Will robi krok naprzód.

- Choć muszę powiedzieć, że kręgosłup moralny cokolwiek cię zawiódł w furgonetce.

Jest na tyle blisko, że Rowan czuje woń jego oddechu, choć zajmuje mu chwilę, żeby zorientować się, co to za zapach.

- Kradzież - precyzuje Will. - To u mnie wielki minus. Ale nie martw się, zdążyłem ci się odplacić. Widzisz, ty ukradłeś moją krew, a ja twoją. To jin i jang, mój synu. - Will ma obłęd w oczach. Oczach potwora. - Nie jestem taki jak ty. Ja już dawno przestałem się przejmować wyrzutami sumienia. To był tylko hałas. Świerszcz bzycający mi do ucha.

Rowan próbuje rozszyfrować, o czym mówi Will. Rozpoznaje zapach krwi i świadomość tego jest jak cios w brzuch.

- Zrobiłem tylko to, co sam chciałeś zrobić - wyjaśnia Will, czytając w myślach syna. - Złapałem ją, ugryzłem i spróbowałem jej krwi. A potem... - Uśmiecha się, dobierając słowa, żeby sprowokować Rowana. - Zabiłem ją. Zabiłem Eve.

Rowan myśli o tym, jak Eve przesłała mu wiadomość na angielskim. Myśli o tym, jak subtelnie się do niego uśmiechnęła i od tego wspomnienia robi mu się słabo, prawie traci przytomność. To jego wina. Zostawił Eve i pozwolił, żeby to się stało.

Chłodny powiew smaga mu twarz. Oddech duchów.

- Gdzie... jest...

Will wzrusza ramionami, jakby ktoś zapytał go o godzinę.

- Nie wiem. Jakieś trzysta kilometrów od brzegu - kłamie. - Teraz pewnie już straszy ryby niedaleko dna. Choć czerwień to pierwszy kolor, który znika pod wodą. Wiedziałeś o tym? To ciekawe, prawda? Te biedne nudne ryby. Uwięzione w świetle błękitu.

Rowan ma mętlik w głowie. Spustoszenie w jego głowie jest tak natychmiastowe i totalne, że może się jedynie zwinąć w kłębek na ziemi. Eve nie żyje.

Will na odwrót, nigdy nie czuł się bardziej wolny od zasad moralnych niż teraz, kiedy jego syn kuli się jak kukielka bez sznurków. Żalony, obrzydliwy widok.

Nachyla się do niego, żeby powiedzieć mu prawdę.

- To nie była krew twojej matki, Rowan. To było marzenie o tym, jak mogłoby być, gdybyś się nie urodził. Widzisz, tak naprawdę nigdy cię nie chciałem. Nie znoszę odpowiedzialności. Sama idea napawa mnie wstrętem. Jak czosnek. Serio, dostaję od niej wysypki, a sam najlepiej wiesz, co znaczy wysypka. Źle się od niej czujesz we własnym ciele. - Robi przerwę, oddycha głęboko, potem przechodzi do konkluzji. - Pragnąłem Helen, ale bez balastu.

Rowan ma słabość po matce, konstatuje Will, przyglądając się, jak chłopak coś do siebie mamrocze. To ona zrobiła z niego słabeusza. Cały czas kłamstwa. Jak chłopak mógł pośród tych bredni wypracować właściwy system wartości?

- Zapomniała, kim jest - tłumaczy mu Will. - Zapomniała, jak bardzo mnie pragnie. Ale ja nie jestem taki jak ona ani taki jak ty. Jak czegoś pragnę, zdobywam to. A jeżeli ktoś nie chce mi czegoś dać, odbieram mu to.

Will przytakuje sam sobie. Wszystko jest dla niego teraz jasne, kiedy pozbył się ograniczeń moralności i słabości. Jestem czysty. Należę do lepszej rasy. Jestem ponad bezkrwawców i ponad abstynentów i ponad te ich kłamliwe, zahukane duszyczki.

Tak, myśli ze śmiechem.

Jestem lordem Byronem.

Jestem Caravaggiem.

Jestem Jimim Hendriksem.

Jestem każdym zrodzonym z potomków Kaina krwiopijcą, który oddychał powietrzem tej planety. Jestem prawdą.

- Tak, po prostu to odbieram.

Zostawia syna na ziemi. Przelatuje szybko i nisko nad polem, widząc Ziemię z prędkością, z jaką ona faktycznie się obraca.

Chwilę później stoi w drzwiach Orchard Lane 17. Wyciąga z wewnętrznej kieszeni płaszcz nóż. Palec drugiej dłoni zakreśla w powietrzu kółko, wisi nad

dzwonkiem niby spada szermierza szykującego się do pchnięcia. Potem spada i szybko przyciska go trzy razy, jeden po drugim.

Od-bie-ram.

Z MROKU I DESZCZU

Clara siedzi od kilku godzin w internecie. Zaczęła od przeglądania Wikipedii w poszukiwaniu faktów o kulturze wampirów, ale nie dowiedziała się zbyt wiele, gdyż redagowaniem internetowych encyklopedii zajmują się bezkrwawcy.

Udało jej się jednak, bardzo daleko na liście wyników Google'a, trafić na intrygujący klon Facebooka o nazwie Neckbook. Było na nim mnóstwo raczej inteligentnych, atrakcyjnych, mimo bladej cery, nastolatków o ciągotach artystycznych, którzy porozumiewali się prawie wyłącznie w języku złożonym z dziwnego slangu, akronimów i emotikonów, których nigdy nie widziała w żadnym tekście ani w żadnej wiadomości w sieci.

Zobaczyła bosko przystojnego chłopca o szelmowskim uśmiechu chochlika i włosach tak czarnych, że aż lśniły. Na jego profilu, pod zdjęciem, przeczytała:

Agent nocy - fuli osprzęt W. Pirx szuka NIEsyrkacz-a/ki, dalekie loty/dystans możliwy, do Rh- malinek, mocny zgryz + gotowość do wymiany KW.

Clarę ogarnęła frustracja. Choć była wampirzycą, czuła się wyalienowana ze społeczności krwiopijców. Dała sobie spokój i przeniosła się na YouTube pooglądać fragmenty filmów, o których opowiadał jej Will. *Wampiry*, *Dracula* (wersja z 1931 roku - zdaniem Willa jedyna wyreżyserowana przez faktycznego wampira), *Blisko ciemności*, *Zagadka nieśmiertelności* i zdecydowany numer jeden - *Straceni chłopcy*. Jednak nagle, właśnie teraz, kiedy na ekranie makaron zamienia się w robaki, czuje, że coś jest nie tak. To dziwne uczucie w żołądku i na skórze, jakby jej ciało poczuło wcześniej przed umysłem.

I wtedy się zaczyna.

Ktoś dzwoni do drzwi i matka otwiera.

Clara słyszy głos wuja, ale nie rozumie, co mówi.

Matka krzyczy.

Clara biegnie na dół i widzi, jak w przedpokoju Will przykłada jej matce nóż do szyi.

- Co ty robisz?

Will wskazuje na akwarelę na ścianie.

- Nasza jabłonka ma chyba zgniłe korzenie. Czas na wyrąb.

Clara się nie boi. Wcale. Myśli tylko o nożu.

- Zostaw ją. - Dziewczyna robi krok naprzód.

- Nic z tego - odpowiada, kręcąc głową Will i przyciska ostrze do skóry

Helen. - Nie da rady.

Helen wbija wzrok w córkę.

- Clara, nie. Idź stąd.

Will przytakuje.

- Matka ma rację. Idź stąd. - W jego wzroku jest totalny obłęd, po którym widać, że sytuacja jest poważna, że Will może zrobić wszystko.

- Nie rozumiem.

- Jesteś zerem, Clara. Naiwną dziewczynką. Myślisz, że przyjechałem tu, żeby wam pomóc? Nie bądź głupia. Nie obchodźcie mnie. Przejrzyj. Na. Oczy.

- Proszę cię, Will - mówi Helen, kiedy ostrze ociera się jej o policzek. - To policja. Oni mnie zmusili...

Will ignoruje ją i dalej zwraca się do Clary tym samym jadowitym tonem.

- Jesteś pomyłką - mówi. - Żalną konsekwencją związku dwojga ludzi, którzy byli zbyt słabi, żeby zrozumieć, że nie powinni ze sobą być. Efektem stłumionego popędu twoich rodziców i ich nienawiści do samych siebie... Idź, dziewczątko... Wracaj do ratowania wielorybów.

Will wyciąga Helen tyłem przez otwarte drzwi, potem widać rozmazane mignięcia i znikają. Clary wbija w ziemię świadomość tego, co się właśnie stało. Odleciał z jej matką.

Biegnie na piętro, otwiera okno w swoim pokoju i wychyla się na deszcz. Widzi, jak odlatują coraz wyżej, bezpośrednio nad nią, jak powoli roztapiają się w ciemności. Zastanawia się, co zrobić. Przychodzi jej do głowy tylko jedno, więc wyciąga spod łóżka butelkę po KW i przykładła sobie do warg. Do ust spływa jej ostatnia kropla, Clara nie wie, czy to wystarczy.

Świadoma, że to ostatnia chwila, żeby uratować matkę, podciąga się na parapet, zgina kolana i rzuca się w smagane deszczem powietrze.

- Helen, polećmy do Paryża. Polećmy tam i przeżyjmy jeszcze raz te magiczne chwile... albo weźmy kurs na Księżyc.

Leci z nią do góry, prawie pionowo. Helen przygląda się przerażona zmniejszającemu się pod nią domowi. Wcisną się szyją w ostrze na tyle, żeby poszła krew.

Dotyka krwi.

Smakuje jej. Ona i on razem. A potem zaczyna walczyć.

Walczy ze smakiem i ze wspomnieniami, ale przede wszystkim walczy z nim, odsuwa nóż, odpycha Willa w dół.

W trakcie zmagania widzi lecącą do nich przez deszcz córkę.

- Złap nóż - woła do niej Helen.

Clara dolatuje do nich i wyszarpuje broń z dłoni wuja. Jednak ten odpycha ją łokciem i nóż spada na dach Feltów.

Już po wszystkim, myśli Helen, ulegając bezwzględnej sile Willa. On wygra.

Ich dom to teraz tylko jeden z wielu czarnych kwadracików na Orchard Lane, a sama ulica zamienia się pod nimi w cienką nitkę mroku.

- Proszę cię, Will, zostaw mnie - błaga go. - Pozwól mi żyć z moją rodziną.

- Nie, Helen, przykro mi. To już nie jesteś ty.

- Proszę...

Miasteczko zamieniło się w nicość. To teraz jakby odbicie nieba, oddalająca się szybko czarna przestrzeń z białymi punkcikami.

Kocham Petera, myśli Helen. Zawsze kochałam Petera. To prawda. Przypomina sobie, jak trzymała przyszłego męża za rękę i spacerowali pewnego szarego dnia upojeni miłością po Clapham High Street, kiedy poszedł z nią na zakupy malarskich utensyliów.

- Gdybyś wołała gdzie indziej - Will przekrzykuje szum powietrza - to wiesz, wystarczy zawołać. Walencja, Dubrownik, Rzym, Nowy Jork. W Seattle mamy niezłe zaplecze. Daleki dystans mi nie przeszkadza... Hej, przecież nigdy nie zaliczyliśmy Wenecji, prawda? Moglibyśmy tam polecieć i pooglądać coś Veronesego...

- Will, nie możemy być razem.

- Masz rację. Nie możemy. Ale możemy spędzić razem noc. A potem, rano, z wielkim bólem będę ci musiał poderżnąć...

Groźbę Willa przerywa hałas. Pędzi ku nim znajomy głos. Coś odpycha nagle jej ciało. Potem robi się cicho i Helen uświadamia sobie, że spada. Miasteczko, aleja i ich dom zbliżają się do niej z zawrotną prędkością, i wtedy słyszy wołanie córki.

- Leć, mamó! Możesz latać!

Tak, myśli Helen. Tak, naprawdę mogę. Zwalnia w powietrzu, przestaje wierzyć w grawitację. Podlatuje do niej córka.

- To Rowan - mówi Clara, wskazując na sylwetki odległych postaci zmagających się wysoko nad ich głowami. - Walczy z Willem.

TWARZ JEGO OJCA

Rowan usłyszał krzyk matki.

Jego dźwięk wyrwał go z rozpacz i chłopak dojrzał na niebie sylwetki - matki i Willa. Przekuł rozpacz we wściekłość i poleciał jej na ratunek. A teraz, kiedy odpycha Willa coraz bardziej ku ziemi, zdaje sobie sprawę, że jest zdolny do wszystkiego.

- Dlaczego Eve? - krzyczy, napierając z coraz większą łatwością. - Dlaczego?

Will nie odpowiada. Ma w oczach dumę z odcieniem smutku. W dół, w dół, i w dół.

- Rowan, posłuchaj - mówi Will, a jego płaszcz furkocze przed nimi jak uwolniony żagiel. - Jesteś taki jak ja. Nie widzisz tego? Jesteś moim synem. Masz w żyłach moją krew. Moglibyśmy oblecieć razem cały świat. Mógłbym ci wszystko pokazać. Mógłbym ci pokazać, czym jest prawdziwe, kurwa, życie.

Rowan ignoruje go i przelatuje nad dachem ich domu, a Will szura plecami po dachówkach na samej górze, rozbijając część z nich. Za chwilę są już nad ogrodem i ponieważ Rowan mocno prze w dół, pikują i wpadają do stawu.

Na dole chłopak przytrzymuje Willa pod zimną wodą, napierając oburącz. Jedną ręką na twarz, drugą na szyję. Wkłada cały swój gniew i całą swoją siłę, żeby utrzymać go na dnie stawu, i żeby się przeciwstawić wielkiej zawziętości, z którą Will usiłuje się wydostać.

Zdaje sobie sprawę, że nie ma dużo czasu. Całe życie swobodnego picia krwi dało jego ojcu siłę i wytrzymałość, której Rowan nie ma. Teraz ma tylko gniew, ale to za mało.

Zamyka oczy. Próbuje podsycić nienawiść, podczas gdy dłonie Willa naciskają z narastającą siłą, aż męczyzna wynurza się z upiorną energią erupcji wulkanu, która odrzuca Rowana do stawu. Chłopak podpira się dłonią, żeby się podnieść. Na dnie coś wyczuwa.

Nie rybę. Nie roślinę. Metal.

Will jest na nim i szykuje się, żeby wepchnąć syna pod wodę.

Rowan rozpaczliwie łapie metal.

Ból.

Zaciął się, dotykając ostrza.

- Wampir nie topi się szybko - mówi Will z wysuniętymi kłami, wpychając Rowana pod wodę - ale noc jeszcze młoda.

- Złaż z niego! - To Clara i jej matka, które mkną w powietrzu do ogrodu. Will spogląda do góry, a Rowan łapie coś pod metalem. Coś drewnianego. Rączkę.

Will śmieje się opętańczo. To szatański śmiech. Przenosi uwagę z powrotem na Rowana, ale zbyt późno, żeby dostrzec ociekające ostrze siekiery, które zwinnie niczym ogon delfina zakreśla łuk od powierzchni wody do gardła Willa z taką prędkością, że ten prawie nie słyszy pierwotnego ryku walczącego o życie chłopca, kiedy szala przechyla się ostatecznie na korzyść syna. Will, tamując fontannę krwi, która tryska mu z szyi nad siekierą, wpada do wody. Rowan przytrzymuje go, rozcinając tkanki, a pod wodą pojawia się czarna chmura krwi.

Jego matka i siostra lądują na trawie, a chłopak czuje, jak Will nabiera siły i zaczyna wystawiać głowę na powierzchnię, ale Rowan trzyma teraz siekierę oburącz i bardzo pewnie. Kiedy Will próbuje się podnieść, ostrze przebija się przez resztę chrząstki szyi i życie w końcu opuszcza jego ciało. Rowan widzi, jak patrzy na niego niewyraźna twarz - twarz jego ojca. Spokojna. Wręcz wdzięczna. Jak gdyby to był jedyny sposób na znalezienie spokoju: oddzielenie na wieczność umysłu od pożądanego ciała zanurzonego w płynnej mgłę własnej krwi.

Rowan przez moment siedzi na zwłokach, patrzy na krople deszczu na powierzchni wody. Dopiero po chwili przypomina sobie, że kilka metrów dalej stoją siostra i matka, niemi świadkowie.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Helen wpatruje się w staw.

- Tak - mówi. Jej głos jest teraz bardziej opanowany i w pewnym sensie bardziej naturalny niż zazwyczaj. - Wszystko w porządku.

Wyostrzone zmysły Rowana wychwytyją kroki w domu. Jego ojciec - albo mężczyzna, którego zawsze miał za ojca - wychodzi na patio. Dopiero co wrócił, ma w dłoni płaszcz i kluczyki. Patrzy na wszystkich. W końcu jego wzrok zatrzymuje się na stawie i kiedy Peter podchodzi, Rowan widzi, jak zamiera na widok tego, co się stało.

- Mój Boże - mówi Peter, nachylając się nad wodą. Jego głos jest ledwo słyszalny. - Mój Boże, mój Boże, mój Boże.

- Chciał zabić mamę - wyjaśnia Clara. - Rowan ją ocalił. Peter w końcu przestaje mamrotać i przygląda się bratu pośród ciemnej, zmętniałej od krwi wody.

Kiedy Rowan schodzi z ciała Willa, przypomina sobie o Eve i czuje kolejną falę paniki.

- Gdzie jest Eve? - pyta Clarę i matkę. - Co jej zrobił?

Kręcą głowami.

Rowan załamuje się na myśl o tonącym w morzu bezwładnym ciele Eve.

Zmiana

Przez całą drogę do Bishopthorpe Jared mówi do córki i przygląda się jej w lusterku. Dziewczyna leży na tylnym siedzeniu szczelnie owinięta jego pulowerem. Wiatr rozwiewa jej włosy, deszcz pryska na skórę i miesza się z krwią, a Jared pruje po krętych drogach sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Eve! - woła, przekrzykując wiatr i deszcz. - Eve, proszę cię, nie trać przytomności. - Myśli o jej pogardzie tamtego wieczoru, o frustracji i złości, którą od dwóch lat widzi w jej oczach. - Wszystko będzie w porządku. Zmienię się. Wszystko się zmieni. Przrzekam.

Eve ma zamknięte oczy i Jared sądzi, że jest za późno. Za oknem śmigają drzewa i zignorowane znaki drogowe. Już kilka minut po wyjeździe z Thirsk wpada na pełnym gazie do Bishopthorpe i gna główną ulicą. Mija bramę do Lowfield Close po prawej stronie, ale pędzi dalej. Jakiś mężczyzna przystaje po wyjściu z Pługa, żeby popatrzeć, jak corolla z rozbitym oknem przelatuje z dwukrotnie szybszą niż dozwolona prędkością. Smażalnia ryb, apteka, delikatesy, wszystko śmiga jak przelotne myśli. Jared zwalnia dopiero nieopodal Orchard Lane.

Kiedy dojeżdża do domu Radleyów, odczekuje kilka sekund w samochodzie, żeby się upewnić, że wie, co robi. Kolejny raz próbuje porozmawiać z Eve.

- Eve? Proszę. Słyszysz mnie?

Dziewczyna ciągle krwawi. Przesiknięty krwią pulower ściemniał i Will wie, że nie ma wiele czasu na podjęcie decyzji. Może minutę. Może mniej. Na zewnątrz wszystkie drogie domy stoją spokojne jak zwykle i Jared czuje ich bezduszną obojętność wobec losu córki.

Czas goni, potrzebny jest pośpiech. Czy dać Eve życie odmieńca, istoty rodem z koszmaru, skłonnej do zabijania, czy pozwolić jej umrzeć, doliczając ją do rzeszy martwych, którzy nikomu już nie zagrażą?

- Eve?

Jej powieki drżą, ale się nie unoszą.

Jared wysiada i otwiera drzwi z tyłu samochodu. Podnosi córkę z tylnego siedzenia tak delikatnie, jak potrafi, i niesie ją przez ulicę.

Nie, mówi sobie. Nie. Co ty wyprawiasz? Nie możesz...

Wyobraża sobie, że jego żona gdzieś istnieje. Przygląda mu się. Ocenia go kryteriami zjaw.

- Przepraszam, Tess. Przepraszam.

Wchodzi na podjazd Radleyów z bezwładnym ciałem Eve na rękach. W końcu kopie drzwi, niezbyt mocno, ale stanowczo.

- Pomocy - mówi wyraźnie. Potem głośniej. - Pomocy!

Drzwi otwiera Peter. Patrzy na Jareda, potem na Eve na jego rękach. Na krew na obojgu.

Jared przelżyka ślinę i mówi to, co wie, że musi powiedzieć.

- Proszę ją uratować. Proszę. Wiem, czym jesteście, ale proszę ją uratować.

W MROK

Wszyscy stoją dokoła, wpatrzeni niczym pasterze w scenie narodzin Chrystusa. Ubranie Rowana jest ciągle przesiąknięte wodą ze stawu, ale to makabryczny widok, a nie zimno, sprawia, że chłopiec dygocze: krew Eve sączy się na ich kanapę, a Peter sprawdza tętno.

- Nie martw się - mówi bratu Clara, ściskając go za rękę. - Tata wie, co robi.

Jared klęczy na końcu kanapy, delikatnie głaszcząc głowę przytomniejącej co chwila córki. Kiedy kolejny raz otwiera oczy, jej wzrok napotyka wzrok Rowana.

- Pomóż mi - prosi. Rowan jest bezsilny.

- Wszystko będzie dobrze, Eve. Tato, daj jej krwi. Ocal ją. W tym samym czasie Helen pośpiesznie wyjaśnia Jaredowi coś, co ten i tak już wie.

- Jeżeli damy jej krwi, stanie się wampirzycą. Rozumie pan? Będzie niezwykle mocno związana emocjonalnie z osobą, której krew posłuży do inicjacji.

Eve nadal wpatruje się w Rowana. Dziewczyna rozumie, co się dzieje. Rozumie, że Rowan chce ją uratować, że pragnie tego najbardziej na świecie. Rozumie to, co i on rozumie, że jeżeli ją ocali, to ocali również siebie. Rozumie też, że go kocha i widząc jego bezradne spojrzenie, wie, że ich los spoczywa w jej rękach.

Próbuje się odezwać. Nie może wykrztusić ani słowa, są zbyt ciężkie, ale dziewczyna się nie poddaje.

- Twoja - mówi, ale on nie słyszy. Za chwilę jest tuż obok, kilka centymetrów od niej, i wyteżę słuch. Oczy jej się zamykają pokonane. Zużywa resztkę energii, żeby powiedzieć: - Twoja krew.

I zapada się.

Coraz głębiej w mrok.

ŁONO

Dociera do niej smak.

To smak tak pełny, że nieograniczony do pojedynczego zmysłu. Coś, czego ciepło czuje i widzi, jak gdyby czarny ocean, na którego dno trafiła, zabarwił się lśniąca, wspaniałą czerwienią.

I wznosi się z powrotem ku życiu.

Otwiera oczy i widzi Rowana. Chłopiec krwawi. Ma przeciętą skórę pod kciukiem na wewnętrznej stronie dłoni i krew kapie jej do gardła. Jest zaniepokojony, ale niepokój powoli przechodzi w ulgę. Ma łzy w oczach i do Eve dociera, że chłopiec właśnie ją ratuje.

Krew kapie, a dziewczyna uzmysławia sobie, że naprawdę go zna. Nie zna wszystkich banalnych szczegółów jego życia, nieistotnych statystyk wiadomych innym ludziom, ale wie o czymś więcej. To wiedza, którą posiada dziecko o swojej matce w ciepłej czerwieni łona.

Totalna, tętniąca, ożywcza wiedza.

Ponieważ zna go tak dobrze, kocha go, i wie, że taką samą miłość on czuje do niej, miłość zawartą w jego krwi, odwzajemnioną niczym wspólna modlitwa.

Kocham cię.

Ty jesteś mną, a ja tobą.

Będę cię chronić, tak jak ty będziesz chronić mnie.

Na wieczność.

Zawsze.

Uśmiecha się do niego, a on do niej. Odrodziła się. Zakochała się.

Po dwóch latach mroku jest gotowa zaznać prawdziwej wspaniałości świata.

- Nic ci nie jest - mówi jej Rowan. - Jesteś tutaj. Już po wszystkim. Jego już nie ma.

- Tak.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że żyjesz.

Do Eve stopniowo dociera obecność innych ludzi w pokoju. Clary. Pana i pani Radleyów. Jej taty.

Ten przygląda się jej, a na jego twarzy maluje się zmaganie ulgi i lęku.

- Przepraszam - szepcze do niego.

Jared kręci głową i uśmiecha się, ale jest tak przejęty chwilą, że słowa więzną mu w gardle.

**KILKA NOCY
PÓŹNIEJ**

Pytanie dla Pokuszonych

Możecie, wiedzeni pokusą, postanowić zaniechać mordów i pić krew innych wampirów.

Wpływu spożycia KW na waszą osobowość nie da się przewidzieć i wasza przyszłość zawsze będzie nieznana. A jako abstynentom powinno wam zależeć na poznaniu przyszłości. Powinno wam zależeć na pewności, że każdy dzień będzie tak przewidywalny i monotony jak poprzedni, ponieważ tylko wtedy uda wam się przejść przez życie, panując nad popędem i bez jarzma samolubnego pożądania.

Jeżeli nie wytrwacie, jeżeli nad zasady przedłożycie przyjemność i otworzycie się na tysiące niebezpiecznych możliwości, to nigdy nie zaznacie pewności dnia jutrzejszego.

W każdej chwili będzie was mogła opanować nieposkromiona żądza, która może mieć niszczycielskie konsekwencje. Prawdą jest też, że nie musi się tak stać. Być może uda się wam, regularnie spożywając KW, prowadzić udane życie pełne przyjemności, wolne od bólu, nie wyrządzając krzywdy sobie ani innym.

Ale zadajcie sobie pytanie: czy naprawdę opłaca się ryzykować?
Więc?

Tylko sami możecie sobie na to odpowiedzieć.

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 207-208

RAPHAEL

Od nadmiaru miłości może się zrobić mdło, przechodzi przez myśl Clarze, zwłaszcza kiedy rzeczona miłość siedzi na tylnym siedzeniu, trzyma się za ręce i recytuje poezję. Oczywiście cieszy się szczęściem brata i Eve, błogo w sobie zadurzonych, ale przesiedziawszy z nimi całą drogę, nie wzgardziłaby małą przerwą od tych czułości. Spogląda zde gustowana, jak Eve wtula głowę w ramię brata.

- Nie wiedziałam, że wampiry są takie cikliwe - mamrocze i zaczyna wyglądać przez okno.

- Mówi dziewczyna, która opłakiwała los niedźwiedzi polarnych - ripostuje Rowan.

- Dalej opłakuję ich los.

- Czyli co, znowu przechodzisz na weganizm? - pyta Eve.

- Biorę to pod uwagę. Skoro i tak mamy pić wampirzą krew, to nie powinno być niezdrowe. Tylko tym razem postaram się z większą konsekwencją trzymać zasad.

Eve klepie Clarę w kolano.

- Musimy ci znaleźć jakiegoś fajnego chłopaka do inicjacji. Clara wzdycha.

- Wampirza randka w dwie pary - mówi z cieniem pogardy. - Daj spokój.

Jest pięć po północy, zaparkowali w słabo oświetlonej bocznej uliczce niedaleko centrum Manchesteru. Clara widzi stamtąd, jak mama i tata, za którymi stoi kolejka młodych wampów i amatorów inicjacji, dyskutują z bramkarzem.

A propos miłości, Clara zauważyła też, o ile lepiej układa się jej rodzicom od śmierci Willa. Jej ojciec był oczywiście zasmucony losem brata, ale przeważała wdzięczność, że Helen żyje. Jednak to jej mama zmieniła się najbardziej. Jest teraz taka rozluźniona, jakby ktoś zdjął z niej ciężar i nie odpycha ręki Petera, kiedy ten próbuje ją objąć.

- Czyli twój tata się z tym pogodził? - pyta Clara Eve, kiedy rodzice znikają w Czarnym Narcyzie.

- Pogodził to za dużo powiedziane - tłumaczy Eve. - Dobrze, że był obecny podczas waszej rozmowy z tą policjantką. Ale nadal ciężko mu się z tym oswoić. Choć rozumie, że nie jesteście tacy jak wasz wuj.

Clara dostrzega przechodzącą grupkę chłopców. Najmłodszy jest atrakcyjny, może jest nawet w jej wieku. Ma bladą, przystojną, chochlikowatą twarz i kiedy patrzy prosto na nią, dziewczyna skądś go kojarzy. To chłopiec, którego zdjęcie jej się spodobało, kiedy weszła na Neckbooka. Chłopiec widzi, że się do niego uśmiecha, puka w szybę i kiedy Clara opuszcza okno, Eve ją trąca.

- Idziecie do Czarnego Narcyza?

- Nie - mówi Clara. - Moi ro... Nasi znajomi weszli dla nas po parę flaszek.

Chłopiec przytakuje i uśmiecha się, potem pokazuje butelkę z ręcznie podpisaną etykietą.

- Jeżeli masz ochotę, możesz się napić z tej.

- Na razie nie - odpowiada Clara. - Ale dzięki.

- Gdybyś była kiedyś na Neckbooku, to wyślij mi wiadomość. Mam na imię Raphael. Raphael Child.

Clara przytakuje.

- Pewnie, że wyślę. Chłopiec odchodzi.

Wampirza randka w dwie pary, myśli Clara.

Może to w sumie wcale nie taki zły pomysł.

Obok niej Rowan obserwuje wejście do klubu, czekając na pojawienie się rodziców. Czuje głowę Eve na ramieniu i wie, że słusznie postępują. Bądź co bądź, nie widzi siebie jako potwora. Eve nie zeszła z tego świata tylko dzięki temu, kim on jest. Cokolwiek by się stało w przyszłości, nie będzie potrafił gardzić mocą, która uratowała jej życie.

Wie, że w przyszłości trudno im będzie utrzymać w tajemnicy przed resztą świata swoją prawdziwą naturę, ale rozumie, że pewne sprawy muszą na zawsze pozostać w ukryciu. Dlatego policja nigdy nie znalazła jego zdjęć z dzieciństwa ani listów, które Helen wysłała Willowi od początku do połowy lat dziewięćdziesiątych. Kiedy Alison Glenny i pozostali członkowie Oddziału ds. Bezimiennych Drapieźników badali i usuwali ciało Willa ze stawu Radleyów, Rowan ulotnił się z domu, żeby drugi raz tamtego dnia wejść do furgonetki.

Nie jest już zły z powodu listów, zdjęć i sekretów. Od kiedy napił się krwi matki, nie potrafi mieć do niej żalu, po jej skosztowaniu wytworzyła się w nim zdolność całkowitej empatii. Zrozumiał, że ukrywała to, żeby go ochronić, i teraz jest jego kolej na oddanie przysługi.

Oprócz pudełka zapalek, którymi rozpałał ognisko w piątek wieczorem, wziął listy i zdjęcia, przecisnął się przez krzaki na pole za Orchard Lane, i podpalił wszystko, co przyniósł. Dało mu to satysfakcję. Jak gdyby w ten sposób Peter znowu stał się jego ojcem. Miał też poczucie, że to dziwnie dojrzały akt, jakby właśnie na tym polegała dojrzałość - zrozumieniu, których tajemnic trzeba dochować.

I które kłamstwa uratują ukochanych.

ZNAJOMA PIOSENKA

Muzyka jest tak głośna, że Helen i Peter nie słyszą się nawzajem, przeciskając się między tańczącymi, spoconymi ciałami. Czują na sobie wzrok bywalców klubu - są zbyt średni - i wiekiem, i klasą społeczną - sądząc po ich konwencjonalnych, niegroźnych ubraniach z kolekcji Boden i Marks & Spencer.

Ale to bez znaczenia. W pewnym sensie to nawet zabawne. Peter śmieje się do Helen szeroko, a ona odwzajemnia jego uśmiech, dostrzegłszy ironię sytuacji.

Giną sobie z oczu, czego Helen nie zauważa, i idzie dalej, za strzałkami, do szatni.

Jakaś dziewczyna stuka Petera w ramię.

Jest niezmiernie urody. Ciemne włosy splecione w cienkie warkoczki i kuszące zielone oczy. Uśmiecha się, pokazuje kły i przebiega po nich językiem. Potem nachyla się i mówi mu coś, co zagłusza muzyka.

- Słucham? - mówi Peter.

Dziewczyna się uśmiecha. Głaszcze go po karku. Ma na szyi tatuaż. Dwa wyrazy: „GRYŹĆ TUTAJ”.

- Mam na ciebie ochotę - wyjaśnia mu. - Chodźmy na górę za kotarę.

Peter zdaje sobie sprawę, że fantazjował o tej chwili od prawie dwudziestu lat. Ale teraz, kiedy wie, że Helen znowu go kocha, ta dziewczyna to żadna pokusa.

- Jestem z żoną - odpowiada i szybko odchodzi, zanim wampirzyca przyjdzie coś do głowy.

Dogania Helen, kiedy ta jest przy schodach, i wtedy DJ puszcza piosenkę, którą słyszał wieki temu. Klubowicze wpadają w ekstazę, jak w latach osiemdziesiątych.

- Na pewno chcesz? - Peter pyta Helen na tyle głośno, żeby usłyszała.

Ta przytakuje.

- Na pewno.

W końcu przychodzi ich kolej i stoją teraz przed cherlawym szatniarzem, którego wylupiaste oczy wpatrują się w Petera i Helen podejrzliwie.

- Czy to tu się kupuje wampirzą krew? - pyta Helen. - KW? Żeby dosłyszał, Helen musi powtórzyć pytanie. W końcu mężczyzna przytakuje.

- Poprosimy pięć! - Podnosi z uśmiechem pięć palców. - Pięć!

UDZIELAM SOBIE PORADY

W połowie drogi do domu Rowan znajduje coś pod siedzeniem matki. Książkę w miękkiej oprawie z nieciekawą okładką. Od razu ją poznaje - *Poradnik abstynenta*.

- Co robisz? - pyta go siostra.

Eve spogląda na książkę w dłoni swojego chłopaka.

- Co to jest?

- Otwórz okno.

- Rowan, co ty wyprawiasz? - pyta Helen z przedniego siedzenia.

Eve otwiera okno, a Rowan wyrzuca książkę na twarde pobocze M62.

- Udzielam sobie porady - śmieje się, po czym pociąga łyk z butelki, delektując się niebiańskim smakiem.

NAJMNIEJSZA KROPLA

Nigdy nie jest szczególnie łatwo pogodzić się z tym, że córka, którą się opiekowało i o którą się martwiło całe życie, zamieniła się po prostu w żądną krwi klasyczną wampirzycę. Jaredowi Copelandowi, bardziej wyczulonemu na punkcie wampiryzmu niż większość ludzi, wyjątkowo ciężko zaakceptować świadomość przemiany córki.

Fakt zainicjowania przez jednego z Radleyów, krewnego w prostej linii człowieka - jeżeli „człowiek” to właściwe słowo - który nie mógł się opanować przed zaspokojeniem własnej niegodziwej żądz z ukochaną Jareda, dodał do listy potwornych prawd, z którymi nieszczęśnik musi się teraz zmierzyć.

Jared jest mocno zaniepokojony zmianami, które dotknęły Eve. Oglądanie jej pobladłej cery, obserwacja jej wyjątkowo nienaturalnych godzin snu, mięsnej diety i obecność tego chłopca, Rowana Radleya, praktycznie co wieczór w ich domu - najchętniej obyły się bez tego wszystkiego.

A jednak - i jest to znaczące, kolosalne „a jednak” - zaszły pewne zmiany, które - nawet Jared musi to przyznać - spodobały mu się. Na przykład zaczęli ze sobą rozmawiać. Nie kłócić się ani wdawać w negocjacje i przepychanki, tylko faktycznie rozmawiać. O szkole, o poszukiwaniu pracy Jareda („Nie chcę całymi dniami opróżniać śmietników”), o pogodzie („Tato, czy słońce zawsze jest takie jaskrawe?”), a także o miłych wspomnieniach matki Eve.

Jared cieszy się, że Eve żyje i przyznał nawet, że konsumpcja jednej butelki wampirzej krwi tygodniowo leży w najlepszym interesie wszystkich zainteresowanych.

W końcu był w domu Radleyów, kiedy zastępczyni komendanta Alison Glenny zaleciła Clarze spożycie od czasu do czasu nieznaczej ilości zakazanej substancji, choćby po to, aby oddalić ryzyko kolejnego ataku Przemóżnej Żądz Krwi.

- Bo jeżeli złamiesz zasady i kogoś jeszcze zabijesz, to nie dostaniesz kolejnej szansy - ostrzegła ją.

Tak więc, aby nie dopuścić do przemiany córki w pełnokrwistą morderczynię, Jared zgodził się na przedstawiony przez Helen Radley układ, w ramach którego w każdy piątek wieczorem Eve może pojechać do Manchesteru i spożyć porcję krwi, jeżeli tylko nie będzie przynosić jej do domu i pijać w mieszkaniu.

(A w kwestii mieszkania wygląda na to, że będą tam mogli zostać na dłużej. Podczas opróżniania śmietników na głównej ulicy Jared zobaczył Marka Felta, który wychodził z delikatesów z wystającym z papierowej torby gigantycznym pętem kiełbasy. Jared przeprosił za spóźnienie z czynszem i wyjaśnił, że - ponieważ znalazł pracę - to się już więcej nie powtórzy. Ku jego zdziwieniu Mark uśmiechnął się i wzruszył ramionami - mimo że pieniądze,

które przeznaczył dla niego Rowan zaginęły w kieszeni Toby'ego. „Nie ma sprawy”, powiedział i klepnął go w plecy. „Mogło być gorzej”).

Mimo to Jaredowi nadal bywa ciężko i źle sypia z powodu męczących go zmartwień. Gryzą go właśnie teraz, kiedy leży w łóżku i słyszy Eve wracającą do domu o drugiej w nocy.

Wstaje, żeby na nią zerknąć, żeby się upewnić, że nic się jej nie stało. Dziewczyna siedzi w salonie, pije krew z gwinta.

Jest mu przykro.

- Tato, przepraszam - mówi, a w oczach lśni jej niewątpliwe szczęście. - Nie chciałam wypić wszystkiego naraz. Wiesz, chcę ją sobie dawkować.

Powinien mieć do niej żal, ale ma już dosyć pretensji. Ku własnemu zaskoczeniu siada obok niej na kanapie. Eve ogląda teledyski z przyciszonym dźwiękiem. Zespoły, o których Jared nigdy nie słyszał. The Pains of Being Pure at Heart. The Unloved. Yeah Yeah Yeahs. Liechtenstein. Eve przestaje pić z butelki i stawia ją na stole. Jared czuje, że córka nie chce więcej pić na jego oczach.

Przez chwilę siedzą i rozmawiają, potem Eve się podnosi.

- Zostawię na jutro - mówi, wskazując na butelkę, i Jaredowi podoba się jej samokontrola, nawet jeżeli czuje, że to tylko z jego powodu. Eve idzie do łóżka, Jared zostaje w salonie, ogląda telewizję. Leci starszy teledysk. *Ashes to Ashes* Davida Bowiego. Był kiedyś wielkim fanem Bowiego, za swoich czasów, kiedy potrafił cieszyć się muzyką. I kiedy tak siedzi, przyglądając się procesji przechadzających się po ekranie arlekinów, doświadcza dziwnej satysfakcji, która ma chyba związek z intensywnym zapachem w powietrzu. To złożona, niezwykle intrygująca woń, która zdaje się wzmacniać, im więcej Jared o niej myśli, i za chwilę zaczyna żałować, że nie jest jeszcze mocniejsza. Nachyla się w tamtą stronę, idąc za zapachem, i przyłapuje się na tym, że pochyla głowę nad butelką i jej odkorkowaną szyjką, z której wydobywa się ów wyborny aromat, niczym zarodniki niebiańskiego pyłku.

Teraz wziął butelkę i podetknął ją sobie prosto pod nos, tak z ciekawości. Jego nozdrza przez pięć godzin musiały dzisiaj znosić zapachy domowych odpadów. Masy spleśniałych owoców, kwaśnego mleka i zużytych pieluch, które razem tworzyły fetor tak silny, że nie mógł się go pozbyć. Teraz mógłby zapomnieć o istnieniu tamtych smrodów. Fetoru zgnilizny i marnotrawstwa - produktów ubocznych ludzkiej egzystencji. Mógłby je przepłukać i skosztować ich przeciwieństwa. Mógłby się zatracić albo odnaleźć w tym odurzającym, pełnym życia zapachu nadziei.

Zmaga się ze sobą.

To krew wampira. Jest wszystkim, czego nakazałem sobie nienawidzić. Nie mogę tego zrobić. Oczywiście, że nie mogę.

Tylko łyczek. Najmniejsza kropla. Nic się nie stanie, prawda? Dla spróbowania. Przed końcem piosenki przyciska butelkę do ust, zamyka oczy i powoli - bardzo, bardzo powoli - odchyła butelkę.

MITY

Z powrotem w domu, Peter i Helen piją w łóżku krew. Postawili na kulturę - piją z kieliszków do wina kupionych w Heafs tuż przed zeszłorocznym Bożym Narodzeniem.

Po kilku ostrożnych łyżkach Helen jest tak pobudzona i pełna życia, jak nie była od wielu lat. Widzi, że Peter spogląda tęsknie na jej szyję, i wie, co sobie myśli, nawet jeżeli tego nie mówi. Czy nie byłoby przyjemniej popijać teraz swoją krew?

Peter odstawia szklankę i wtula się w Helen, całuje ją czule w ramię. Helen wie, że ponad wszystko pragnie teraz, żeby wystawili kły i zatracili się w smaku drugiej osoby. Ale to nie byłoby właściwe. To byłoby budowanie przyszłości na fałszywych fundamentach.

- Posłuchaj - mówi do niej cicho. - Przepraszam za tamtą noc.

Helen nie odpowiada i przez chwilę zastanawia się, za co ją przeprosza.

Peter podnosi głowę z jej ramienia i opiera się o poduszkę.

- Wiesz, za tamte wyrzuty - wyjaśnia, jakby czytał w jej myślach. - O picciu krwi i całej reszcie. I nie powinienem był mówić tamtego o naszym małżeństwie. To było nieodpowiedzialne i wcale tak nie uważam.

Ma dziwne uczucie, jakby widziała i słuchała go po raz pierwszy. Uzmysławia sobie, że Peter nadal jest przystojny. To uroda pozbawiona groźnej aury atrakcyjności jego brata. Kiedy na niego patrzy, widzi raczej coś uroczonego, co dodaje jej otuchy.

Mimo to robi jej się przykro. Żałuje wszystkich straconych dni, tygodni, miesięcy, lat, których z nim nie spędziła, choć miała go u boku. Jest jej smutno również z tego powodu, co musi teraz zrobić, jeżeli mają mieć szansę na naprawdę nowy początek, wolny od kłamstw i tajemnic.

- Nie - mówi mu. - Naprawdę miałeś rację pod wieloma względami. To, jak się... wiesz... Czasami zachowywałam się nieszczerze.

Helen myśli o książce przy łóżku. Tej, którą czytała do klubu. Jeszcze jej nie skończyła, ale zamierza to zrobić, choćby po to, żeby poznać finał losów mężczyzny i kobiety. Czy powie jej, że to on zabijał wszystkie wróble, które tak uwielbiała w swoim gospodarstwie, których śmierć była przyczyną jej załamania nerwowego? A jeżeli jej to powie, czy ona mu wybaczy nieobecność ptasiego śpiewu?

Helen zastanawia się, ile potrafiłby jej wybaczyć Peter. Czy jest możliwe, żeby kiedyś się z tym wszystkim pogodził, przy całej świadomości tego, jak Will zdobywał dokładnie to, czego chciał? Czy może przez te wszystkie lata nazbierało się zbyt wiele kłamstw? Czy wiedza o pochodzeniu Rowana byłaby dla niego przebraniem miary?

- No cóż - mówi Peter. - Życie każdego opiera się do pewnego stopnia na nieszczerości.

Uśmiecha się do niej i Helen jest bliska załamania, gdyż wie, że musi wykorzystać tę chwilę i dalej pociągnąć wątek.

- Peter, jest coś, co muszę ci powiedzieć - zaczyna i całe ciało napina jej się ze zdenerwowania. - Rzeczy z przeszłości, które dalej nas dotyczą. O Willu, o mnie i o nas. O nas wszystkich.

Widzi, jak mruga przez chwilę, jakby coś sobie przypominał albo widział potwierdzenie swoich wątpliwości. Spogląda na nią z dziwną czułością, która przywodzi jej na myśl sobotnie słowa Willa: „Zawsze był takim specem od krwi”. Czy pierwszej nocy ich miesiąca miodowego coś podejrzewał?

Helen robi się niedobrze, zastanawia się, czy Peter kojarzy właśnie fakty, czy może już dawno temu je skojarzył.

- Helen, jest tylko jedno, na czym mi zależy. Tylko jedna rzecz, którą zawsze chciałem wiedzieć.

- Co?

- Wiem, że to brzmi jak pytanie nastolatka, ale chcę wiedzieć, czy mnie kochasz. Muszę wiedzieć.

- Tak. Kocham cię.

Tak łatwo przychodzi jej to teraz powiedzieć na głos, to, czego nie umiała przekonująco wyartykułować od nocy inicjacyjnej. Ale teraz to tak naturalne jak zdejmowanie rękawiczki.

- Kocham cię. Chcę się z tobą zestarzeć. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek. Ale, Peter, naprawdę myślę, że powinnam ci coś powiedzieć.

Mąż spogląda na nią z czułością i frustracją, jak gdyby to ona czegoś nie rozumiała.

- Helen, posłuchaj - zaczyna. - Większość ludzi nie może uwierzyć w nasze istnienie. Jesteśmy dla nich mitami. Prawdą jest to, co ludziom akurat odpowiada. Zaufaj mi, widzę to co dzień w pracy. Ludzie wybierają te fakty, które są im na rękę i odrzucają pozostałe. Ja chcę w nas wierzyć, choć przypuszczalnie jest to pragnienie podszyte żądzą krwi. Wiesz, w ciebie i we mnie. W dwójkę ludzi, którzy się kochają i, w głębi duszy, tak naprawdę zawsze się kochali i nic nigdy nie stało ani nie stanie im na drodze. I w tej chwili to być może kolejny mit, ale myślę, że jeżeli jesteś skłonna wystarczająco mocno uwierzyć w mit, to staje się on prawdą. I ja w nas wierzę, Helen. Naprawdę. - Schodzi z poważnego tonu i uśmiecha się do niej, i to jest jego stary uśmiech. Ten szelmowski uśmiech Radleyów, w którym się kiedyś zakochała.

- Naprawdę krwisty z ciebie befszyk, wiesz?

To faktycznie pewnie żądza krwi, myśli Helen, ale w tej chwili ona też jest skłonna uwierzyć, że może być im razem tak, jak kiedyś. Tylko, miejmy nadzieję, bez zabijania. Kilka godzin później, kiedy leżą szczęśliwie rozbudzeni w mroku i wyobrażają sobie, że drugie już śpi, przytulają się i całują wiedzeni wspólnym impulsem. Ich zęby zmieniają się tak naturalnie i bezwiednie jakby to był sen. I ani się obejrzą, kiedy się nawzajem kosztują.

Dla Helen, tak jak dla Petera, to jakby smakowali siebie pierwszy raz. Pierwszy raz w ten sposób - bez lęku i obaw. To piękne i ciepłe uczucie, swoisty powrót do domu, ale do domu, którego - choć zawsze go znali - nigdy tak naprawdę nie czuli. Kiedy pierwsze rozproszone promienie słońca przeciskają się przez zasłony, małżonkowie zapadają się coraz głębiej w mrok pod kołdrą. Helen ani przez chwilę nie przejmuje się krwią, która zapewne płami im pościel.

Glosariusz abstynenta

abstynent - wampir z urodzenia bądź inicjacji, któremu udało się zapanować nad krwiomanią

BD - Bezimienny Drapieźnik; policyjny eufemizm na określenie krwiopijcy

bezkrwawiec - niezainicjowana istota ludzka, przeświadczona, że istnienie wampirów to fikcja

BRAM - Bardzo Różnorodne Abstynenckie Menu: BRAM odnosi się do pożywienia wampirów abstynentów i przypuszczalnie stanowi nawiązanie do Brama Stokera, autora Drakuli (który oczywiście sam był abstynentem i żywił się wyłącznie koniną i świńską krwią)

ciosy - zastępcze określenie klów używane przez działaczy

czzerwony alarm - termin stosowany zarówno przez abstynentów, jak i działaczy, który odnosi się do nocnej pory, około godziny 23, kiedy zaczyna się najsilniejsze pożądanie, utrzymujące się zazwyczaj do północy

działacz - praktykujący wampir; krwiopijca, który nie jest w stanie (bądź nie uważa za stosowne) zarzucić niemoralnego nałogu

energia - niesprecyzowany i szeroki termin obejmujący liczne umiejętności fizyczne i psychiczne wywołane spożywaniem krwi, do których zaliczają się: nadnaturalna ostrość zmysłów, zdolność lotu i, w szczególnych przypadkach, hemipnoza

hemipnoza - zdolność do czasowego zawładnięcia umysłem bezkrwawca; ta niemoralna zdolność stanowi domenę wyłącznie praktykujących wampirów i społeczność abstynentów odnosi się do niej z dezaprobatą

inicjatlinicjatka - bezkrwawiec z urodzenia ugryziony przez wampira (za swoją zgodą bądź nie) i napojony jego krwią; dzięki temu ostatniemu może przeżyć pokąsanie, jednak sam staje się krwiopijcą

inicjator/inicjatorka - wampir z urodzenia, który inicjuje człowieka, podając mu w miejsce wyssanej krwi swoją własną; żeby operacja zakończyła się powodzeniem, różnica wieku między inicjującym a inicjowanym nie może przekraczać dziesięciu lat

krwiopijca - określenie wampira, stosowane zwykle przez abstynentów; czasami skracane: krwiun/krwiunka

KW - Krew Wampira: jest równie pożądana przez wampiry jak krew człowieka i dłużej utrzymuje świeżość; dlatego w odróżnieniu od ludzkiej nadaje się do butelkowania w celu późniejszego spożycia. Aby prowadzić życie godne i moralne, abstynenci powinni za wszelką cenę unikać KW

lalusia - żeński odpowiednik lalusia

laluś - bezkrwawy osobnik rodzaju męskiego zakochany w kulturze wampiryzmu; zobacz też: lalusia

mutacja - przemiana, która musi zajść, żeby mógł się odbyć akt wampiryczny; praktykujący wampir może wywołać mutację w dowolnej chwili, wampirowi abstynentowi znacznie trudniej sprowokować jej wystąpienie

OdBD - Oddział ds. Bezimiennych Drapieżników: jednostka policji o zasięgu ogólnokrajowym z siedzibą w Manchesterze; jej istnienie utrzymywane jest w tajemnicy przed szerokim gronem bezkrwawców, a jej szlachetnym celem jest utemperowanie społecznie i etycznie zgubnych poczynań wampirzej populacji

popęd - zwodniczy i niebezpieczny zew krwi, obiekt pogardy bezkrwawców, trwających w mylnym przeświadczeniu, jakoby sami panowali nad swoimi instynktami

PZK - Przemozna Żądza Krwi: napad silnego pragnienia często sprowokowany odmawianiem ciała wartościowych substytutów ludzkiej krwi; do grupy ryzyka należą przede wszystkim żyjący w abstynencji wegetarianie i weganie; PZK może pojawić się nagle i bez ostrzeżenia, nie dając abstynentowi szans na skuteczną obronę przed impulsem

syrcacz - abstynent, któremu marzy się powrót do nałogu, ale nigdy do niego nie dopuszcza; termin wywodzi się od znanego reżysera melodramatów i wampira abstynenta, Douglasa Sirka

tępy kiel - osobnik, który pożąda przyjemności cielesnych, tłumi zaś zew krwi

W. - Wampirzyniec

wampir - klasyczne, niepozbawione aury romantyzmu określenie krwiopijcy, praktykującego bądź nie

zbajronować - sfingować własną śmierć w celu rozpoczęcia nowego życia; termin przypuszczalnie wywodzi się od wampira poety lorda George'a Gordona Byrona, który zaaranżował własną śmierć na

polu bitwy w Grecji, i wiele razy później, aby móc praktykować
krwiopijstwo

ZCM - Zespół Ciągłej Migreny

Poradnik abstynenta (wydanie drugie), str. 230-233